MICHAEL PALIN

PRAWDA

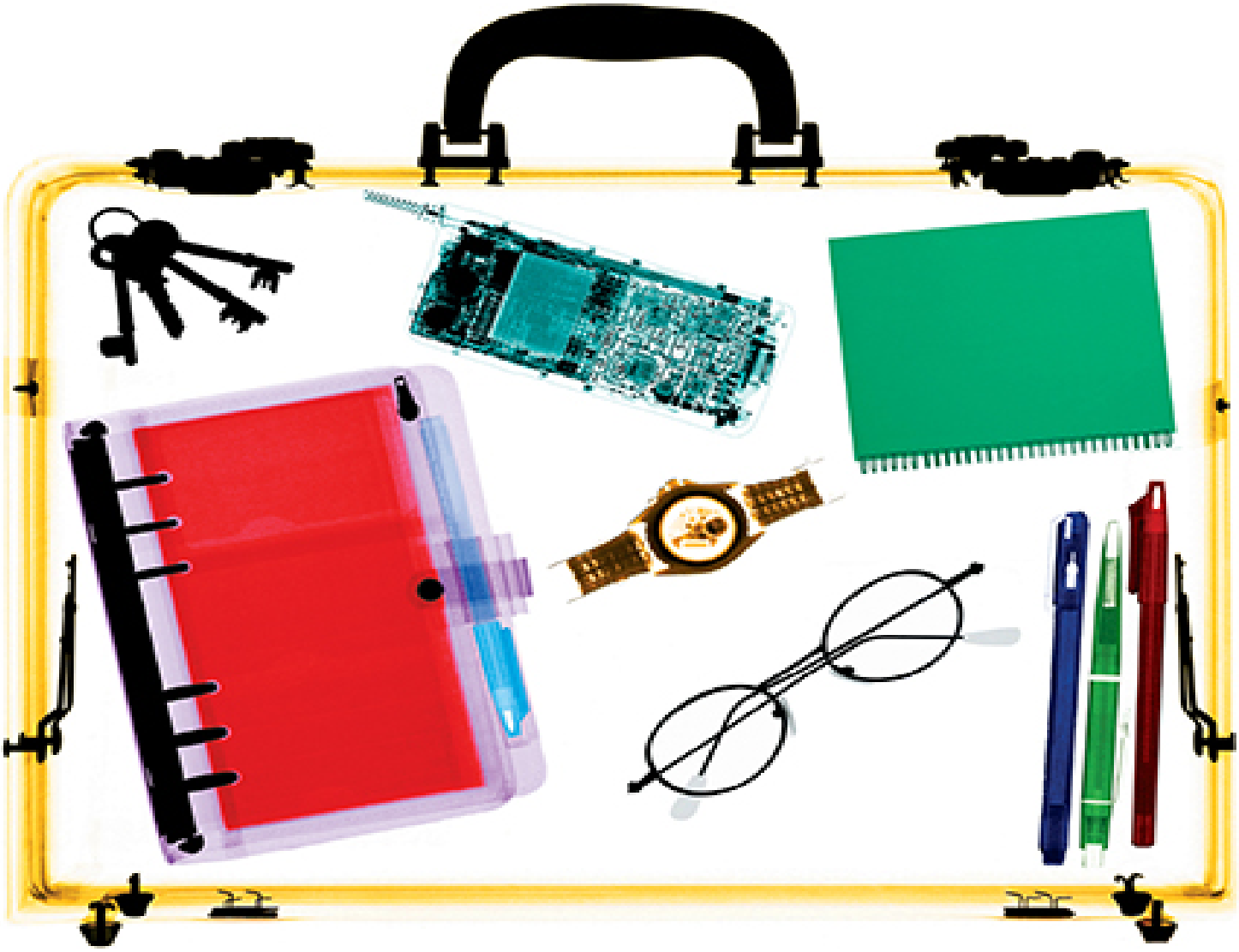

Najnowsza powieść niezrównanego Michaela Palina, dowcipna i pełna ciepła.

Fascynująca, niemal kiplingowska opowieść na nasze czasy. „Metro”

Zajmująca... Błyskotliwie zabawna.
„Sunday Express”

Michael Palin

PRAWDA

przełożyła
Olga Siara

Tytuł oryginału
The Truth

First published in Great Britain in 2012
by Weidenfeld & Nicholson
an imprint of the Orion Publishing Group Ltd
Orion House, 5 Upper St Martin's Lane, London WC2H 9EA
An Hachette UK Company

www.orionbooks.co.uk

Przekład
Olga Siara

Redakcja i korekta
Maria Brzozowska / textoria.pl, Tomasz Brzozowski,
Dominika Pycińska, Lidia Kowalczyk

Konwersja Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN: 978-83-63944-07-0

Insignis Media
ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
twitter.com/insignis_media

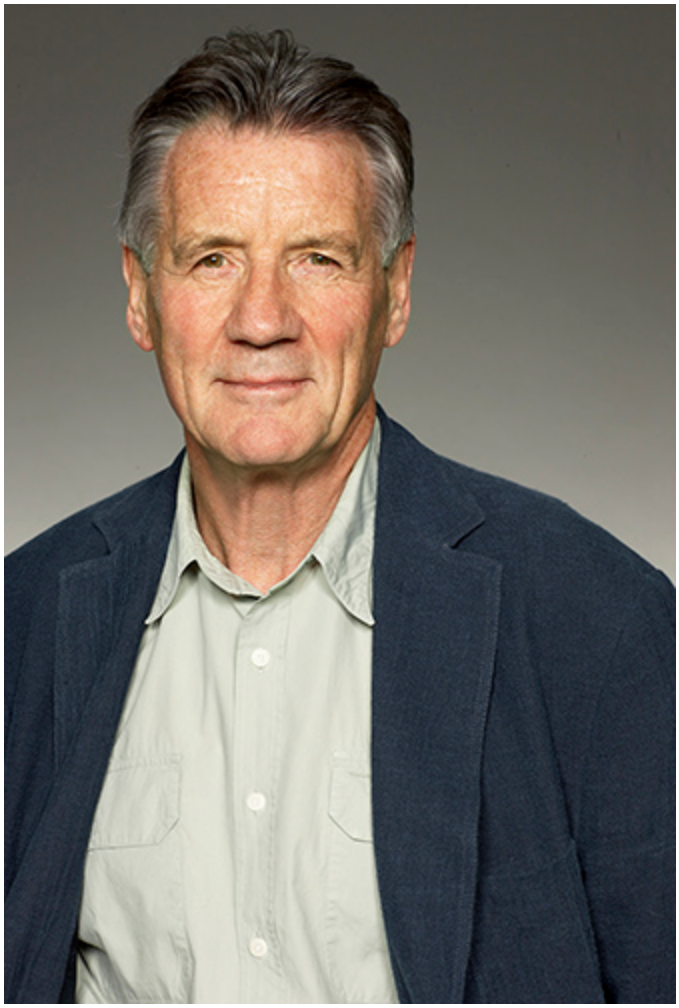

Michael Palin. Zdjęcie © John Swannell

Gertrudo, prawda to bardzo skomplikowana rzecz.

Oscar Wilde, *Idealny mąż*

Część I

*

Problem

Keith Mabbut był pisarzem. Miał co do tego pewność. Mieszkał w dwupiętrowym domu z czerwonej cegły z dwuspadowym dachem w londyńskiej dzielnicy Upper Holloway. Wolałby coś bliżej centrum, ale cóż poradzić, poza tym miał blisko na piechotę do stacji Finsbury Park i przy odrobinie szczęścia udawało mu się dotrzeć do British Library w trzydzieści osiem minut od wyjścia z domu. Mieszkał z kotem Stanleyem i dziewiętnastoletnią córką Julią, zwaną przez wszystkich Jay. Miał też syna, Sama, który uczył się aktorstwa i już z nim nie mieszkał. Mabbut był w separacji z ich matką, Krystyną, Polką z pochodzenia. Rodzice Mabbuta nie żyli od dość dawna – zmarli w odstępie roku. Jego starsza siostra Lucy mieszkała w Australii.

Wprawdzie Mabbut utrzymywał się z pisania, które przyniosło mu nawet British Gas Award, ale mając pięćdziesiąt sześć lat wciąż nie odniósł sukcesu na miarę swoich literackich idoli, George'a Orwella i Alberta Camusa (obaj zmarli po czterdziestce). Ignorując ten wyraźny, choć trudny do zaakceptowania związek między geniuszem a przedwczesną śmiercią, Mabbut doszedł do wniosku, że najlepsza książka jeszcze przed nim. I chociaż zupełnie inaczej to sobie wyobrażał, miał rację.

JEDEN

Na śniadaniu w hotelu Stratsa House panowała równie ponura aura jak za jego oknami. Gorycz odbierała nadzieję na dobry dzień; goście rozpamiętywali przeszłość, zamiast żyć chwilą obecną. Keith Mabbut był tego najlepszym przykładem. Skończył pracować nad historią terminalu naftowego Sullom Voe i nic już nie trzymało go na Szetlandach. Za trzy godziny miał wylecieć z Sumburgh po raz ostatni.

Zlustrował bufet śniadaniowy. Codziennie wyglądał tak samo, ale Mabbut nie tracił wiary, że któregoś dnia znajdzie tam talerz pełen owoców, bogate musli albo cokolwiek bez opakowania. Dziś bufet prezentował się jeszcze skromniej niż zwykle. Nie było nawet bananów. Mabbut rozerwał paczuszkę płatków śniadaniowych i wsypał je do miski, do której dodał jogurt, łyżkę rodzynek i suszoną figę.

Zamówił herbatę i zajął swój stały stolik w rogu, przy oknie z widokiem na morze.

Oprócz niego jedynymi klientami restauracji i baru Clickimin Suite była para w średnim wieku, dwóch siedzących osobno mężczyzn oraz kobieta z krótkimi blond włosami i ogromną książką. Nazwa lokalu, udekorowanego grubą wykładziną i ciężkimi kotarami, pochodziła od jeziora na obrzeżach Lerwick. Mabbut pomyślał, że będzie mu brakować fantazyjnych szetlandzkich nazw geograficznych, takich jak Spiggie, Quarff, Muckle Flugga, Yell and Gloup, Wart of Scousburgh, Haa of Funzie i Bight of Ham. W porównaniu z nimi Lerwick, zbitka nordyckich słów *leir* i *vik*, oznaczających „błotnistą zatokę”, wypadała blado.

Przez ostatni tydzień nad błotnistą zatoką szalały wichury, ale w nocy nieoczekiwanie ucichły, więc tego ranka zamiast tradycyjnego trzaskania okien w Clickimin Suite rozlegał się jedynie chrzęst smarowanych tostów i ciche pomruki ekspresu do kawy. Kilka pięter wyżej w pokoju Keitha czekała już spakowana torba podróżna.

Poprzedniego wieczoru przedsiębiorstwo naftowe wydało na jego cześć przyjęcie w indyjskiej restauracji U Raniego na północnym krańcu portu. Okazją było ukończenie książki, która miała nosić tytuł *Triumf wbrew przeciwnościom losu. Oficjalna historia terminalu naftowego Sullom Voe*. Dzieło powstało na zlecenie NorthOil, firmy należącej do konsorcjum właścicieli terminalu, dla uczczenia trzydziestej rocznicy rozpoczęcia produkcji. Pomysł narodził się w edynburskiej filii przedsiębiorstwa, natomiast dyrekcja terminalu nigdy nie była do niego przekonana, gdyż wolała unikać wszelkiego rozgłosu. Nikogo nie zaskoczyło zatem, że Howard Michie, dyrektor NorthOil, nie pojawił się na przyjęciu. Zastąpił go starszy wicedyrektor Kevin O'Connolly. Mabbut nie lubił O'Connolly'ego, stuprocentowego Szkota, który obnosił się ze swoim burzliwym życiorysem, chociaż nikt się nie nabierał na jego opowieści. W restauracji dojrzał kilka znajomych twarzy z działu public affairs: Harry'ego Brinsleya i Sheilę O'Connell – parę bystrych, młodych ludzi na stanowiskach zdecydowanie poniżej kwalifikacji – a także Roscoe Gunna – wysokiego nudziarza z działu planowania, Laurie Henneck z księgowości, Roba Taggarta, oddelegowanego z departamentu badań i rozwoju do koordynacji procesu gromadzenia materiałów dla Mabbuta, i wreszcie Mae Lennox z działu kadr, która odpowiadała za to, by Keith otrzymywał wynagrodzenie oraz wikt i opierunek przez cały okres pobytu na Szetlandach.

Szesnaście miesięcy wcześniej, podczas pierwszej wizyty na wyspach, Mabbuta uderzyło, jak mało wiadomo o terminalu, który przecież odmienił oblicze brytyjskiej gospodarki. W miejscowych księgarniach znalazł wiele książek poświęconych wędkarstwu,

obserwowaniu ptaków czy lokalnej muzyce, a także trzy lub cztery pozycje o grupie operacyjnej „Shetland Bus”, która w czasie drugiej wojny światowej wspomagała norweski ruch oporu, korzystając z miejscowych kutrów rybackich. Tymczasem nakłady nielicznych książek o przemyśle naftowym dawno już się wyczerpały. W Muzeum Życia Wyspiarskiego, nowej, kompleksowej i eleganckiej placówce ufundowanej właśnie dzięki dochodom z przemysłu naftowego, neolityczne rysunki naskalne prezentowano na kilku ekspozycjach, ale tylko jedna dotyczyła źródła zysków, które odmieniło życie mieszkańców. Rezerwa, z jaką Szetlandczycy podchodzili do swoich bogactw, zmotywowała Mabbuta do pracy. Początkowo było mu wstyd, że przyjął tak trywialne zlecenie, ale później zobaczył się w roli człowieka spoza firmy, autentycznego outsidera, który może szczerze i obiektywnie opisać prawdziwe znaczenie Sullom Voe dla Szetlandów. Szybko zrozumiał jednak, że nie na tym miało polegać jego zadanie. Przedsiębiorstwa naftowe zawsze prowadziły ostrożną politykę informacyjną, a po katastrofach takich jak wyciek ropy w Zatoce Meksykańskiej ich skrytość zaczęła się ocierać wręcz o paranoję. NorthOil nie był wyjątkiem.

Kiedy w czterystuhektarowym kompleksie leżącym sześćdziesiąt kilometrów na północ od Lerwick zaostrzono środki bezpieczeństwa, Mabbut zdał sobie sprawę, że zleceniodawcy płacą mu za stworzenie pozytywnego obrazu terminalu. Wzmianki o chaotycznych początkach budowy, kiedy pracowników sprowadzonych z zagranicy zakwaterowano na zupełnie nieprzygotowanej do tego wyspie, o wybuchu bomby IRA w dniu, w którym królowa oficjalnie otworzyła placówkę, i o dwóch potencjalnie katastrofalnych wyciekach w pobliżu terminalu, spotkały się z niechętnym przyjęciem lub zostały bezceremonialnie wykreślone z manuskryptu. Niektórym miejscowym kierownikom nie spodobał się też sam autor. Mabbut był nie tylko outsiderem – określanym tu mianem „południowca”, bo przybył do portu Lerwick od jego południowej strony – lecz także

przedstawicielem najbardziej znienawidzonego gatunku: dziennikarzy specjalizujących się w tematyce ekologicznej.

Kevin O'Connolly szczycił się swoim bezpośrednim, otwartym podejściem do ludzi. Kiedyś miał problem z alkoholem, do firmy dołączył jako nastolatek. Gdy na stół wjeżdżały parujące talerze z biriani, murgh mussallam i rogan josh, uciszył zgromadzonych, klaszcząc w dłonie.

– Zanim zabierzecie się za curry, chciałbym w imieniu NorthOil podziękować Keithowi i wszystkim, którzy pomogli mu w pracy nad książką o tym, co tu wspólnie tworzymy. Szczególnie dziękuję tym, którzy przy okazji sami się dowiedzieli, czym się tak naprawdę zajmują.

Śmiech.

– Przemysł naftowy jest dziś dyżurnym chłopcem do bicia, dlatego miło jest przeczytać o sobie coś dobrego, chociażby to, że wystarczyły nam cztery lata, żeby zamienić zwykłe torfowisko w największy europejski terminal naftowy, który pracuje dzień i noc już od trzydziestu lat. Gdyby ekoświry miały coś do gadania, znów byłoby tu torfowisko, ale na szczęście mamy po swojej stronie kogoś takiego jak Keith, który przedstawi historię terminalu z naszej perspektywy, a jest to piękna historia, z której wszyscy możemy być dumni. Dlatego w imieniu firmy, a wiem, że nasz dyrektor zarządzający zgodziłby się ze mną, chciałbym podziękować Keithowi za to, że odwalił kawał dobrej roboty – jak na Angola…

Nerwowy śmiech.

– …ponieważ udało mu się pokazać kompetencje, przedsiębiorczość i wytrwałość zespołu Sullom Voe, a więc cechy, które terminal ucieleśnia już od trzydziestu lat. Jeśli chcecie sobie przypomnieć, jak ważna jest nasza firma i jak świetnie sobie radzi, sięgnijcie po tę książkę. Wszyscy z niecierpliwością czekamy na darmowe egzemplarze.

Kolejny wybuch śmiechu.

– Tak więc: dziękujemy, Keith.

O'Connolly sięgnął po paczkę, którą Rob Taggart położył mu na krześle.

– I wszyscy w NorthOil chcielibyśmy, żebyś przyjął ten drobiazg jako wyraz naszej wdzięczności.

– Dożywotnia przepustka! – krzyknął ktoś z sali, wywołując salwę śmiechu.

– Szkocki paszport – zawołał ktoś inny, co rozbawiło wszystkich jeszcze bardziej.

W rzeczywistości prezentem okazała się kurtka na każdą pogodę dla pracowników platform wiertniczych z żółtym napisem „NorthOil" na plecach. Strój, w którym lepiej nie pokazywać się na najbliższym zebraniu Greenpeace'u.

W odpowiedzi Mabbut wygłosił własne podziękowania – krótkie, żeby przypadkiem nie zdradzić się z tym, jak frustrująca była praca nad książką ze świadomością, że każdy menedżer patrzy mu na ręce. Niedługo potem O'Connolly wymówił się obowiązkami i opuścił restaurację. Na pożegnanie potrząsnął mocno dłonią Mabbuta – ściskanie się z mężczyzną nie było w jego stylu. Atmosfera się rozluźniła. Jedzenie było smaczne, a ci, którzy zostali, wiedząc, że firma pokrywa rachunek, przerzucili się z piwa na wino, a nawet na jakiś dziwaczny indyjski likier, który Rani przyniósł z zaplecza. Mabbut wdał się w długą rozmowę z Laurie z księgowości, która spędziła na wyspie całe życie i marzyła o tym, żeby zwiedzić świat. Nigdy nie była w Londynie i niezależnie od wszelkich przestróg Mabbuta i tak chciała się tam wybrać.

Robiło się coraz później, więc osoby spoza Lerwick zaczęły się żegnać i wychodzić. Wkrótce zostali już tylko Mabbut, Roscoe Gunn i Mae Lennox. Roscoe był ponurakiem, na którego alkohol nie wywierał żadnego widocznego wpływu. A co gorsza, był ponurakiem lubiącym towarzystwo. To zabójcze połączenie sprawiło, że dopiero dobrze po północy uścisnął dłoń Mabbuta po raz ostatni i zniknął

w ciemnościach. Mabbut poczekał, aż Mae Lennox ureguluje rachunek. Kiedy wyszli na Bank Lane, zobaczyli przed sobą bezchmurne niebo, na którym wyraźnie odcinał się niewielki sierp księżyca. Żadne z nich nie chciało się rozstać z tym widokiem, więc ruszyli w stronę brzegu. Na tle granatowej toni rysował się norweski trójmasztowiec, który niedawno przybił do portu. Skręcili na południe i szli Commercial Street, ulicą masywnych starych gmachów biegnących wzdłuż morza, delikatnie obmywającego kamienne stopnie prowadzące z domów nad wodę.

Mabbut czuł, że ze wszystkich osób poznanych w Sullom Voe najbardziej będzie mu brakowało właśnie Mae. Była po czterdziestce i nigdy nie wyszła za mąż – poświęciła się pracy. Musiała odrzucić niejedne oświadczyny – tryskała energią i świetnie wyglądała, nie wkładając w to szczególnego wysiłku. Spędzili razem dużo czasu i zbliżyli się do siebie, ale ona traktowała Mabbuta raczej jako kolegę niż kandydata na partnera, podczas gdy jego uczucia były bardziej skomplikowane.

– Idziemy na cypel?

Mae zareagowała udawanym przerażeniem.

– Na cypel?! Ależ panie Mabbut, rano idę do pracy.

– To moja ostatnia noc.

– Mam złe buty.

– Zaniosę cię.

Mae parsknęła śmiechem i spojrzała w niebo.

– No dobrze, przejdźmy się jeszcze kawałek. Niesamowity wieczór.

Gdy wyszli spod osłony budynków, poczuli wiatr znad morza, otulili się więc szczelniej płaszczami. Na szczycie następnego wzgórza znaleźli schronienie wśród nowoczesnych bungalowów i ogromnych kamiennych domów ze szpiczastymi dachami, bezładnie rozrzuconych. Między budynkami biegła kręta ścieżka, która wiodła w dół na niski klif, a później wznosiła się wyżej i prowadziła obok cmentarza. Zwarte szeregi szarych nagrobków ciągnęły się na

wzgórzu niczym milcząca armia obserwatorów. Keith i Mae nie odzywali się, dopóki nie doszli na cypel znany jako Knab, gdzie z racji wiodącego tędy szlaku turystycznego ustawiono niewielką wiatę. Usiedli pod nią, patrząc na rozgwieżdżone niebo nad lekko falującymi, srebrnoszarymi wodami cieśniny.

Mae wysunęła włosy zza kołnierza płaszcza.

– Jakbym znów miała naście lat.

Mabbut objął ją po przyjacielsku, ale dość mocno, by poczuć jej zgrabne kształty między talią a klatką piersiową.

– Ja już nie pamiętam, jak to jest.

Odwróciła się do niego.

– Że niby mam ci współczuć? Spójrz na mnie. Jestem już dobrze po czterdziestce.

– Och, przed tobą jeszcze wiele życia, Mae. Ja większość mam już za sobą.

– Daj spokój. Ile ty masz lat? Pięćdziesiąt sześć?

– Powinnaś wiedzieć, w końcu sama mnie zatrudniłaś.

– Pięćdziesiąt sześć to jeszcze nic.

– To pięćdziesiąt sześć razy nic – odparł smętnie Mabbut.

Przed nimi nad południowym horyzontem sunęło kilka chmur.

– Gdyby na zajęciach z dziennikarstwa ktoś mi powiedział, że dobiegając sześćdziesiątki, będę odbierał podziękowania od firmy naftowej za troskę o jej wizerunek, rzuciłbym to wszystko i został dziadkiem klozetowym.

– Wielkie dzięki.

– Wiesz, o co mi chodzi. To nic osobistego. Po prostu kolejny raz uświadamiam sobie, że sukces to coś, co zdarza się innym.

Mae ze zniecierpliwieniem pokręciła głową.

– Znowu to samo, Keith. Jak zwykle sam sobie dokładasz zmartwień.

– Inni też mi ich dokładają. Pamiętasz, jak zareagował O'Connolly na najciekawszy fragment o początkach firmy, kiedy mówiono radzie

miasta jedno, a robiono drugie? „To byli jacyś wichrzyciele, Keith. Ci ludzie nie dostrzegliby okazji do zrobienia interesu, nawet gdyby się o nią potknęli". To jego słowa.

Mae zaśmiała się krótko.

– Dobrze na tym wyszliśmy.

Mabbut parsknął ze złością.

– Jasne, ale tylko dlatego, że niektórzy z was się upomnieli. Zmusili firmę do wypłacenia odszkodowań. Tego nie pozwolono mi umieścić w książce.

Księżyc przesłoniła chmura, a srebrne dotąd morze zalśniło czernią.

– Wiesz, Mae, czasami mi się śni, że przechodzę przez most w godzinie szczytu, a wszyscy inni idą w przeciwnym kierunku.

– Sam utrudniasz sobie życie. Zupełnie niepotrzebnie. W końcu nikt nie jest doskonały.

– Nie mówię o doskonałości, Mae, tylko o uczciwym dziennikarstwie. Oni dostali to, czego chcieli, ale ja wyobrażałem sobie tę książkę inaczej.

Ostatnią noc z Mae Lennox na Szetlandach też wyobrażał sobie inaczej. Spróbował się uśmiechnąć, ale nie wypadł przekonująco.

– Przepraszam, Mae. Rozpacz mam w genach. To silniejsze ode mnie.

Odwrócił się do niej i przysunął bliżej.

– Będę za tobą tęsknić, Mae.

– Ja za tobą też.

Pogłaskał ją delikatnie po ramieniu.

– Przyjedź do Londynu.

Mae wybuchła śmiechem, trochę za bardzo rozbawiona jak na jego gust.

– Ja? Nie ma mowy. Obiecałam mamie, że moja noga nigdy nie postanie na południe od Berwick-upon-Tweed.

– Ja nie żartuję. Mówię poważnie. – Odsunął się. – Przyjedź do Londynu. Przyjedź i zamieszkaj ze mną.

Mae zamilkła, zaśmiała się, pokręciła głową i znów parsknęła śmiechem.

– Dlaczego nie? Byłoby cudownie. Tak dobrze się dogadujemy. Czuję, że mnie rozumiesz, Mae.

– Dlaczego nie? Przede wszystkim dlatego, że jesteś żonaty. Będziesz mnie ukrywał w jakiejś komórce?

Mabbut zdał sobie sprawę z otaczającej ich ciszy. Księżyc zniknął, wiatr ustał.

– Tak tylko rzuciłem – mruknął.

Mae pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Oboje dużo wypiliśmy.

– Dlatego odważyłem się to wszystko powiedzieć, co nie znaczy, że wcześniej o tym nie myślałem…

Mabbut urwał. Wpatrzony w atramentowo czarną noc wziął dwa głębokie wdechy.

Mae nakryła jego dłoń swoją.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Keith. Powinieneś o tym pamiętać.

Siedzieli tam w milczeniu jeszcze przez chwilę. Mae wyjrzała zza wiaty.

– Pogoda się zmienia. – Spojrzała na zegarek i zerwała się na nogi. – I jest już druga!

Ruszyli z powrotem do miasta. Kiedy mijali cypel, dosięgnął ich inny, północny wiatr, tak przenikliwy i mocny, że przytulili się do siebie. Tak dotarli do wylotu krótkiej stromej uliczki, prowadzącej do hotelu Keitha.

Uścisnął ją ostatni raz.

– Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, Mae. Przy jakiejś innej okazji.

– Ja też.

– W jakąś szaloną noc w Berwick-upon-Tweed?

Uśmiechnęła się, ścisnęła jego dłoń, a potem odwróciła się i szybkim krokiem oddaliła Commercial Street, stukając obcasami po

bruku.

Spoglądał za nią dłuższą chwilę, ale nie obejrzała się za siebie.

O szyby Clickimin Suite bębniły pierwsze krople porannego deszczu.

– Życzy pan sobie śniadanie na ciepło?

Wyrwany z zadumy Keith spojrzał na wesołego Filipińczyka z notesem w dłoniach i pokręcił głową.

– Nie, nie, dziękuję.

Wyjrzał przez okno. Między drzewami i garażami majaczyło morze. Był zadowolony, że poprzedniej nocy nie powiedział Mae, jak naprawdę mają się sprawy z Krystyną, ale mimowolnie zastanawiał się, jaki efekt wywołałyby jego słowa.

On sam dowiedział się trzy dni wcześniej. Tamten poranek spędził w terminalu, upewniając się ostatni raz co do takich danych jak pojemność zbiornika pomiarowego i współczynnik prefabrykacji. Wracał właśnie z Voe, kiedy zadzwoniła jego komórka. Krystyna. Od czasu rozstania ich rozmowy przebiegały w ściśle ustalony sposób: w poniedziałkowy wieczór około ósmej bez zbędnych emocji wymieniali podstawowe informacje; wszystko zabierało nie więcej niż dziesięć minut. To połączenie stanowiło zatem odstępstwo od reguły. W głosie Krystyny słychać było napięcie. Zapytała Keitha, czy może rozmawiać, więc zjechał na pobocze i zatrzymał się na żużlowym podjeździe przed niewielkim pobielonym domkiem. To był jeden z przyjemniejszych dni na wyspie. Późnopopołudniowa bryza leniwie przesuwała chmury po błękitnym niebie.

Żona Mabbuta zakomunikowała mu zwięźle swoje nowiny. Kogoś poznała. Byli sobą zainteresowani, a on zaproponował, żeby się do niego wprowadziła. Dotychczas mieszkała z ich synem Samem, ale to przecież nie było idealnym rozwiązaniem, więc zamierzała się zgodzić.

Mabbut przyjął to w milczeniu. Rozpraszała go para bielików, które szybowały wprost przed nim, powoli wznosząc się i opadając.

Podziękował żonie za wiadomość, a potem, siląc się na niefrasobliwość, zapytał, dlaczego uznała za konieczne dzwonić do niego akurat w tym momencie. Wtedy oznajmiła, że chce rozwodu.

Nie powinno było go to zdziwić. Tak długo żyli osobno, że zaczął traktować separację jako swego rodzaju bliskość. Jedynym, co ich łączyło, była niemożność wspólnego życia. Dzień wcześniej kupił jej dość drogi sweter z szetlandzkiej wełny. Zawsze miał problem ze znalezieniem odpowiedniego prezentu, ale delikatnie wzorzystym swetrem w odcieniach szarości i bladych błękitów trafił w dziesiątkę. Dając go Krystynie, potwierdziłby, że wciąż tli się między nimi coś więcej niż tylko troska o dzieci.

Nie chciał wracać do hotelu, więc zawrócił i dojechał tą samą trasą aż do Brae, wioski, która dzięki sąsiedztwu terminalu rozrosła się do rozmiarów małego miasteczka. Pieniądze z ropy naftowej, umiejętnie wyciągane od firm przez niestrudzoną radę miasta, przeznaczono na budowę nowej szkoły i centrum rozrywki, którym mogłaby się chlubić miejscowość dwudziestokrotnie większa. Na zboczu wyrastała kolonia nowych domków skandynawskich, nazywanych przez miejscowych domkami dla lalek. Dla ich mieszkańców powstawały nowe restauracje i sklepy. Poprzedniej zimy Mae wynajęła jeden z tych domków dla Keitha, żeby miał bliżej do terminalu w te dni, gdy słońce zachodziło o trzeciej po południu i nie pojawiało się do następnego poranka.

Zamiast pojechać prosto do terminalu, Mabbut wybrał boczną drogę na zachód przez wąski most, który prowadził na skalistą wysepkę z czerwonego granitu. Dojechał samochodem tak daleko, jak się dało, a potem przeszedł około pół mili na skraj klifów. Usiadł na porośniętej trawą krawędzi i wbił wzrok w morze. Po drugiej stronie widział kontury wysp Papa Little i Vementry. Na zachód aż po wybrzeże Grenlandii rozciągała się niezmącona tafla Atlantyku. Mewy krążyły nad wodą, pokrzykując na siebie, a fale napierały i rozbijały się o lśniąco czarne skały jakieś pięćdziesiąt metrów niżej.

Krystyna Woniejska była jedną z uczestniczek kursu kreatywnego pisania, który prowadził w Leeds na początku lat osiemdziesiątych. Mabbut od wczesnego dzieciństwa pochłaniał książki z nienasyconym apetytem. Zaczął pisać opowiadania, gdy tylko nauczył się składać litery. W szkole średniej Huddersfield Grammar rywalizował z niejakim Clive'em Attwellem o najlepszy wynik z języka angielskiego. Attwell wyszedł z tej próby zwycięsko pod każdym względem i otrzymał stypendium Uniwersytetu Cambridge. Mabbut, bardziej utalentowany pisarz z nich dwojga, trafił na Uniwersytet Hull. Rozgoryczony takim obrotem sprawy zainteresował się polityką. Trzy lata później skończył studia z dobrym wynikiem i opinią niezłego prowokatora, czym zapewnił sobie miejsce w lokalnej szkole dziennikarstwa. Upłynęły kolejne trzy lata, zanim zorientował się, że nie ma sprecyzowanych poglądów politycznych i zamiast podejmować decyzje, woli na nie reagować. Wtedy z pomocą żony dobrego przyjaciela, z którą łączył go przelotny romans, zdobył stanowisko wykładowcy pierwszego kursu kreatywnego pisania na politechnice w Leeds. Miał zmienne szczęście do kobiet. Łatwo się zakochiwał, ale zwykle nie najlepiej lokował uczucia. Był raczej romantykiem niż playboyem. Dopiero po dłuższym czasie i kilku zawodach miłosnych uświadomił sobie, że Krys różni się od innych kobiet. Była Polką, najmłodszą z sześciorga dzieci pary oficerów lotnictwa, którzy po wojnie zostali w Anglii. Początkowo zwrócił na nią uwagę nie z powodu jej urody, tylko arogancji. W odróżnieniu od swoich koleżanek Angielek nie miała w sobie krzty pokory. Kiedy popełniła błąd lub pomyliła się w ocenie, zadzierała wysoko podbródek, a oczy pałały jej jak u śmiertelnie ranionego zwierzęcia. Wielu zraziła tym zachowaniem, ale komuś takiemu jak Mabbut, komuś, kto lubi się spierać, ale nienawidzi konfrontacji, wydawało się ono nieodparcie pociągające. I to na tyle, że zaczął specjalnie wyszukiwać pomyłki w jej tekstach, żeby wywołać upragnioną reakcję. Któregoś razu tak bardzo rozzłościły ją komentarze

wykładowcy, że zażądała prywatnej rozmowy z nim i jego przełożonymi w celu złożenia skargi. Mabbut zdołał odwieść ją od pomysłu oficjalnego spotkania, za to zgodził się zostać po zajęciach, żeby omówić z nią tę kwestię w cztery oczy.

Odkrył, że jej nieustępliwość – zresztą tak jak jego ugodowość – była jedynie mechanizmem obronnym. Dorastanie z pięciorgiem rodzeństwa na angielskiej wsi, w dodatku z niemożliwym do wymówienia nazwiskiem, oznaczało dla Krystyny ciągłą walkę. Lubili podobne książki i filmy, więc zaczęli się spotykać. Na bliskość fizyczną musiał długo czekać, ale kiedy wreszcie nadeszła, przyćmiła jego dotychczasowe doświadczenia. Wtedy poczuł, że jest po uszy zakochany w tej trudnej, przekornej, wyjątkowej kobiecie, którą zesłał mu los. Trudniej było mu zrozumieć, dlaczego ona zainteresowała się nim. W zasadzie nie poruszała w rozmowie takich spraw. Nie była refleksyjna ani szczególnie wnikliwa (przez co kiepsko radziła sobie z kreatywnym pisaniem), ale jego rozważne, analityczne podejście do życia działało na nią kojąco. Przy nim mniej rzeczy ją oburzało. W dniu ślubu wyglądała zjawiskowo, a Keith czuł dumę i ulgę, że jego życie wreszcie nabrało znaczenia. Przyrzekli sobie, że nie opuszczą się aż do śmierci.

Mabbut przez chwilę wpatrywał się pustym wzrokiem w ocean, a kiedy podniósł oczy, zauważył na tafli wody białe grzywy fal. Z zachodu nadciągała ściana szarych chmur. Widok był imponujący i Keitha korciło, żeby tu zostać i patrzeć dalej. Wiedział jednak z doświadczenia, że szetlandzkie burze mogą trwać godzinami, dlatego wstał. Chwilę zbierał siły na zderzenie z wiatrem, a potem ruszył do samochodu.

Zanim dojechał z powrotem do Lerwick, w mieście zdążyła rozpętać się nawałnica. Zatrzymał samochód na parkingu hotelowym i wyłączył silnik. Patrzył na strugi deszczu spływające po przedniej szybie. Od rozstania z żoną wielokrotnie usiłował sobie przypomnieć, w którym momencie zrozumiał, że wszystko przepadło, jakby to

mogło przynieść odpowiedź na każde inne pytanie. I nadal nie wiedział. Pamiętał przykre, wypowiedziane w gniewie słowa, a nawet sporadyczne awantury, ale nie odnalazł wśród nich tej decydującej kropli, która przelała czarę. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to że ich związek rozpadał się właściwie od pierwszej chwili, gdy się poznali. Oboje dopasowali swoje zachowanie do oczekiwań partnera. Krystyna zrobiła się mniej wybuchowa, on – mniej ugodowy. Takie rozwiązanie długo się sprawdzało i pozwoliło im nawet dobrze wychować dzieci, ale w którejś chwili przerodziło się w problem. Zawsze wiedział, że Krys jest bystra, ale kiedy złagodniała, inni dostrzegli również jej urok osobisty i zaczęła być lubiana. Gdy dzieci poszły do szkoły, pracowała jako sekretarka, najpierw z domu, a później w biurach. Współpracownik Mabbuta załatwił jej posadę pierwszej sekretarki, a potem asystentki jednej z grubych ryb w Związku Zawodowym Pracowników Transportu. Od tego momentu przestała być tylko kompetentnym pracownikiem – stała się wręcz rozchwytywana. Zatrudniały ją ważne komisje, a od czasu do czasu posłowie zwracali się do niej o pomoc w pracy nad swoimi książkami. Tymczasem on, jej dawny nauczyciel, przeżył znacznie więcej wzlotów i upadków. Wybił się jako dziennikarz ekologiczny i wyrobił sobie niezłą markę. Reportaż o tym, że jedno z przedsiębiorstw wodno-kanalizacyjnych zatruwa lokalną rzekę toksycznymi odpadami, przyniósł mu nagrodę i pewną sławę. Kiedy jednak próbował powtórzyć ten sukces, odkrył, że zamknęło się przed nim wiele dawniej otwartych drzwi. Nie potrafił pogodzić się z faktem, że czasy ujawniania wielkich skandali ma już za sobą. Stawał się coraz bardziej uparty i nieprzejednany – czyli jak na ironię nabierał tych samych cech, które pociągały go dawniej w Krystynie. Ich role się odwróciły. Teraz to ona go uspokajała, a on coraz częściej zachowywał się nieprzewidywalnie. Mabbut tłumaczył sobie, że świat się zmienił, a dziennikarstwo wraz z nim, więc pisarze z kręgosłupem, tacy jak on, nie mają czego szukać w branży

zdominowanej przez wywierających naciski właścicieli i bojaźliwych redaktorów. Lata taczeryzmu pozbawiły dziennikarzy woli walki. Woleli nie podkładać się publikacjami o aferach i skandalach. Chcieli politycznego konsensusu i stabilnego rynku pracy. I jak wszyscy inni chcieli mieć coraz więcej.

Po wielu lunchach w pubach w kurczącym się gronie kolegów o podobnych zapatrywaniach, Mabbut przekonał sam siebie, że najwyższy czas zmienić metody. Mimo że honoraria za raporty firmowe i teksty do dodatków prasowych ledwie wystarczały na opłacenie rachunków, Keith zaczął fantazjować o swojej pierwszej miłości, beletrystyce. Uczył kiedyś pisania, znalazł dzięki niemu żonę, ale nigdy nie miał dość wiary w siebie, żeby spróbować swoich sił. Zamiast tego wrócił do dziennikarstwa i proszę, dokąd go to doprowadziło. Teraz miał ostatnią szansę, żeby zmienić swoje życie, zanim będzie za późno.

Pracował nad pomysłami w zimowe szetlandzkie wieczory, aż wpadł na coś, czym sam się zaskoczył i podekscytował. Śmiały i ambitny projekt, który wymagałby czasu, skupienia i wyrzeczeń, ale – gdyby wypalił – mógłby zachwycić czytelników. Mabbut zapowiedział już agentce, że tym razem nie wyrzeknie się własnych poglądów i nie da się wynająć temu, kto zaoferuje najwięcej. Wykorzysta to, co zaoszczędził, wysługując się biznesowi, żeby kupić czas potrzebny na dopieszczenie nowego pomysłu.

Tymczasem Krys zaczęła właśnie zbierać owoce swojej zaradności i skuteczności. Nie rozumiała, dlaczego Keith zwyczajnie nie weźmie się w garść i nie zrobi tego samego. Zajęcia, które jemu wydawały się trudne do zniesienia, ona uznawała za ciekawe i opłacalne finansowo. Przez pewien czas własne pasmo sukcesów pozwalało Krys przymykać oko na wybujałe ambicje Mabbuta. Później dzieci skończyły szkołę i zaczęły marzyć o rzeczach, na które nie było już stać ich ojca; koszty tych marzeń w coraz większym stopniu spadały na nią. Sądziła, że swoje ciężko zarobione pieniądze będzie mogła

przeznaczyć na wszystkie te drobne przyjemności, które jej przyjaciele i znajomi z pracy uznawali za oczywistość. Zamiast tego musiała dofinansować synowi kredyt hipoteczny i opłacić córce studia. Nie chodziło o to, że straciła szacunek dla męża; po prostu przestała go rozumieć. Ona odnalazła się w życiu. On nie. Ona żądała praktyczności, on zasłaniał się kreatywnością. Ich spór toczył się od chwili, gdy się poznali. To on zbliżył ich do siebie. Teraz, dwadzieścia pięć lat później, mieli się przez niego rozstać.

– Czy można to już zabrać, sir?

Mabbut rozejrzał się po sali. Restauracja Clickimin Suite opustoszała. Kelnerki sprzątały ze stolików, przecierały blaty i kładły świeżą zastawę. Dopił herbatę, zapłacił rachunek, a potem, pożegnawszy się z obsługą, wyszedł z hotelu Stratsa House i wsiadł do czekającej już taksówki.

DWA

– Po prostu chciałabym, żebyście się poznali.

– Potrzebujesz mojej aprobaty?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Keith, wiem, że to trudne, ale chciałabym, żebyśmy mogli być ze sobą szczerzy. Inaczej wszystko stracimy. W końcu zaczniemy się nienawidzić.

Mabbut rozmawiał przez słuchawkę na długim kablu, który z salonu z wykuszowymi oknami ciągnął się teraz aż do przedpokoju. Kiedy zadzwoniła Krystyna, odkurzał dywan w korytarzu i właśnie miał się zabrać za schody, pokryte szetlandzkim błotem i piachem. Zasadniczo to zadanie powinno należeć do Beryl, ale dwa miesiące wcześniej Mabbut zrezygnował z jej usług w ramach ograniczania wydatków. Krystyna przyjaźniła się z Beryl i nie miał jeszcze serca powiedzieć jej o swojej decyzji. Kolejny powód, żeby przyjąć pozycję obronną.

– Jestem absolutnie szczery, Krys. Nie chcę poznać tego palanta.

– Keith, mieszkaliśmy osobno przez prawie dwa lata.

– Dokładnie siedemnaście i pół miesiąca.

– Decyzję o rozstaniu podjęliśmy wspólnie, bo nie byliśmy ze sobą szczęśliwi.

– To ty nie byłaś szczęśliwa.

W słuchawce rozległ się jęk irytacji.

– Daj spokój! Nie zaczynajmy od nowa, bo będę musiała sobie przypomnieć te wszystkie epitety, którymi mnie raczyłeś, albo ile razy zawiodłeś mnie, Jay i Sama, kiedy cię potrzebowaliśmy.

– Za dużo na siebie wziąłem, rozumiesz? Już za to przepraszałem. Ktoś musiał utrzymywać rodzinę.

– Owszem: ja! Cztery noce w tygodniu, kiedy już wróciłam z biura i ugotowałam dla was wszystkich, adiustowałam raporty, które od początku powinny być porządnie napisane, żeby jakoś związać koniec z końcem, bo ty…

– Wiem, masz rację. Ale teraz wszystko się zmieniło.

– Niby co się zmieniło, Keith?

– Wreszcie mam czas, żeby napisać coś, co mnie naprawdę interesuje.

Krystyna nie wydawała się przekonana.

– *Przewodnik po elektrowni nuklearnej*?

To był cios poniżej pasa, ale postanowił go zignorować. Szarpnął kabel telefoniczny, który owinął się wokół żeliwnego stojaka na parasole. Krystyna była nim zachwycona, kiedy wypatrzyła go w miejscowym komisie.

– Wracam do beletrystyki. Napiszę powieść.

Cisza.

– Byłem w tym dobry, pamiętasz? Kiedy cię uczyłem.

– Znałeś się głównie na tym, co napisali inni.

Stanley, ich olbrzymi, leniwy czarny kot, pojawił się u szczytu schodów i spojrzał na Keitha. Wygiął grzbiet w łuk, rozciągnął po kolei łapy i otarł się o słupek balustrady. Mabbut dźgnął lewą stopą wyłącznik. Warkot odkurzacza ucichł.

– Teraz czuję się dużo pewniej. Dziś wszyscy czytają powieści, Krys. Długo się nad tym zastanawiałem. Mam pomysł, na którym mogę dużo zarobić.

– Jaki?

– To będzie trylogia. Same początki historii człowieka, kiedy ludzie dopiero zaczynali łączyć się w społeczności.

– Science fiction?

– Jakie znowu science fiction! – Mabbut tak mocno walnął końcówką odkurzacza w najniższy stopień, że Stanley czmychnął z powrotem do którejś z sypialni. – Science fiction to inne światy, kosmos i broń laserowa. Ja mówię o historii alternatywnej.

– A kto to kupił? Kto ci za to płaci?

– Na razie nikt mi jeszcze nie płaci. O to właśnie chodzi. Celowo nie biorę teraz zaliczki, najpierw chcę mieć co pokazać. To da mi znacznie silniejszą pozycję negocjacyjną przy sprzedaży praw do ekranizacji i tak dalej.

W słuchawce rozległ się świst gwałtownie wypuszczanego z płuc powietrza.

– Keith. Sam zalega z trzema ratami kredytu. Jay chce się wyprowadzić. Zejdź na ziemię.

– Jasne, pełna zgoda. Tylko nie rozumiem, jak miałby w tym pomóc rozwód.

– Posłuchaj, Keith. Rozwód uprawomocni tylko to, na czym teraz stoimy. Ja nie mogę żyć z tobą, a ty ze mną. Mam dobrą pracę i poznałam kogoś, komu zależy na mnie i na dzieciach. Wreszcie mam szansę ułożyć sobie życie na nowo.

– A co ze mną?

– Ty będziesz mógł pracować nad swoim arcydziełem i nie będziesz musiał się o mnie martwić.

– Ale ja lubię się o ciebie martwić.

– Posłuchaj. Proszę tylko o to, żebyśmy zachowywali się jak dorośli ludzie. Mogę cię okłamać albo powiedzieć ci prawdę. A prawda jest taka, że poznałam kogoś, z kim chcę spędzić resztę życia.

Cisza.

– Co się stało?

– To boli. Koszmarnie.

– Ale taka jest prawda. Co mam ci powiedzieć?

– Wszystko jedno. Tylko nie nazywaj tego prawdą.

– To dobry człowiek, Keith.

– Wierzę ci na słowo.

– Po prostu przyjdź i sam się przekonaj.

– Nie mogę. Zarobiony jestem. Mówię poważnie, Krys, nie mam na to ochoty.

Mabbut odłożył słuchawkę. Oddychał szybko i płytko, jakby wynurzył się spod wody.

– Znają się od jakiegoś czasu. Kiedyś był posłem, tak mi się wydaje. Teraz zasiada w różnych komisjach czy coś w tym stylu. Poznała go w jakiejś pracy dorywczej.

– Nie wiedziałem, że twoja matka pracowała dorywczo.

– Nigdy się tym nie zainteresowałeś.

Był wieczór. Keith siedział przy stole kuchennym, kartkując nieuważnie gazetę, którą okazał się wczorajszy „Evening Standard". Jay przygotowała dla nich dwojga kolację, na jego gust jak zwykle przesadzając trochę z sałatą. Kiedy krzątała się przy stole, przypominała mu Krystynę. Miała energiczne, zwinne ruchy. Ciemne włosy nosiła krótko przystrzyżone, co współgrało z jej szczupłą sylwetką i podkreślało ogromne orzechowe oczy, jedyną wskazówkę, że… był jej ojcem. Mabbut złożył gazetę i cisnął ją do pudła z makulaturą.

– No i?… Jaki on jest… ten facet? Jej nowy znajomy.

– Co masz na myśli?

– Niski, gruby, stary, młody? Rastafarianin?

– Rex? Jest w porządku.

– Rex? Kto w dzisiejszych czasach używa imienia Rex?

– Jest mniej więcej w twoim wieku. Może starszy. Ma trochę brzuszka. Kiedyś musiał być całkiem przystojny. Podejrzewamy z Samem, że ma sztuczne oko.

Zachichotała, zanurzając łyżkę w misce.

– Nałożyć ci?

Mabbut podsunął talerz, na którym wylądowała porcja czegoś niezidentyfikowanego.

– Czy do tego nie podaje się przypadkiem kiełbasek?

– Kiełbasek? Chyba żartujesz. Wiesz, że nie tknęłabym kiełbasy.

Jedli w milczeniu. Jay w jednej dłoni trzymała widelec, w drugiej – telefon komórkowy.

– Jest dość wytworny – dodała w końcu.

– Wytworny?

– No wiesz, taki trochę „ę-ą". Dla niego wszystko jest „niezwykle interesujące" albo „zachwycające". Każdego zna. Sam świetnie naśladuje Rexa.

– Będę o tym pamiętał. – Mabbut wbił widelec w coś czerwonego i półokrągłego, napotykając stanowczo zbyt mały opór. – Jeśli Sam łaskawie zechce się do mnie odezwać.

Jay pokręciła głową.

– Tato… czym się tak denerwujesz? Tym, że do nas wróciłeś?

– Nie, kochanie. Po prostu twój brat, a mój syn, ma jakąś awersję do rozmów ze mną.

– Może boi się, że go skrytykujesz.

– Skrytykuję? Skąd wam się to wzięło? Jestem po prostu ciekawy, czym się właściwie zajmujecie.

– Właśnie o tym mówię.

– Przecież nikogo nie osądzam. Staram się wam kibicować. Czy kiedykolwiek powstrzymywałem któreś z was przed realizowaniem swoich marzeń?

– Nie skakałeś z radości, kiedy Sam wstąpił do zespołu teatralnego.

– I miałem rację. Spójrz tylko na ludzi, których tam poznał! Nigdzie indziej nie uświadczysz takiej zbieraniny nieuleczalnych pesymistów. To mają być aktorzy?! Nie dogadaliby się nawet z listonoszem…

– Nie dogadaliby się nawet z listonoszem! – powtórzyła kpiąco Jay. – Boże, tato. Za to ty świetnie dogadałbyś się z Rexem.

– Przepraszam. Ja tylko chcę, żebyście byli szczęśliwi.

– Jesteśmy szczęśliwi, tato… Sam jest szczęśliwy na scenie. Mama jest szczęśliwa z Rexem, a ja jestem szczęśliwa z Szirajem.

– Szirajem? Jakim Szirajem?

– Cudownym, seksownym i zabawnym chłopakiem, który nie może uwierzyć w swoje szczęście, że mnie spotkał.

– I co z nim?

– Lubimy się.

Mabbut zastygł z widelcem w połowie drogi do ust.

– Kiedy to się stało?

– Kiedy byłeś na skutej lodem północy.

– A skąd pochodzi Sziraj?

– Jest Irańczykiem.

– To ciekawe. Mieszka tu, pracuje?

– No właśnie, tato, chciałabym cię o coś zapytać. Sziraj szuka miejsca, w którym mógłby się zatrzymać. Dopóki… dopóki…

– Dopóki co?

– On jest uchodźcą. Nie może wrócić do domu.

– Dlaczego?

– Dwóch jego braci aresztowała policja. Jemu udało się uciec dzięki jakimś kontaktom w ministerstwie spraw zagranicznych, ale jeśli wróci, wsadzą i jego.

– Na jakiej podstawie?

– Jego ojciec jest dziennikarzem. Napisał coś, czego nie powinien.

– Zapewne prawdę.

– Polubiłbyś go, tato. Naprawdę.

Mabbut przyswajał te wiadomości. Był zaintrygowany.

– To duże lepsze niż Wytworny Rex.

Roześmiali się oboje.

– Więc spotkasz się z nim? Teraz mieszka u kogoś kątem. Bardzo chciałabym… no wiesz… jakoś mu pomóc. I to szybko.

Pierwszy raz tego wieczoru Mabbutowi poprawił się humor. Najwyraźniej był jeszcze komuś potrzebny.

– Może pojutrze? Zaproś go na kolację.

– Dzięki, tatuśku.

Jay przechyliła się przez stół, żeby go pocałować.

– Cieszę się, że wróciłeś. Naprawdę.

Mabbut zmywał jeszcze naczynia, kiedy pół godziny później Jay wyszła z domu, otwierając drzwi ze wzrokiem wbitym w ekran komórki. Z dłońmi zanurzonymi w zlewie wyjrzał przez okno na to, co uchodziło za przydomowy ogródek. Trzy brudne, rdzewiejące krzesła ogrodowe, klomby zarośnięte chwastami i krzaki, które powinien był przyciąć wiele tygodni temu. Jego córka była zakochana. Pierwszy raz, o ile było mu wiadomo.

Tego wieczoru planował zrobić porządek w swojej skrzynce e-mailowej, na swoim biurku i w swojej głowie, usuwając z niej resztki myśli o NorthOil, żeby następnego dnia o dziewiątej rano móc bez przeszkód rozpocząć nowe życie. Ruszył po schodach na piętro, ale po kilku krokach zatrzymał się, obezwładniony nagłą tęsknotą: za Krystyną, którą miał zaraz stracić, i Mae, której już nigdy nie zobaczy. I za Jay, która znalazła sobie innego mężczyznę. To było krótkie, ostre ukłucie w sercu – poczucie opuszczenia, jakieś odległe wspomnienie osób, które od niego odchodzą, i lęk, że już nie wrócą. Ból był na tyle silny, że Keith złapał się poręczy balustrady i dość długo trwał w tej pozycji. Kiedy kłucie minęło, Mabbut wyprostował się, wziął kilka głębokich wdechów i ostrożnie wrócił do salonu. Wziął otwartą butelkę czerwonego wina i pilot od telewizora, a później opadł ciężko na kanapę z długim, głębokim westchnieniem.

Gdy się obudził, butelka była pusta. Na ekranie, w studiu zaaranżowanym na wojskowe centrum dowodzenia, przepytywano dwóch polityków o plany rozbudowy lotniska. Jeden z posłów kategorycznie opowiadał się za rozbudową, ponieważ w ostatecznym rozrachunku im większe lotnisko, tym mniejsze oddziaływanie środowiskowe. Na ogromnym ekranie za jego plecami wyświetliły się słowa: „Mniejsze oddziaływanie środowiskowe”. Jego oponent z równą stanowczością przekonywał, że pomysł jest fatalny,

ponieważ im większe lotnisko, tym więcej ludzi umrze z powodu zanieczyszczeń. Ogromny ekran głosił teraz: „Więcej zgonów z powodu zanieczyszczeń". Po krótkich poszukiwaniach Mabbut odnalazł pilota pod poduszką i wyłączył telewizor.

Siedział przez jakiś czas w ciszy, chłonąc atmosferę pokoju, w którym tak długo toczyło się jego wspólne życie z Krystyną. Przypomniał sobie ich wieczne kłótnie o miejsce kanapy w salonie. Krystyna nie miała wątpliwości, że sofa powinna stać tyłem do okna, tymczasem on upierał się przy odwrotnym ustawieniu, żeby można było wyglądać na zewnątrz. A to naturalnie rodziło pytanie, co tam jest do oglądania. Reserton Road N19, skromna uliczka trzypiętrowych edwardiańskich szeregowców z cegły, z białymi obramowaniami okien i szpiczastymi ścianami szczytowymi, wydawała mu się strzałem w dziesiątkę. Cieszył się, że zdążył kupić dom w tej okolicy, zanim zrobiła się modna i prestiżowa. Z punktu widzenia Krystyny na tym polegał cały problem. Na swój pragmatyczny polski sposób nie rozumiała, dlaczego ktokolwiek wybierał Reserton Road N19, jeśli miał choć cień szansy zamieszkać w jakiejś modnej, prestiżowej dzielnicy. Dla Mabbuta North Holloway było miejscem, w którym z radością spędziłby resztę życia. Krystyna uznawała je za najniższy szczebel na drabinie awansu społecznego. I dlatego wolała nie patrzeć z sofy na ulicę. Ostatecznie poszli na kompromis i ustawili ją bokiem do okna.

Miejsce naprzeciw kanapy zajmował stary sosnowy kredens, na którym stały wszystkie zdjęcia rodzinne. Wzrok Mabbuta padł teraz właśnie na nie. Na jednym ośmio- czy dziewięcioletni Sam tkwił w uścisku Krystyny, a na jej kolanach siedziała Jay z pretensjonalnie wydętymi ustami. Obok, na fotografii w srebrnej ramce, którą naprawdę należałoby już wypolerować, uwieczniono bardziej oficjalną scenę w hotelu Dorchester: Krystyna ubrana w długą czarną suknię obejmowała Keitha, dzierżącego w dłoni plastikowy płomień o fallicznym kształcie – Nagrodę British Gas w kategorii

Dziennikarstwo Ekologiczne. Z tyłu, niemal w tle, stało zdjęcie Rity i Grahama, jego matki i ojca, z jednej z ich podróży.

Kiedy tata Mabbuta odszedł z Egg Marketing Board na emeryturę, Rita nadała ich życiu wyższe tempo. Stali się modelowymi przedstawicielami swojego pokolenia: w jednym roku przeszli szlakami Pennine Way, Pembroke Coast Path i Offa's Dyke. Jeśli Rita wiedziała o czekających ich problemach, nigdy się z tym nie zdradziła i wydawała się równie wstrząśnięta chorobą męża, jak wszyscy pozostali. W ostatnim roku swego życia ten pełen energii, pobudliwy mężczyzna stał się mimowolnym świadkiem własnego odchodzenia. Lucy, siostra Mabbuta, mieszkała w Australii, więc to na niego spadła większość obowiązków. Jak na ironię, zainspirowany wyczynami rodziców, sam zapragnął zwiedzić trochę świata. Jego agentka załatwiła mu nawet atrakcyjne zlecenie od „Sunday Timesa" – reportaż o argentyńskiej zaporze Arianca, dzięki któremu mógłby podreperować swoją markę – ale właśnie wtedy rak ojca wszedł w ostatnie, długie stadium. Wyjazd był wykluczony. Z perspektywy czasu Keith widział, że to nie tyle śmierć ojca, co nagłe, zupełnie nieoczekiwane odejście matki niedługo potem odebrało mu wolę walki i popchnęło w ramiona wielkiego biznesu.

Wpatrywał się w zdjęcie rodziców przez dłuższą chwilę. Spoglądali na niego uśmiechnięci spod wydętych wiatrem kapturów. Na ich twarzach malowała się niepohamowana radość. Keith pozwolił sobie na ukłucie zazdrości – po całym życiu ciężkiej pracy osiągnęli tak wielkie szczęście.

TRZY

Rano, ku własnemu zdziwieniu, Mabbut obudził się wolny od swoich typowych obaw. Miał jasny umysł i towarzyszyło mu niezwykłe uczucie wyzwolenia. Wypełnił swój obowiązek, zarobił pieniądze, a teraz mógł zająć się tym, na czym naprawdę mu zależało. Tym, na czym w pewnym sensie zaczęło zależeć mu już wtedy, kiedy pierwszy raz zobaczył książkę. Chciał napisać powieść. Chciał być pisarzem. A teraz nadszedł pierwszy dzień jego nowego życia, dzień, w którym mógł wreszcie puścić wodze zbyt długo hamowanej wyobraźni.

Fabuła opierała się na założeniu, że kiedy w Afryce pojawili się pierwsi ludzie, jedno plemię odłączyło od pozostałych i spółkowało z ostatnimi potomkami z linii istot pozaziemskich. Członkowie tego plemienia tak dobrze przystosowali się do otaczających warunków, że w ciągu kilku pokoleń wykształcili niezwykły, zaawansowany tryb życia, a ponieważ zajmowali tereny położone z dala od głównych szlaków migracji, mogli wybudować swego rodzaju prehistoryczną Shangri La, miejsce bezpieczne, harmonijne i nowoczesne. Była to Albana, kraina, w której rozwinęła się etyka oparta na współpracy i pojednaniu, a przemocy nie znano. Później nadszedł dzień, kiedy świat odkrył tę oazę spokoju, więc mieszkańcy Albany musieli nauczyć się sprytu i okrucieństwa, żeby przetrwać. Z czasem stali się groźnym, budzącym postrach ludem. Jednak kilkoro członków plemienia uciekło i narażając się na mrożące krew w żyłach niebezpieczeństwa, postanowiło ocalić Pradawne Prawdy, tajemną wiedzę Albany.

Mabbut podciągnął rolety w swoim maleńkim gabinecie na półpiętrze u szczytu schodów, wpuszczając do środka chłodne poranne powietrze. Usadowił się przy komputerze i splótł palce. Dopił kawę, wyczyścił okulary, wydmuchał nos, wyciągnął pestkę jeżyny spomiędzy przednich zębów, westchnął ciężko i zaczął pisać. Dokładnie w tym momencie zadzwonił telefon.

Po latach zastanawiał się, czy gdyby wcześniej go wyłączył, tak jak zresztą planował, wszystkie późniejsze zdarzenia w ogóle miałyby miejsce.

Odebrał z przyzwyczajenia. Po drugiej stronie panowała cisza – dość długa, żeby Mabbut zorientował się, jaki to rodzaj ciszy, i odłożył słuchawkę, zanim rozmówca zdoła mu coś sprzedać. Telefon niemal natychmiast zadzwonił ponownie. Tym razem w słuchawce nie było ciszy.

– Przed chwilą dzwoniłam, a ty rzuciłeś słuchawką.

– Skąd miałem wiedzieć, że to ty? Nie odezwałaś się ani słowem.

– Nie dałeś mi szansy.

– Zwykle jej nie potrzebujesz.

– Dzwonię, żeby przekazać ci najlepszą wiadomość twojego życia, a ty rzucasz słuchawką.

– Myślałem, że chcesz mi coś sprzedać.

– I miałeś rację, mój drogi. A kiedy usłyszysz, co mam do zaoferowania, na pewno to kupisz.

Wzrok Mabbuta przyciągnął ruch za oknem. Z bluszczu porastającego ogrodzenie wyłonił się lis. Po chwili zniknął, a zaraz potem Keith zauważył, jak przemyka wzdłuż muru i chowa się w ogrodzie sąsiadów.

– Właśnie zacząłem moją powieść.

– Musimy porozmawiać. Lunch?

Mabbut poprawił się na krześle.

– To trylogia. Nie mogę przerywać pracy.

– O pierwszej w Goldings?

– Słuchaj, to musiałoby być coś naprawdę ważnego. Dziś jest mój pierwszy dzień. Jeśli go stracę, posypie mi się cały…

– To może być naprawdę ważne. Zaufaj mi, Keith. Czy inaczej odrywałabym pisarza od pracy nad książką?

Autobus zatrzymał się przy uniwersytecie. Mabbut minął salony ze sprzętem elektronicznym, przeszedł obok Yum Yum Sushi House i znalazł się przed znajomymi zielonymi drzwiami Goldings Dining Room. Za każdym razem zaskakiwało go, że restauracja jeszcze działa. Jej fasadę tworzyły panele pomalowane na zielono, a nazwa wypisana kursywą na szyldzie przypominała podpis. Dzień był na tyle ciepły, że dwa chybotliwe stoliczki wystawiono na chodnik. Agentka Mabbuta siedziała jednak w środku, tak daleko od światła słonecznego, jak to tylko możliwe. Jedną rękę miała zajętą telefonem komórkowym, drugą – kieliszkiem czerwonego wina. Przywitała się z Keithem półprzytomnie, nie przerywając rozmowy.

Mabbut uśmiechnął się do kelnerki, uderzająco pięknej Chorwatki, która zawsze sprawiała wrażenie nieszczęśliwej.

– Czerwone? – zapytała, zerkając na opróżniony do połowy kieliszek Silli.

– Lepiej nie.

Kelnerka wzruszyła ramionami, a jej twarz wykrzywił dziwny grymas, jedyna rzecz, jaka nie podobała się w niej Mabbutowi.

– Zacząłem nową książkę. Nie chcę się dekoncentrować – wyjaśnił.

Położyła na stole podkładkę i spojrzała na niego.

– O czym?

– O pierwszych Ziemianach.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– I Ziemiankach?

– Tak, tak, oczywiście. O Ziemiankach też.

Zapadła cisza, jakby słowa, które właśnie padły, w zupełności wyczerpywały temat.

– W takim razie co podać?

– Poproszę colę, Martino.

Silla, z telefonem wciąż przytkniętym do ucha, pokręciła stanowczo głową, pogroziła mu palcem i bezgłośnie powiedziała: „wino”.

Teraz to on pokręcił głową.

– Nie, nie dziś.

Silla powtórzyła swoją pantomimę, tym razem pomijając Mabbuta i zwracając się wprost do kelnerki. Zanim Keith zdążył zaprotestować, miał już przed sobą kieliszek. Chorwatka obdarzyła go jednym ze swoich niezrozumiałych, choć niezwykle atrakcyjnych półuśmiechów.

– Szef kuchni poleca dziś rigatoni.

Odwróciła się.

Silla Caldwell nakryła telefon dłonią i syknęła ostro:

– Siadaj. Nie stercz tak!

Mabbut uśmiechnął się ponuro i odsunął sobie krzesło, celowo szorując nim po nierówno wykafelkowanej podłodze.

Jego znajomość z Priscillą Caldwell zaczęła się dwadzieścia lat temu, w tym krótkim okresie, gdy był wchodzącą gwiazdą. Trafił nawet na listę „Wschodzących gwiazd”, dołączoną do artykułu o młodych nieustraszonych dziennikarzach, których nazwisk nie potrafił sobie teraz przypomnieć, zamieszczonego w niedzielnym wydaniu jednej z gazet. Silla lubiła młodych mężczyzn o radykalnych poglądach i mimo że pochodziła z okolic Londynu, a on był nieufnym chłopakiem z Północy, zawsze dobrze się rozumieli. Sekundowała mu w jego zamiłowaniu do dziennikarstwa śledczego, a kiedy okazało się, że to ślepy zaułek, dzięki swoim kontaktom wprowadziła go do statecznego, choć mało spektakularnego świata zleceń biznesowych. Mabbut nie odnosił tak wielkich sukcesów, żeby żądać jej niepodzielnej uwagi, a ona nie była mu na tyle bliska, żeby stać się ważną częścią jego życia. Dzięki tym założeniom ich zażyła, lecz nieabsorbująca relacja miała się świetnie. Aż do dziś, bo Mabbut

czuł, że coś się zmieniło. Duże zielone oczy Silli zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe niż zwykle, a z krzepkiej sylwetki bił wyjątkowy wigor.

Była podekscytowana.

Odłożyła komórkę na stół, posyłając jej przy tym znaczące spojrzenie.

– Dzwonił Ron Latham.

Keith zmarszczył brwi.

– Ron Latham. Z Urgent Books. Dawniej pracował dla Waddilow & Bowler, zanim przemianowali się na Herald & Barker. Wydał biografię Naleśników.

Mabbut znał to nazwisko z gazet, ale kojarzył je raczej z działem „Biznes" niż ze stronami o literaturze.

– To dziś jeden z największych graczy. Stoją za nim ogromne pieniądze.

Oczy Mabbuta zwęziły się. Silla z takim zapamiętaniem stuknęła kieliszkiem o jego kieliszek, że stało się jasne, iż nie był to jej pierwszy tego popołudnia.

– A on chce ciebie.

– Dlaczego?

Ale Silla myślała już o czymś innym. Przekartkowała menu, a potem przywołała dłonią kelnerkę.

– Zamawiamy – rzuciła.

Oboje wybrali danie dnia. Keith wypił swój kieliszek wina, a później jeszcze pół butelki, którą zamówiła Silla. Agentka pozostawała wręcz kokieteryjnie tajemnicza w kwestii, o której wspomniała wcześniej, i okazywała jedynie uprzejme zainteresowanie jego powieścią, więc gawędzili o tym i owym. Nieoczekiwanej rozrywki dostarczyła im niewielka bójka przed hiszpańskim klubem na tej samej ulicy. Po godzinie Silla włączyła komórkę i ucałowała go przelotnie.

– Widzimy się jutro rano.

– Słuchaj, Sillo, przez ciebie zmarnowałem pierwszy dzień pracy nad *Albaną*…

– Nad czym?

– Nad *Albaną*. Moją powieścią. Pamiętasz?

Silla odsunęła krzesło i wstała z lakonicznym uśmiechem.

– Swoją drogą, kiepski tytuł.

Pomachała rachunkiem.

– Albo Albania, albo Nirvana. Obu mieć nie możesz. Przepraszam!

Urocza Chorwatka wyłączyła komórkę i podeszła do nich.

– To tytuł roboczy.

– Zamówiliśmy jedną butelkę wody. Reszta była chyba z kranu.

Mabbut upierał się przy swoim.

– Nie pozwolę, żebyś zrujnowała mi kolejny dzień.

– Tutaj. Dwa razy San Pellegrino. A wypiliśmy tylko jedną butelkę.

Kelnerka wpatrywała się przez pewien czas w rachunek, jakby usiłowała odcyfrować starożytne runy.

– Okej. Zmienię to.

Silla sięgnęła po płaszcz.

– Pisarze funkcjonują inaczej niż reszta ludzi. Wiodą samotny, nieprzewidywalny żywot. Nigdy nie wiadomo, gdzie ich rzuci los.

– I co w związku z tym?

– Pisarz musi zachować otwarty umysł. Ma obowiązek być ciekawy życia, a ja mam obowiązek podsycać tę ciekawość. Uznaj to za początek wielkiej przygody.

Uściskała go energicznie.

– Spotkanie jest o jedenastej. Przyjadę po ciebie o dziesiątej.

– Pojadę metrem.

Zmarszczyła brwi.

– Kochany, to jakiś wygwizdów w Southwark.

Silla nie uznawała transportu publicznego. Potrząsnęła włosami, włożyła beret i posłała mu uśmiech dodający otuchy.

– Przyślę Hectora.

Który to Hector był właśnie powodem, dla którego Mabbut wolałby pojechać metrem.

CZTERY

Silla Caldwell należała do tych nielicznych agentów literackich, którzy nadal zatrudniali kierowcę. Wynikało to po części z troski o wizerunek, a po części z faktu, że mniej więcej rok wcześniej skasowała swój samochód po tym, jak wypiła o jedną karafkę za dużo ze szwedzkim autorem thrillerów. Nikt nie został ranny i cała sprawa pewnie uszłaby jej na sucho, gdyby nie to, że w samochodzie, w który wjechała, siedział policjant. Dzięki zręcznej kombinacji uroku osobistego i skruchy Silla zdołała uniknąć publicznego potępienia, a wszyscy jej znajomi uznali, że miała naprawdę dużo szczęścia. Poza stratą ekscentrycznej alfy romeo – modelu Spyder – jedyną karą, jaką poniosła, było pojawienie się w jej życiu Hectora Fischera.

Jego ogromna, gładko ostrzyżona i lekko spocona głowa rysowała się teraz przed Mabbutem, który siedział na tylnym siedzeniu BMW, unieruchomionego na jednokierunkowym Russell Square.

– Nie nadawała się dla niego – przekonywał Hector z groźnie brzmiącym, austriackim akcentem. – Zupełnie się dla niego nie nadawała.

Silla była pogrążona w rozmowie telefonicznej, więc Mabbut poczuł się w obowiązku zareagować.

– I co zrobił?

Hector spojrzał w lusterko i wpił wzrok w Mabbuta, jakby zaglądał do domu przez skrzynkę na listy.

– Co zrobił? A pan co by zrobił?

Samochody ruszyły z wolna. Keith, który przestał słuchać gdzieś na początku opowieści kierowcy, pokręcił wymijająco głową.

– Nie mam pojęcia.

– Nie ma pan pojęcia! Kobieta, którą wyciągnął pan z rynsztoka, pluje panu w twarz, a pan nie ma pojęcia!

Fischer zahamował ostro przed wymizerowanym staruszkiem na przejściu dla pieszych.

– Powiem panu, co ja bym zrobił! – wrzasnął, przekrzykując dźwięk swojego klaksonu. – Wyrzuciłbym ją na bruk i zmienił zamki! To bym zrobił!

Skręcili w Doughty Street. Niedługo po przeprowadzce do Londynu Mabbut przyszedł oddać tu hołd Charlesowi Dickensowi, który mieszkał i pracował w jednym z domów przy tej ulicy.

– Wystarczyło, żeby uroniła jedną łzę i zakręciła tyłkiem, a on już przyjmował ją z powrotem. „Och, nic się nie stało! Nie martw się! Zaopiekuję się tobą! Możesz na mnie liczyć. Już dobrze…”

Po tych wszystkich latach Mabbuta nadal zachwycało, jak wiele historii mieści każda londyńska ulica.

– Jak dla mnie, powinna trafić zupełnie gdzie indziej. Na stryczek! – Hector zachichotał ponuro i przyspieszył przed wysepką spowalniającą ruch. – Na stryczek! – powtórzył z lubością.

Silla skończyła jedną rozmowę i zaczęła następną. Mabbut postanowił udawać, że śpi.

Wydawnictwo Urgent Books zajmowało dwa pierwsze piętra dawnego składu tytoniu przy południowym brzegu rzeki między Southwark a London Bridge. W szczytowym momencie hossy na rynku nieruchomości magazyn został przebudowany z myślą o szybkiej sprzedaży. Dziś, mimo żeliwnych kolumn i solidnych murów z cegły, był praktycznie nie do odróżnienia od szeregu podobnych budynków komercyjnych, które nadawały sterylny charakter ekscentrycznemu dawniej nadbrzeżu.

Przeszklone drzwi rozsunęły się automatycznie, ukazując przestronną recepcję, osobliwe połączenie marmurowej posadzki

i pobielonych ceglanych ścian. Spiralna szklana klatka schodowa prowadziła do galerii i rzędu wind obsługujących wyższe piętra. Mabbut i Silla byli w połowie drogi na górę, kiedy na balkon nad nimi wyszedł żylasty, wysportowany mężczyzna. Silla pomachała do niego. Odpowiedział skinieniem głowy i mrugnięciem, które mogło być skurczem mięśni. Albo zwykłym mrugnięciem.

Ron Latham zupełnie nie pasował do wyobrażeń Mabbuta o wydawcy. Miał kruczoczarne, kręcone włosy i prawie nienaturalnie gładką cerę, która przywodziła na myśl figurę woskową. Koszulę bez kołnierzyka wsunął w obcisłe czarne dżinsy. Nosił okulary bez oprawki, tak cienkie, że wyglądały niemal na przyrośnięte do czaszki. Równie dobrze mógł mieć dwadzieścia pięć jak czterdzieści pięć lat. Powitał Sillę pocałunkiem, a Mabbuta silnym uściskiem zaskakująco delikatnej dłoni.

– Ron Latham. Jestem dyrektorem generalnym. Wszyscy mówią do mnie Ron.

Uśmiechnął się bez cienia wesołości i poprowadził ich przez biuro na planie otwartym, mijając dwadzieścia lub trzydzieści biurek, znad których nikt nie podniósł wzroku. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdował się jedyny pokój z prawdziwymi drzwiami: stalowymi, wykończonymi twardym drewnem. Latham otworzył je i zaprosił gości do sali konferencyjnej z szerokim panoramicznym oknem wychodzącym na Tamizę. Mabbut zdążył tylko zauważyć pociąg, toczący się przez most na stację Cannon Street, zanim Latham wcisnął guzik na pilocie i opuścił rolety.

– Przepraszam. Trochę tu jasno. Kawy?

Jeden koniec stołu konferencyjnego ze szklanym blatem zastawiony był wyborem dań śniadaniowych. Latham nalał kawę i szerokim gestem wskazał przygotowaną ucztę.

– Mamy tu sok i ciastka. Croissanty. Częstujcie się.

Jego głos nie brzmiał zachęcająco.

Latham i Silla rozmawiali przez chwilę o wspólnych znajomych i sytuacji na rynku. Wyglądało na to, że dobrze się czują w swoim towarzystwie. Mabbut rozejrzał się po sali. Przy jednej ze ścian stał stojak, z którego zwisały arkusze papieru, poruszane niemal niedostrzegalnie cichym powiewem klimatyzacji.

Jak na wydawnictwo, niewiele było tam książek. Może tak miała wyglądać przyszłość. Świat na ekranie. Mabbut był pod tym względem staroświecki. Co prawda używał komórki i komputera, ale niezbyt wprawnie, a w trasie polegał przede wszystkim na swoim notesie i ołówku.

Sięgając po croissanta, Mabbut napotkał spojrzenie Lathama.

Latham uśmiechnął się lakonicznie, profesjonalnie. Może i on był zdenerwowany, bo odezwał się z nieprzekonującą poufałością.

– Znam Priscillę, odkąd pisała o celebrytach dla grupy Chronicle. Lubię ją, bo zawsze chadza własnymi ścieżkami. Nigdy nie ulega owczemu pędowi.

Mabbut właśnie miał posmarować rogalika masłem, ale się powstrzymał.

– Więc kiedy pojawił się ten projekt, ją pierwszą poprosiliśmy o rekomendację.

Mabbut zerknął na swoją agentkę po drugiej stronie stołu. Na twarzy Silli nie dostrzegł ani śladu sceptycyzmu, który był jej znakiem rozpoznawczym. Patrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem pełnym obaw, zaniepokojona jak matka, która przyprowadziła dziecko do lekarza.

Latham dopił kawę i odstawił filiżankę na stół. Uśmiechnął się.

– A ona pomyślała o panu.

– O co właściwie chodzi? – spytał Mabbut.

– O coś bardzo ekscytującego.

Latham wskazał na rząd krzeseł i wcisnął przycisk na pilocie. Z sufitu z cichym szmerem wysunął się ekran.

– To ściśle tajny materiał, ale pozwoli zorientować się panu, o czym mowa.

Nacisnął inny guzik i w pokoju zrobiło się ciemno. Ekran rozświetlił przykuwający wzrok obraz: postać przemierzająca kamienisty teren w jakimś gorącym kraju. Operator kamery zrobił zbliżenie, ukazując imponującego mężczyznę w średnim lub starszym wieku z gęstą grzywą siwiejących włosów.

Mabbut rozpoznał go, zanim na ekranie pojawił się podpis.

– Hamish Melville – oznajmił pouczającym tonem lektor. – Lat siedemdziesiąt pięć. Antropolog i aktywista.

Tu nastąpiła seria zbliżeń, prezentujących ogromną głowę i twarz o ostrych rysach, z głęboko osadzonymi oczami, jakby należały do człowieka wyglądającego na zewnątrz z jaskini. Twarz na ekranie była nie tyle przystojna – miała zbyt wydatny nos i kości policzkowe – co hipnotyzująca. Tak wyglądał Jan Chrzciciel na renesansowych obrazach. Wrażenie to potęgowały długie, splątane włosy. Kolejne ujęcia przedstawiały Melville'a w ruchu. Przedzierał się przez busz, stał otoczony niewielką grupką członków miejscowego plemienia albo wraz z innymi protestującymi siedział po turecku przed szeregiem policjantów. Na ekranie pojawiały się różne nazwy geograficzne: Bangladesz, Brazylia, Borneo. Ośrodki najgorętszych sporów ekologicznych.

Materiał był co prawda rzeczowy i obiektywny, ale Mabbutowi wydał się fascynujący. W czasach powszechnego dostępu do informacji Hamish Melville pozostawał tajemniczym indywidualistą. Superbohaterem ekologii. Mabbut znał cały kontekst jego historii. Odstąpienie od wartego miliony dolarów projektu budowy zapory w Puerto Jainca i ocalenie ziem ludu Akwambe w delcie Nigru to tylko dwie z wielu akcji Melville'a zakończonych sukcesem, a mimo to ich bohater był odludkiem. Rzadko udzielał wywiadów, a kiedy już się na to decydował, wybierał raczej gazetkę szkolną niż ogólnokrajowy dziennik. Oprócz błyskawicznych kampanii źródłem

jego legendarnego już wpływu na rozmaite dziedziny, od rozwiązywania konfliktów po rozwój gospodarczy, były dwie opublikowane książki i sporadyczne wystąpienia, częściej na konwencjach rikszarzy niż na zgromadzeniach ONZ-etu. Dla dziennikarzy z pokolenia Mabbuta to połączenie inspirującego przekazu z działalnością wywrotową było tematem nieustannych spekulacji. Melville budził w nich podziw i zazdrość, ponieważ jak nikt inny potrafił trzymać się z dala od mediów, jednocześnie niezwykle skutecznie apelując do ludzkich sumień. Patrząc na sceny z życia tego wielkiego człowieka – przy pracy na roli, w pociągu, podczas radosnej kąpieli w przerażająco rwącej rzece – Keith czuł się tak, jakby oglądał dokument o jakiejś dawnej ikonie komunizmu.

Końcówka filmu miała nieco inny charakter. Składał się na nią montaż kilkunastu ujęć, nakręconych w miastach, prawdopodobnie przy użyciu kamery przemysłowej. Melville opuszcza lotnisko, wchodzi do jakiegoś budynku, idzie po schodach obiektu rządowego, wita się z tuzami świata polityki. Czasem jest w garniturze. Raz, gdy wsiada do ogromnego samochodu, eskortowany przez ochroniarzy, niesie aktówkę. Ten ostatni, niepasujący do reszty obraz, został opatrzony następującym komentarzem: „Kim jest prawdziwy Melville? Skąd czerpie swoją władzę? *Melville. Prawdziwa historia*. Tylko w wydawnictwie Urgent. Szukaj w księgarniach przed Bożym Narodzeniem”.

Głos ucichł, zapaliły się lampy. Latham wziął do ręki pilota. Ekran prawie bezszelestnie zniknął w suficie. Niemal w tym samym momencie rozsunęły się rolety, a salę konferencyjną zalało światło słoneczne.

– Ciekawa historia – wymamrotał Mabbut. Spojrzał na Sillę. – Ale dlaczego… dlaczego oglądamy amatorski materiał o Hamishu Melville’u?

Latham uniósł idealnie wyregulowane brwi.

– Jeszcze kawy?

Mabbut pokręcił głową. Latham wstał, napełnił własną filiżankę, wsypał do niej cukier, zerknął przelotnie na drzwi, a potem odwrócił się do Keitha.

– Chcemy, to znaczy wydawnictwo Urgent Books chce panu zlecić napisanie książki o Melville'u. Wszyscy go kochają, wszyscy go szanują. Jest podziwiany na całym świecie. Przez plemiona, których ziemie uratował, przez działaczy środowiskowych i ekologów, a także przez wielu ludzi, którzy nie zgadzają się z jego poglądami, ale lubią go słuchać. Postać międzynarodowego formatu.

Latham podszedł do okna, mieszając kawę.

– Nie jest ani z rządu, ani z ONZ-etu. Nie jest biurokratą ani politykiem. Nigdy nie przyjął żadnego odznaczenia ani medalu. To jeden z ostatnich przedstawicieli ginącego gatunku: wolny duch, wilk samotnik. Facet, który robi to, co uważa za słuszne, a dopiero później to uzasadnia. Niektórych inspiruje, innym cholernie uprzykrza życie. A jednak prawdziwy Hamish Melville pozostaje tajemnicą. Gówno o nim wiemy. Jak żyje, pracuje, działa? Co naprawdę chce osiągnąć? I teraz chcemy odpowiedzieć na te pytania.

Latham odwrócił się i wbił wzrok w Mabbuta.

– I?

– I chcemy, żeby znalazł je właśnie pan.

Mabbut był tak zaskoczony, że początkowo nie wiedział, jak ma zareagować. Potrzebował chwili, żeby zorientować się w emocjach, które go ogarnęły, mieszaninie ekscytacji i dyskomfortu.

– Ja? – Słysząc, jak piskliwie zabrzmiał jego głos, Keith zamilkł na chwilę, po czym dodał oktawę niżej: – To znaczy, dlaczego właśnie ja?

– Jak pan sobie zapewne zdaje sprawę, w wypadku Melville'a biografia ani pamiętnik nie wchodzą w grę. Na widok znanego pisarza uciekłby gdzie pieprz rośnie. Wyczuje na kilometr każdego, kto ma ukryte zamiary. Było tak już nieraz. Usiłowali się do

niego zbliżyć świetni dziennikarze, najlepsi autorzy, ale ponieśli sromotną klęskę.

– Więc dlaczego ze mną miałoby być inaczej? – zapytał Mabbut.

Latham podszedł do niego. Mówił teraz szybciej, był jak drapieżnik, który osacza ofiarę.

– Silla opowiadała mi o panu, panie Mabbut. Proszę nie mieć mi za złe tego, co teraz powiem. Chodzi o to, że wydaje się pan niegroźny. Nie jest pan celebrytą, nikt nie zna pana nazwiska. Pańskie… – tu zmarszczył przelotnie czoło – pańskie dokonania są znaczące, lecz mało spektakularne. A wręcz nudnawe. Ale potrafi pan pisać. Priscilla pokazała mi pana teksty i są okej.

Gdzieś zza pleców Mabbut usłyszał, jak jego agentka chrząka z zakłopotaniem. Latham mówił dalej.

– Był pan dziennikarzem. Umie pan pracować pod presją czasu. Umie pan pracować ze źródłami. A ochrona środowiska to pański konik. Ujawnił pan tę aferę wodociągową. Jest pan przyzwyczajony do działania w dyskrecji. Ale co najważniejsze, Priscilla zapewnia mnie, że w gruncie rzeczy jest pan uczciwym człowiekiem, porządnym facetem. Kimś, na kim moglibyśmy polegać.

Keith zerknął na Sillę. Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Ale on potrzebował czegoś więcej. Jakichś wskazówek, na litość boską, jak powinien się zachować w tej sytuacji.

Latham przysunął sobie krzesło i usiadł obok Mabbuta.

– Oczywiście wynagrodzimy pana wysiłki.

Mabbut poczuł się jak w potrzasku. Nie podobało mu się to miejsce, nie podobał mu się ten człowiek, a pracował w tej branży dość długo, żeby wiedzieć, że wydawnictwa nie dają nic za darmo.

– Ale nie dajemy nic za darmo, panie Mabbut. Pana zadanie polega na tym, żeby napisać książkę, od początku do końca, w dokładnie sześć miesięcy.

Mabbuta ogarnęła panika.

– Pracuję teraz nad powieścią…

– Firma chce, żeby to był nasz główny tytuł na następne Boże Narodzenie, więc najpóźniej w kwietniu muszę dostać tekst. To kwestia formalności, sprzedaży praw i tak dalej. Będę też wymagał całkowitej poufności. Jeśli ktoś zapyta, proszę mówić, że robi pan przegląd ruchów ekologicznych.

– Ale ja pracuję teraz nad powieścią – powtórzył Mabbut.

Latham przysunął się do niego jeszcze bardziej.

– Zależy nam, żeby przyjrzał się pan temu człowiekowi od każdej strony. Każdej. Nie chcemy laurki, panie Mabbut. Chcemy prawdy.

Latham wstał. Ostrożnie odstawił swoje krzesło na miejsce. „Służbista, pomyślał Mabbut, niezbyt bystry, za to precyzyjny. Lubi mieć wszystko po swojemu".

– O szczegółach będę rozmawiał z Sillą.

Ron Latham wyciągnął dłoń do Mabbuta i odprowadził go do drzwi.

– Miło było cię poznać, Keith.

Mabbut chciał uporządkować myśli, żeby jasno i dobitnie wyrazić swoje stanowisko, ale nie wiedział, jak się za to zabrać. I nikt nie dał mu na to czasu. Wiedziony instynktem, rzucił ostatnie spojrzenie Silli, która skwapliwie skinęła głową.

– Zadzwonię – obiecała, podnosząc się lekko i wskazując w kierunku wyjścia.

Latham stał już przy drzwiach, które trzymał otwarte dla Mabbuta.

– Mam nadzieję, Keith, że jesteś tak samo podekscytowany jak my.

PIĘĆ

Przeszklone drzwi budynku wydawnictwa Urgent zasunęły się za nim bezszelestnie. Mabbut znalazł się na niewielkim placyku wybrukowanym kostką. Wokół niego na schodach siedzieli pracownicy biur zajęci lunchem. Keith poczuł się zagubiony. Nie pasował do otoczenia. Był człowiekiem bez planu w dokładnie zaplanowanym świecie. Skręcił w lewo, a później w prawo, bezwiednie kierując się w stronę rzeki. Na Bankside lawirował między spacerującymi turystami i miejscowymi amatorami joggingu, aż w końcu oparł się o masywny, granitowy mur. Wychylił się do przodu i spojrzał na rzekę. Trwał przypływ i ostry wiatr rozbryzgiwał wodę na boki. Sygnał ostrzegawczy przepływającej barki brzmiał jak ryk rannego słonia.

Mabbut patrzył na drugą stronę rzeki, przesuwając wzrok ze wschodu na zachód po osobliwych skupiskach budynków, składających się na panoramę północnego brzegu. Widok nie był zachęcający.

Wieże City kryły własne sekrety. Porośnięte bluszczem mury Inns of Court chroniły swoich lokatorów przed ciekawskimi spojrzeniami. Kolejne pół mili prywatnego nadbrzeża Londynu zajmowały gładka kamienna bryła Ministerstwa Obrony i bogato zdobiony gmach Parlamentu, do których wejść można było jedynie dzięki specjalnej przepustce.

Za plecami przemknęła mu para biegaczy.

„Miasta, pomyślał Mabbut, szczególnie stolice, sprawiają wrażenie otwartych, ruchliwych miejsc, pełnych ludzi zmierzających w różnych kierunkach, ale w istocie są zamknięte i tajemnicze”. Wiedział o tym,

bo kiedyś jego praca polegała na wydobywaniu informacji zza tych wysokich murów. Musiał przenikać przez fortyfikacje niezdobytych instytucji w poszukiwaniu ludzi, których należało pociągnąć do odpowiedzialności. Przez pewien czas kierował nim żarliwy, wręcz ekstatyczny zapał, dopóki nie przekroczył granicy. Nazwał potężnych ludzi kłamcami, opłacił informatorów wewnątrz firmy, pokazał, że ci dobrzy, porządni, z rodzinami, przyjaciółmi i kolegami z loży masońskiej, wolą tolerować złe praktyki niż narazić się udziałowcom.

Zdaniem Mabbuta, cel zawsze uświęcał zastosowane przez niego środki, choć z perspektywy czasu widział, że nagroda za artykuł o wodociągach nie przysłużyła mu się najlepiej. Stał się obiektem zazdrości, a niektórzy uznali go za próżnego i zadufanego w sobie. Ludzie zwarli przeciw niemu szeregi. Ale był dobrym dziennikarzem, to na pewno, i upokarzało go, że musi zajmować się ochłapami, pisząc peany dla korporacji, oficjalne historie, przeróżne pochlebstwa. Zlecenie na książkę o Hamishu Melville'u brzmiało zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe, i to właśnie budziło jego niepokój. Dlaczego elegancki, układny, uprzedzająco uprzejmy człowiek w rodzaju Rona Lathama miałby interesować się takim obrazoburcą jak Melville? I jeszcze jedna rzecz, która go naprawdę ubodła – na litość boską, oboje, zwłaszcza jego własna pieprzona agentka, całkowicie zignorowali wszelkie wzmianki o powieści. No cóż, udowodni im, że się mylą. Zawrze w *Albanie* wszystko, co od dawna pragnął wyrazić. Wyeksponuje poważne kwestie, a drobne kłamstewka i kompromisy współczesnego świata zejdą na dalszy plan. To będzie wspaniała, nakreślona z rozmachem opowieść. Uniwersalna i sprawiedliwa. A on zaprezentuje w niej w pełni swój punkt widzenia. Bez żadnych kompromisów.

Zadzwoniła jego komórka. Silla sprawiała wrażenie zdyszanej. Najwyraźniej była w ruchu.

– Gdzie jesteś?

– Poszedłem na spacer wzdłuż rzeki.

– Dobre wieści. Spodobałeś się Ronowi.

– Po czym to poznałaś?

– Słucham?

– Po czym się poznaje, co myśli robot?

– Nie wygłupiaj się. Teraz muszę tylko dopracować kilka szczegółów w umowie, ale jestem niemal pewna, że dostałeś to zlecenie!

– Sillo, Sillo… Powoli. Kto powiedział, że ja w ogóle chcę je przyjąć?

W słuchawce zapadła cisza.

– O czym ty mówisz? Co innego masz do roboty?

– Pracuję nad powieścią!

– Mówisz o tym science fiction?

Mabbut kopnął w mur.

– To nie jest science fiction, to historia alternatywna. Dramat dokumentalny.

– Tak czy owak, chodzi o fikcję literacką. A to się dzieje naprawdę, Keith! Poza tym chyba mogę załatwić ci za to dobre pieniądze.

Mabbut spuścił wzrok. U swoich stóp zobaczył gołębia, który nie zwracając uwagi na mijających go ludzi, skubał zapamiętale kawałek porzuconego falafela.

– Sillo, już ci powiedziałem, czym chcę się teraz zająć. Może mnie nie słuchałaś, ale ja wyraziłem się jasno. Nie chcę już być pismakiem do wynajęcia. Mam sprecyzowane plany i zdecydowałem, że poświęcę cały swój czas mojej powieści. Tylko w ten sposób uda mi się stworzyć coś własnego. Skoro tak się spodobałem w Urgent, to porozmawiaj z nimi o *Albanie*. Zaliczka nie zaszkodzi.

Gdzieś w tle usłyszał podniesiony głos Hectora. Sillę wydającą mu polecenie. Trzaśnięcie drzwi. Później w słuchawce znów rozległ się głos agentki, początkowo nieco stłumiony.

– Keith, jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– Nie masz najmniejszych szans za to science fiction dostać choćby pensa.

– To nie jest…

– Ale jeśli uda mi się załatwić za książkę o Melville'u tyle, ile mi się wydaje, do końca życia będziesz mógł pisać, co ci się żywnie podoba. Cholera!

Usłyszał pisk hamulców, ryk klaksonu i okrzyk wściekłości.

– Wybacz. Czerwone światło. Jakiś nadgorliwiec przed nami. Posłuchaj, Keith, jestem twoją agentką. Moje zadanie to znaleźć ci pracę. A uwierz mi, nie zawsze było to łatwe. Dziś jestem o krok od załatwienia ci najlepszej umowy w twojej karierze i nie zamierzam z tego zrezygnować. Przyjęłam cię do swojej stajni, bo wiedziałam, że jesteś dobry. Teraz masz szansę to udowodnić. Nie ma się nad czym zastanawiać. To świetna propozycja. Zaufaj mi.

Telefon zamilkł. Mabbut wsunął go do kieszeni, postawił kołnierz płaszcza i ruszył w kierunku stacji London Bridge.

W domu sprawdził automatyczną sekretarkę. Żadnych wiadomości. Naszykował sobie talerz tostów, zrobił kawę i zaniósł wszystko do gabinetu. Nalał Stanleyowi świeżej wody, zastanawiając się nie po raz pierwszy, czy jego kot nie jest przypadkiem od niej uzależniony, a potem usiadł przy klawiaturze. Ustawił fotel w pozycji numer trzy – proste oparcie, wychylenie do przodu – i zajął się szczegółowym opisem krajobrazu Albany, świata, z którym musieli się zmierzyć pierwsi ludzie, gdy wyłonili się na bezkresnym, smaganym wiatrem płaskowyżu, gdzie miało się toczyć ich życie. Świetnie się bawił, wymyślając panoramę twardych wapiennych skał, spękanych żlebów i zniszczonych wiatrem klifów, noszących jeszcze ślady jakiejś potężnej erupcji.

Przez przynajmniej dwadzieścia minut obrazy pojawiały się w jego umyśle tak płynnie, jakby opisywał spacery wokół Ingleborough i Malham Tarn, na które wybierał się dawniej z ojcem. Potem

zorientował się, że faktycznie opisuje swoje spacery wokół Ingleborough i Malham Tarn, a nie południowo-wschodnią Turcję, domniemane miejsce akcji. Zamiast skasować wszystko, co właśnie napisał, Mabbut wytłumaczył sobie, że południowo-wschodnia Turcja mogła przecież w którymś momencie przypominać okolice Ingleborough i Malham Tarn, a poza tym nikt tego nie zauważy. Był jeszcze jeden problem. Kiedy zaczął się zastanawiać nad nazwą dla tej wielkiej, złowrogiej pustyni, pierwotny pomysł, Da-Naa, wydał mu się zupełnie nietrafiony. Tak mogłaby się nazywać plaża w Tajlandii. Potrzebował słowa o mocniejszym wydźwięku, czegoś jednocześnie spektakularnego i złowieszczego. „Mordor" brzmiało wprost idealnie. Tolkien pewnie też tak uważał.

Myśl o Tolkienie kompletnie sparaliżowała Mabbuta. Śródziemie było dla niego tematem tabu. Należało do świata fantazji, a on nie mógł dać się zwieść na tę zdradliwą ścieżkę. No dobrze, istniała pewna zbieżność między jego wizją a baśnią Tolkiena, ale Tolkien wyszedł już z mody. Owszem, *Albana* będzie opowiadała o walce dobra ze złem, niezależności z uciskiem, ale to przecież nie wszystko. Po pewnym namyśle ochrzcił pustkowie mianem Uyea, modląc się, by nikt nie zauważył, że tak nazywa się jedna z wysp szetlandzkich.

Dopiero późnym popołudniem przyznał się do porażki. Przetarł oczy i wyjrzał przez okno, które przydałoby się umyć. Zaniedbywał dom. Krys nigdy nie doprowadziłaby go do takiego stanu. Wstał, przeciągnął się i spojrzał na swój dorobek. Poprzedniego dnia rano czuł, że podejmuje się czegoś dziwnego i nieprzewidywalnego, ale przynajmniej chodziło o fikcję literacką. Trzydzieści sześć godzin później dziwne i nieprzewidywalne wydawało mu się własne życie. Jego żona miała innego mężczyznę, córka spotykała się z irańskim uchodźcą, a on dostał ofertę napisania książki na święta o żyjącej legendzie. To, co wczoraj brał za pewnik, dziś stało się wielką niewiadomą. Potrzebował kogoś, z kim będzie mógł o tym porozmawiać.

Chciał zadzwonić do Krystyny, ale wtedy musiałby rozgrzebać wszystkie inne sprawy. To samo z Jay. Sam był pewnie w teatrze. Można by go zaprosić na późną kolację, nawiązać nić porozumienia. Tak, to była dobra myśl. Ojciec prosi syna o radę. W ten sposób znów zaczęliby ze sobą rozmawiać. Keith wyjął telefon i zaczął przeglądać listę kontaktów. Chwilę potem przerwał poszukiwania, przewinął listę niżej i po chwili wahania wcisnął przycisk, a potem nacisnął go ponownie.

– Cześć, Tess.

SZEŚĆ

Tess była tajemnicą Mabbuta. A on jej, przynajmniej z tego, co wiedział. Poznali się w nocnym autobusie jakieś sześć miesięcy wcześniej. Kiedy hałaśliwa irlandzka para wysiadła przy Highbury Corner, zostali we dwójkę na górnym piętrze. Wśród cichnących na schodach odgłosów sporu Tess i Mabbut wymienili uśmiechy.

Poruszeni tą nanosekundą kontaktu, pozostali na swoich miejscach, oddaleni, ale świadomi swojej obecności, przez pięć przystanków. Oboje patrzyli prosto przed siebie całą drogę przez Holloway Road, obok Emirates Stadium, pod mostem kolejowym linii na wschodnie wybrzeże, mijając z jednej strony kino Odeon, a z drugiej budynek Beaux Arts. Kiedy Keith podniósł się, żeby wysiąść, ona też wstała. Zupełnie jakby się umówili, przepuścił ją na schodach i czekał za nią na przystanek. Potem rozległ się sygnał ostrzegawczy i kierowca otworzył drzwi.

Idąc obok siebie równym tempem, zaczęli rozmawiać, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie. Keith dowiedział się, że Tess wraca z klubu na Leicester Square z urodzin koleżanki z pracy. Tess usłyszała, że Mabbut był na wieczorze kwizów w pubie w Clerkenwell. Kiedy zeszli z głównej ulicy, poszedł za nią do jej mieszkania w czteropiętrowym budynku komunalnym.

W dziewięciu na dziesięć, a może nawet w dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto przypadków byłoby to bardzo niemądre, ale wszystko potoczyło się tak łatwo i przyjemnie, że żadne z nich nie miało nic przeciwko kolejnym spotkaniom. Łączył ich wygodny układ. Chodziło tylko o tu i teraz.

Nie dopytywali się o swoją przeszłość. Wiedział, że jest od niego pięć lat młodsza, po rozwodzie i ma dorosłe dziecko, które mieszka na północnym zachodzie kraju. Pracowała na część etatu w żłobku i prowadziła bujne życie towarzyskie. Był niemal pewny, że nie jest jej jedynym partnerem, co sprawiało mu sporą ulgę. Oprócz seksu nie łączyło ich nic.

To nie miało prawa się wydarzyć, ani tym bardziej przetrwać, a jednak sześć miesięcy później skręcał z głównej ulicy w stronę jej bloku, bo była jedyną osobą, z którą chciał się teraz zobaczyć. Nawet Mae Lennox, o której regularnie fantazjował, nie sprawdziłaby się lepiej tej nocy. Tylko anonimowość mogła mu przynieść ukojenie.

W domofonie zatrzeszczał głos Tess.

– Wchodź na górę.

Otworzyła się przed nim metalowa bramka.

Tess lubiła fizyczną stronę ich związku. Miała niezłą figurę i lekką nadwagę, ale była w dobrej kondycji jak na swój wiek. Seks traktowała jak wesołe miasteczko z różnymi atrakcjami. Niektóre zapierały dech w piersiach i wywoływały okrzyki zachwytu, inne wydawały się bardziej tradycyjne, ale wszystkich należało przynajmniej raz spróbować.

Jej mała sypialnia była zagracona bibelotami: kubkami z Ramsgate, wieżyczkami Eiffla, pluszowymi misiami polarnymi i filiżankami upamiętniającymi ślub pary królewskiej. Nie zabrakło też matrioszek, drewnianych układanek, miniaturowych świeczników i niewielkich gumowych słoników; wszystko to mogło wylądować na ziemi przez ich nocne wyczyny.

Kiedy Mabbut się obudził, przez zasłony przeświecało już słońce. Leżał przez chwilę, zastanawiając się, co go tak pociągało w tym pokoju i w tej kobiecie. Chyba to, że w każdej chwili mógł odchodzić i wracać, kiedy chciał. Brak oczekiwań oznaczał brak konsekwencji. I brak kłamstw. Zapadł w drzemkę, z której wyrwał go dzwonek

komórki. Obok niego rozległy się pierwsze takty V symfonii Beethovena. Było tuż po ósmej rano.

Mabbut sięgnął po telefon i poderwał się z łóżka.

– Halo?

– Czyżbym zaburzyła proces twórczy?

Przeszedł do salonu.

– Bardzo śmieszne.

– Sprawa nabiera tempa. Przyszła umowa. Nie chcę, żeby musieli czekać.

Silla działała już na pełnych obrotach.

– Może zajrzysz tu do mnie, mój drogi? Jeśli znajdziesz odrobinę czasu. – Nie ukrywała sarkazmu. – Na przykład po fryzjerze? A przed siłownią? Mógłbyś to połączyć z wizytą u pedikiurzystki.

– Momencik.

Rozglądał się za swoim ubraniem.

– Chciałabym, żebyś ją podpisał. To sporo pieniędzy.

– Au!

Mabbut skrzywił się z bólu, gdy trafił stopą na szklanego króliczka.

– Ktoś tam z tobą jest?

– Nie, po prostu… właśnie nastawiłem mleko. Zaczekaj chwilkę.

– Dzwoniłam do domu i cię nie zastałam.

– Tak. Spotkałem się wieczorem z Samem i zostałem u niego na noc.

– I co o niej myślisz?

– O czym?

– O sztuce.

– A, była dobra. Powinnaś się wybrać.

Zniżyła głos.

– Umowa wygląda nieźle. Już dawno nie widziałam lepszej. Ale jest obwarowana klauzulami poufności, więc na razie cicho sza. Nie mów nawet Samowi, dobrze?

– Jasne, jasne!

– Postaraj się wyrobić w ciągu godziny. Musimy omówić kilka spraw. Ron ma wiele zalet, ale cierpliwość nie jest jedną z nich.

– Słuchaj, Sillo. Musimy o tym porozmawiać.

– Okej. Za godzinę. U mnie. Pozdrów Sama.

Połączenie zostało przerwane.

Tess zawołała do niego z łazienki.

– Kolejna wielbicielka?

Mabbut lekko rozchylił zasłony. Na zewnątrz bawiły się i biegały dzieci.

– Moja agentka!

Usłyszał szum spuszczanej wody, chwilę później do pokoju weszła Tess, po drodze upinając długie rude włosy.

– Jakaś ciekawa propozycja?

– Muszę się ubrać.

– Jakiś ty oficjalny.

Chciał zrobić unik, ale była dla niego zbyt szybka.

– Umiem też zrobić śniadanie, wiesz?

Mabbut był osaczony.

– Tess, obiecałem mojej agentce, że będę u niej za pół godziny.

Poczuł jej ciepło, kiedy przyciągnęła go do siebie.

– Słuchaj, muszę się…

– Tam leżą.

Wskazała na jego ubrania, zwinięte w mały, spłaszczony stosik na czerwonym fotelu, a potem odsunęła się i skończyła upinać włosy.

– Miło, że zadzwoniłeś wczoraj wieczorem. Już zaczynałam myśleć, że porzuciłeś kawalerski styl życia.

Mabbut wciągnął slipy i sięgnął po koszulę. Zaczął zapinać guziki, ale coś przyszło mu do głowy i przerwał na chwilę.

– Mogę cię o coś zapytać, Tess?

Rzuciła mu czujne spojrzenie.

– Strzelaj.

– Dużo czytasz?

Przechyliła głowę w bok.

– Staram się. A co?

– Kiedy czytasz – ciągnął, siadając na krześle i usiłując wymacać na podłodze skarpetki – wolisz fakty czy fikcję?

– O, zdecydowanie fikcję. Nie znoszę faktów.

– Dlaczego?

– Fakty to tylko fakty – wzruszyła lekceważąco ramionami. – Nic poza tym. Jeśli chcesz poznać prawdę, poczytaj Jane Austen.

SIEDEM

Mabbut wysiadł z metra na stacji Queensway, spojrzał na zegarek, a potem wszedł do najbliższej kawiarni. Stojąc w kolejce po macchiato, przyglądał się klientom przy stolikach: kilku samotników ze wzrokiem wbitym w książkę lub telefon komórkowy, para trzymająca się za ręce, grupka stłoczona wokół laptopa. Wszyscy znacznie młodsi od niego, większość zaabsorbowana swoimi zajęciami. Co by ich bardziej zainteresowało? Życie Hamisha Melville'a czy powrót do początków historii człowieka sprzed sześćdziesięciu tysięcy lat?

Usiadł i sączył swoją kawę. Zwykle po nocy spędzonej z Tess czuł się dobrze. Odprężony, spokojny, uleczony. Tego ranka coś go jednak dręczyło, ale nie potrafił ubrać tego w słowa. Patrzył przez okno, jak monter telefoniczny za czerwono-białą siatką ochronną otwiera skrzynkę telekomunikacyjną i po kolei sprawdza ukryte w niej kable. Mabbut obserwował go z pewną zazdrością. To był mężczyzna przy pracy. Realizował zlecenie: diagnozował problem, rozwiązywał go, odhaczał na liście i przechodził do następnej pozycji. Zadania, które miał wykonać tego dnia, były policzalne, jasno określone, osiągalne. Że też pisanie nie może być równie proste.

Firma Priscilla Caldwell i Wspólnicy mieściła się w mieszkaniu Silli w apartamentowcu niedaleko Bayswater Road. Silla zatrudniała sekretarkę na trzy dni w tygodniu, ale poza tym prowadziła interesy osobiście zza kuchennego stołu. Tego dnia rano wydała się Mabbutowi bardziej podekscytowana niż kiedykolwiek wcześniej. Otworzyła drzwi niemal w podskokach. Z telefonem przy uchu,

bezgłośnie przytakując rozmówcy, poprowadziła Keitha przez salon wyłożony drewnem między eklektyczną kolekcją sprzętów – krzeseł Le Corbusiera, skórzanych kanap i sosnowych kredensów, aż do długiego stołu jadalnianego, zarzuconego plikami papierów. Tam skinęła jeszcze raz głową, chrząknęła twierdząco i wyłączyła komórkę.

Rzuciła Keithowi badawcze spojrzenie.

– Wybacz, że dzwoniłam tak wcześnie.

Mabbut wyczuł w jej głosie cień dezaprobaty.

– Udało mi się wynegocjować z Lathamem dobrą umowę. Bardzo dobrą umowę. Chciałabym ją przyklepać, zanim się rozmyślą.

Wzięła żelka z miski i pchnęła ją w jego stronę.

– Posłuchaj, Sillo, może ty jesteś już zdecydowana, ale ja jeszcze nie.

Jeśli go usłyszała, to w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać. Zamiast tego pośliniła palec wskazujący i zaczęła kartkować jeden z dokumentów na stole.

– Sillo, mówię do ciebie! Mam na ten rok pewne plany, które nie uwzględniają ani Rona Lathama, ani Urgent Books.

Zabrzęczał mu telefon. Zerknął na ekran. SMS od Jay.

Gdzie byłeś, tato? Chyba mieliśmy zjeść razem kolację?

O Boże, zupełnie o tym zapomniał. Dlaczego? Bo w jego uporządkowane na nowo życie wkroczył Ron Latham i natychmiast je spieprzył.

Silla wybrała jeden plik papierów i podała je Keithowi.

– Umowa. Nie minęły nawet dwa dni. Zwykle czekałabym na nią dwa miesiące.

Wziął od niej dokumenty.

Stuknęła palcem w kartki w jego dłoniach.

– Sześćdziesiąt tysięcy po podpisaniu umowy, sześćdziesiąt tysięcy po dostarczeniu tekstu i kolejne sześćdziesiąt po publikacji. A staram

się jeszcze wydębić od nich procent z licencji zagranicznych. Ich zdaniem uda się to sprzedać na całym świecie.

Mabbuta rozbolała głowa i zaschło mu w gardle. Na jego umowach „sześćdziesiąt tysięcy” zwykle odnosiło się do liczby słów.

– Gdzie jest haczyk?

Wzruszyła ramionami i odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

– Tekst trzeba dostarczyć najpóźniej za sześć miesięcy, w tym materiał z bezpośredniego wywiadu z Melvillem. Jest też dość uciążliwy zapis o akceptacji wydawcy. Ale jesteś nowy, a Latham dobrze płaci. Nic dziwnego, że chcą się zabezpieczyć.

– W takim razie ty zabezpiecz mnie. Powiedz im, że potrzebujemy więcej czasu. Powiedz im, że nie da się tego zrobić w sześć miesięcy.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – skomentowała oschle Silla.

– Będę to musiał sprawdzić, Sillo. Będę to musiał dokładnie sprawdzić.

– Od kiedy to sprawdzasz umowy?

Zabolało. Minęło sporo czasu, odkąd miał umowę wartą sprawdzenia. Silla złagodniała.

– Od rana przejrzałam ją trzy razy, mój drogi.

Upuścił papiery z powrotem na stół.

– Sillo, czy to wszystko nie wydaje ci się ani trochę podejrzane? Nie dziwi cię, że sfinalizowanie wszystkich poprzednich umów zabierało wiele tygodni, a teraz z nieba spada nam największy kontrakt w mojej karierze, który trzeba dopiąć w ciągu dwudziestu czterech godzin? Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają.

Silla zdjęła okulary do czytania, przetarła oczy i powoli pokręciła głową. Wyglądała na zmęczoną. Mabbut miał nieodparte wrażenie, że ona też nie spała całą noc, chociaż z innych niż on powodów.

– Jeszcze żaden klient nie zarzucił mi, że załatwiłam mu za dużo pieniędzy, Keith. Takie rzeczy też się nie zdarzają.

– To naturalne pytanie. Dlaczego nagle jestem aż tyle wart?

– W porządku. Jeśli musisz wiedzieć, to nie ty jesteś tyle wart, tylko książka. Latham zdecydował, że tego chce. Chce mieć książkę o Melville'u. Jego zdaniem można na niej dużo zarobić. A przy tym wie, że Melville kategorycznie odrzuca wszelkie pomysły tego rodzaju, co nawiasem mówiąc dodaje całej sprawie pikanterii. Więc żeby dostać tę książkę, Latham musi zmienić zasady gry. Musi wytropić swoją ofiarę.

– Mówisz jego językiem.

Silla uniosła dłonie.

– Pozwól mi dokończyć, mój drogi – rzuciła poirytowana.

Rudy kot wślizgnął się do kuchni i wbił złowrogie spojrzenie w Mabbuta.

– To oznacza, że nie będzie żadnych komunikatów prasowych, żadnych fanfar i żadnych plotek o tym, że Urgent podpisał z jakimś znanym pisarzem umowę na książkę o Melville'u. Ron zdaje sobie sprawę, że jeśli to ma się udać, musi zastosować odwrotną taktykę.

Stuknęła palcem w papiery na stole.

– A ja dostarczam mu najważniejszy element tej układanki…

– Farbę do włosów?

– Najlepszego pisarza bez udokumentowanych sukcesów, jakiego możemy znaleźć.

Mabbut odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

– To ci się udało, Sillo. Wydrukuję sobie takie wizytówki. „Keith Mabbut. Pisarz. Brak udokumentowanych sukcesów".

Silla wstała. Przeczesała włosy ręką i włączyła czajnik.

– Mogłoby być gorzej, Keith. „Kiepski pisarz z sukcesami". Ta lista jest znacznie dłuższa.

Mabbut westchnął głęboko.

– To dość niekonwencjonalne, mój drogi, a wiem, że pod tą fasadą radykała kryje się sztywny konserwatysta z Yorkshire. Ale zaufaj mi. Tym razem ci się trafiło.

Czajnik zaczął szumieć. Mabbut odwrócił się, ale nie miał dokąd uciec. Nawet kot wpatrywał się w niego z wyczekiwaniem.

– Co to ma być, Sillo? Chwila prawdy?

Silla wyciągnęła długopis.

– Naciesz się nią, staruszku. Za te wszystkie chwile nieprawdy.

– Nieprawdy?

– Kiedy miałeś mi za złe, że załatwiam ci zlecenia, w które nie wierzysz. Jak ty je nazywałeś? „Gazetki parafialne potentatów giełdowych". Oficjalne historie pompowni. Sylwetki prezesów. Wiem, że uważasz mnie za cyniczne stare babsko. Przyznaję, że sprawia mi przyjemność dojenie zachłannych korporacyjnych księgowych, z którymi nie wsiadłabym do jednej taksówki, ale z tej umowy jestem naprawdę dumna. Hamish Melville to dobry człowiek, jeden z nielicznych, o których chciałabym wiedzieć więcej, a nie mniej. A z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, to właśnie tobie przypadło zadanie zaspokojenia mojej ciekawości.

Przesunęła dłonią po jednej z zadrukowanych kartek.

– I mojej chciwości.

Upuściła przed nim długopis.

– Jestem przekonana, że to będzie najlepszy tekst w twojej karierze.

Mabbut spojrzał na Sillę. Świetnie ostrzyżone ciemne włosy okalały jej grubokościstą twarz o mocnych rysach. Twarz jednocześnie ożywioną i nieprzeniknioną. Twarz osoby, która się nie poddaje. Znał tę twarz i znał to spojrzenie. Nie zamierzała ustąpić. Ale on też nie. Jeszcze nie teraz.

– Przykro mi, Sillo.

Za jej plecami czajnik wzdrygnął się, wstrząsany kulminacyjnym dreszczem, a potem zastygł bez ruchu.

OSIEM

Dochodziła druga po południu, kiedy Mabbut skręcił z Edgware Road, ostatni raz rzucił okiem na wiadomość od córki i zaczął szukać nazwy Harveh w szeregu kafejek i sklepów ze słodyczami i ciastkami. Tu i ówdzie stały stoliki, przy których krótkowłosi mężczyźni o szerokich barach grali w warcaby i palili sziszę. Wreszcie dostrzegł szczupłą, niepasującą do otoczenia sylwetkę córki, odcinającą się na tle ostrego światła z wnętrza kawiarni. Machała do niego.

Lokal był mały i zatłoczony, więc dopiero po chwili zauważył młodego mężczyznę ubranego w zachodnim stylu, który posyłał im zaniepokojone spojrzenia. Jay dała mu znak ręką, a Mabbut poczuł, jak jej uwaga przenosi się z ojca na tego zakłopotanego, nieśmiałego chłopca – tak, chłopca – który wstał, żeby się z nią przywitać.

– Tato, to jest Sziraj.

Na Mabbucie spoczęło spojrzenie ciemnych oczu chłopaka. Nie zdradzały szczególnego zainteresowania. Gdy Jay położyła mu dłoń na ramieniu, uśmiechnął się do niej i z jakiegoś powodu pokręcił głową.

– Sziraj. To jest mój tata.

Mabbut wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie. A właściwie ich dłonie się zetknęły, bo trudno było to nazwać uściskiem.

– Przykro mi, że nie udało nam się spotkać wczoraj wieczorem – powiedział Mabbut.

Usiedli ściśnięci przy stoliku, a kelner przyniósł im herbatę. Sziraj wyglądał młodo i bezbronnie; Mabbuta wzruszyła wrażliwość i reakcja jego córki. Zawsze była otwarta i uczuciowa – uważał to za

jej największą zaletę i równocześnie największą wadę – teraz jednak poczuł ukłucie zazdrości, widząc, jak otwarcie wyraża emocje.

Zjedli sorbet i wypili sok z granatów. Sziraj miał ostre, ptasie rysy i rozbiegane czarne oczy. Studiował język angielski na uniwersytecie w Teheranie, ale wzbudził podejrzenia policji, bo spędzał czas wśród grup kurdyjskich. Trafił do aresztu, gdzie najpierw wypytywano go o nazwiska, których nie potrafił podać, a później ciężko pobito i ostrzeżono, żeby lepiej nie wracał na studia.

– Stwarzałeś jakieś zagrożenie dla rządu?

Sziraj uśmiechnął się blado.

– Każdy Kurd w Iranie stanowi zagrożenie. Jest winny, dopóki nie dowiedzie swojej niewinności.

– A ty jesteś Kurdem?

– Nie, proszę pana.

– Więc czemu się z nimi zadawałeś?

– Tato, gdybyś tylko wiedział, jak się traktuje tych ludzi, wtedy…

Sziraj uciszył Jay, spokojnie, lecz stanowczo kładąc dłoń na jej ramieniu. Był to dziwnie dojrzały gest i Mabbuta ogarnęły wyrzuty sumienia, że uznał go za chłopca.

– Tak się złożyło, że byli moimi przyjaciółmi i potrzebowali pomocy. – Spojrzał Mabbutowi prosto w oczy. – Nie jestem męczennikiem. Nie jestem kurdyjskim nacjonalistą. To byli moi przyjaciele. Mieli kłopoty.

– Na litość boską, gasili im papierosy na rękach!

Sziraj rozejrzał się wokół, zaniepokojony podniesionym tonem Jay.

– I zrobią to samo z Szirajem, jeśli ci cholerni idioci z rządu go tam odeślą! Trzeba mu pomóc, tato!

– Niech się pan nie martwi, nic mi nie będzie. Znam ludzi, którzy mi pomogą.

– Tata jest dziennikarzem. Ma kontakty.

Mabbut poczuł przypływ instynktu opiekuńczego wobec córki. Poruszył go jej niewinny idealizm, niewystawiony jeszcze na próbę.

Jej szczerą chęć pomocy człowiekowi, którego dopiero poznała. I jej lojalność, i całkowicie nieuzasadniona wiara w ojca.

– Chciałbym zostać dziennikarzem – oświadczył dość zdecydowanie Sziraj. – Wszyscy moi przyjaciele chcą zostać dziennikarzami.

Mabbut rozejrzał się po sali. Przy każdym stoliku siedzieli mężczyźni pogrążeni w rozmowie. Wpatrzone w siebie oczy, nieustannie unoszone i opuszczane ręce, dłonie w ciągłym ruchu, potrząsane i obracane w gwałtownych i subtelnych gestach. Wszyscy zdawali się toczyć najważniejszą dyskusję w życiu. W pubie Pod Psem i Pierzem wyglądało to zupełnie inaczej. Czy powodem był brak mącącego w głowie alkoholu, czy też ci ludzie mieli po prostu więcej spraw do omówienia? A może sęk w tym, że klienci takich miejsc jak Harveh znajdowali się w obcym kraju, więc interesowało ich wszystko.

– Pisze pan do jakiejś gazety?

– Ja? Nie.

Mabbut nie bardzo wiedział, jak rozwinąć temat. Wzmianka o *Historii terminalu naftowego Sullom Voe* nie przełamałaby lodów, ale młody człowiek wyraźnie czekał na ciąg dalszy.

– Piszę głównie książki.

Sziraj skinął głową. Jego poważne ciemne oczy skupiły się na Mabbucie.

– Tato pisze powieść – wyjaśniła z dumą Jay.

Sziraj zmarszczył brwi.

– Co to za powieść?

– Właśnie, opowiedz nam, tato. Nie mam pojęcia, o czym będzie.

Mabbut chciał udzielić płynnej, entuzjastycznej odpowiedzi, ale otoczony zapachami nieznanych ziół, wody różanej i świeżo upieczonego chleba oraz gwarem rozmów w języku, którego nie rozumiał, poczuł nagle, że jego determinacja słabnie.

– To pewna historia… – powiedział Szirajowi.

– Prawdziwa?

– Nie, i właśnie o to chodzi. Ta historia… to coś w rodzaju *Baśni z tysiąca i jednej nocy*.

Sziraj znów zmarszczył brwi.

– To było dawno temu.

– No cóż…

– Powinien pan pisać o tym, co dzieje się dziś.

Mabbut zauważył, że Jay leciutko dotknęła ramienia Sziraja.

– Z całym szacunkiem, mógłbym panu opowiedzieć prawdziwe historie, w które trudno byłoby panu uwierzyć.

Mabbut pomyślał o Tess. Jak ona to ujęła?

– Czasami łatwiej wyrazić prawdę poprzez fikcję – odparł.

Sziraj pochylił się w jego kierunku. Nadal mówił spokojnie, tylko trochę szybciej.

– Proszę mi wybaczyć. Z całym szacunkiem. Zbyt wielu dobrych pisarzy tworzy dziś fikcję, kiedy świat powinien poznać fakty.

Jay zebrała palcem resztkę sorbetu z krawędzi swojego kieliszka.

– On ma trochę racji, tato.

Mabbuta zawsze irytował młodzieńczy idealizm, zwłaszcza w połączeniu z elokwencją. On sam padł już zresztą jego ofiarą. Wietnam. Watergate. Prawa obywatelskie. Problemy świata, które on i jego przyjaciele zamierzali rozwiązać zza bezpiecznych murów Uniwersytetu Hull. Poczuł na sobie wzrok Sziraja, a gdy chłopak przysunął się bliżej, owionął go lekki zapach jaśminu.

– Był pan dziennikarzem?

– Byłem.

Sziraj z emfazą klepnął dłonią w stół, jakby to dowodziło jego racji.

– W takim razie opowiem panu historię mojego narodu, a pan ją opisze. W moim kraju nikt się na to nie odważy. Zostałby aresztowany, jak mój ojciec. Był dziennikarzem, moi bracia usiłowali go odnaleźć i też trafili do aresztu.

Mabbut pokiwał głową. Do stolika przysiadły się kolejne osoby. Tłok w kawiarni jeszcze zgęstniał. Keith miał wrażenie, że ten

podekscytowany młodzieniec wysysa z niego cały entuzjazm. Rozmawiając z nim, czuł się nie tylko zmęczony, lecz także nieudolny.

– Przepraszam, ale muszę już iść. – Wstał i uścisnął dłoń młodego mężczyzny. – Miło było cię poznać, Sziraj. Zobaczę… zobaczę, co da się zrobić.

Jay dogoniła go, kiedy wyszedł na ulicę.

– Przepraszam, tato. Widziałam, że jesteś już zmordowany. Tylko że on tak wiele przeszedł i nie mógł o tym z nikim rozmawiać, a teraz, kiedy jest w Londynie, liczy się dla niego każdy szczegół. Chciałby załatwić wszystko naraz.

Mabbut odwrócił się w stronę kawiarni.

Sziraj napotkał jego spojrzenie przez okno, uśmiechnął się niepewnie i odwrócił wzrok.

– No dobrze, może na razie zająć wolny pokój. A potem… zastanowimy się, co dalej – powiedział Mabbut, całując Jay.

Przechodząc przez ulicę, widział, jak córka skocznym krokiem wbiega do kawiarni.

Zanim dojechał na Resterton Road, zrobiło się późne popołudnie. Najtrudniejszy moment dnia dla każdego pisarza. Poszukał w telewizji transmisji krykieta, ale padał deszcz i mecz odwołano. Na automatycznej sekretarce czekała nagrana wiadomość. Mógł odsłuchać ją od razu albo najpierw godzinę popisać. Wybrał pierwszą opcję. Dzwoniła jego – już wkrótce była – żona. Ona i Rex wybierali się na kolację „do zaprzyjaźnionej knajpki” w Chelsea. Prosiła Keitha, żeby „wpadł się przywitać”. Zdegustowany Mabbut wyłączył nagranie.

Telefon niemal natychmiast zadzwonił ponownie, ale głos w słuchawce nie należał do Krystyny.

– W porządku, mój drogi. Sytuacja wygląda tak. Przekazałam Urgent twoje obawy co do terminu i książki. Powiedziałam im, jak się

tym przejmujesz, a oni, zamiast posłać nas do diabła, do czego mieliby pełne prawo, są gotowi z tobą rozmawiać.

– Sillo.

– Daj mi dokończyć. Ron Latham zgodził się na spotkanie dziś wieczorem w swoim biurze.

– Sillo.

– Omówicie po kolei wszystkie twoje wątpliwości, a Ron zrobi wszystko, żeby je rozwiać. Ja też tam będę i jeśli wszystko dobrze pójdzie, będziesz mógł spać spokojnie.

Mabbut czuł się przyparty do muru. Rozmowa z Szirajem wytrąciła go z równowagi i potrzebował czasu do namysłu. Nie miał najmniejszej ochoty na powrót do przygnębiających, bezdusznych biur Urgent i agitację prowadzoną przez Lathama i Sillę.

– Spotka się z nami o wpół do ósmej. Okej?

Mabbut nabrał głęboko powietrza.

– Nie, Sillo. Nie okej.

– Więc co proponujesz? Mamy sobie odpuścić całą sprawę? Mamy patrzeć, jak ktoś inny zgarnia taką prowizję? To może być nasza ostatnia szansa.

Mabbut przełożył telefon do drugiej ręki. Z kredensu uśmiechali się do niego rodzice. Przez głowę przebiegało mu mnóstwo możliwych odpowiedzi, a on musiał się na którąś zdecydować. I to szybko.

– Powiedz mu, że mam w planach coś ważniejszego.

Silla podniosła głos.

– Ważniejszego? Jak to będzie wyglądało? „Przykro mi, panie dyrektorze generalny, ale autor *Oficjalnej historii terminalu naftowego Sullom Voe* ma w planach coś ważniejszego!”

Mabbut chrząknął.

– Tak się składa, że to prawda. Jestem umówiony na bardzo ważną kolację.

– Nie śmiem nawet pytać. Z Nelsonem Mandelą czy Dalajlamą?

– Jeśli musisz wiedzieć, to z moją żoną.

Odłożył słuchawkę, wziął długi, głęboki wdech, a potem przewinął automatyczną sekretarkę i zapisał adres.

DZIEWIĘĆ

Określenie „knajpka” było zdecydowanie nieodpowiednie. Lokal oznaczono tak dyskretnie, że trzy razy przeszedł obok, biorąc go za coś w rodzaju stacji elektroenergetycznej. Nie było żadnego szyldu, jedynie niemal nieczytelny napis „Atelier Gaston Quartz”, wygrawerowany na podłużnej tafli przydymionego szkła, umieszczonej obok metalowej bramy. Żeby ją otworzyć, Mabbut musiał użyć obu rąk. W środku mieścił się wyłożony lustrami korytarz, prowadzący do kolejnych drzwi. Zaczął już zbierać siły, żeby się z nimi zmierzyć, kiedy z sykiem się przed nim rozsunęły. Umiejętnie przyćmione światło rozpraszało mrok jaskini ze stali, zastawionej około dwudziestoma stolikami na srebrnych nóżkach, z blatami z czarnego szkła, z których tylko jeden był zajęty. Krystyna siedziała plecami do wejścia, więc jako pierwszy zauważył go jej towarzysz: raczej wysoki, rozczarowująco przystojny starszy mężczyzna o rumianej twarzy. Miał włosy przyprószone siwizną, zakola i masywną sylwetkę, schludnie opakowaną w trzyczęściowy garnitur. Mabbutowi przeszło przez myśl, że tak mógł wyglądać ojciec Krystyny.

Ona sama wydawała się podenerwowana, ale miał wrażenie, że ulżyło jej na jego widok. Dokonała oficjalnej prezentacji. Jej towarzysz podniósł się z życzliwym uśmiechem, uścisnął Mabbutowi dłoń i opadł z powrotem na krzesło. Do tego samego zachęcił Mabbuta z wielkoduszną gościnnością, jakby to był jego lokal.

– To lokal Rexa – powiedziała Krystyna.

Rex uśmiechnął się skromnie.

– W zasadzie otworzył go pewien Ukrainiec. Potworny oszust. Po roku splajtował, więc przejęliśmy restaurację. Wymyśliliśmy nazwę Gaston Quartz i zaczęliśmy działać. Szef kuchni pochodzi z Inverness.

Mabbut rozejrzał się z powątpiewaniem po pustym wnętrzu.

– Większy ruch mamy późniejszym wieczorem. Najpoważniejsi gracze lubią jeść w nocy. Kieliszek szampana?

Zanim Mabbut zdążył odmówić, wokół niego zapanowało poruszenie. Z półmroku wyłoniły się ciemne postaci, przemykające w świetle lamp, by po chwili znów zniknąć. Jakieś drzwi otworzyły się i zamknęły z cichym sykiem.

Krystyna wyglądała na zmęczoną. Dziwna rzecz, bo choć światło padające na nią z ukosa było skąpe, pięknie eksponowało malowniczą harmonię owalnej twarzy, długich prostych czarnych włosów ze śladami siwizny, wysokich kości policzkowych i szerokich, tak dobrze mu znanych ust o wąskich wargach.

– Rex i ja, khm – musiała odchrząknąć, żeby mówić dalej – lecimy w niedzielę do Nowego Jorku.

Przed Mabbutem pojawił się znikąd musujący w szkle szampan. Na chwilę zapadła cisza, gdy kelner uzupełniał pozostałe kieliszki. Rex Naismith nie wydawał się skrępowany tą sytuacją. Uśmiechnął się promiennie do Mabbuta, podziękował kelnerowi i wzniósł toast.

– Zdrowie!

Mabbut wymamrotał coś w odpowiedzi. Krystyna ledwie uniosła swój kieliszek.

Rex smakował szampana, ze znawstwem płucząc nim usta przed odstawieniem kieliszka.

– Krystyna mówi, że jesteś pisarzem. Podziwiam ludzi, którzy potrafią pisać. Sam od czasu do czasu przygotowuję przemówienia, ale nie mam za grosz wyobraźni.

Niczym szachista przed ważną rozgrywką, w drodze na kolację Mabbut zaplanował swoje ruchy. Nie wziął pod uwagę tylko jednego

– że spotka się z życzliwością. Skinął głową w geście, który miał być neutralny, ale wypadł arogancko.

„Co ty, kurwa, robisz z moją żoną?”, cisnęło mu się na usta.

– To nigdy nie przychodzi łatwo – powiedział zamiast tego.

– Wielu moich kolegów pracuje nad własnymi arcydziełami. Staremu dobremu Cloudesleyowi Marshallowi udało się nawet coś wydać. Thriller w stylu Jamesa Bonda. Mnóstwo seksu. O co nikt przy zdrowych zmysłach nie podejrzewałby Cloudesleya. Kiedyś był przecież drużynowym.

Mabbut był całkiem zdezorientowany. Nie wiedząc, jak zmusić ich do rozmowy o tym, o czym naprawdę powinni porozmawiać, mógł tylko słuchać. Krystyna, z polską praktycznością, szukała ratunku w omawianiu ustaleń.

– Spędzimy trochę czasu w Nowym Jorku, a potem wybieramy się do Ottawy.

Rex się skrzywił.

– Potworne miejsce. Cholernie tam zimno, a wszystkie budynki wyglądają jak łajno słonia. Ale teraz musimy być mili dla Kanadyjczyków. Ważą się losy wielu spraw. Słyszałeś o złożach piasków bitumicznych w dolinie rzeki Athabaska?

Mabbut przytaknął. Wreszcie temat, na który miał coś do powiedzenia.

– Byłem korespondentem do spraw energetyki.

– W takim razie pewnie wiesz dużo lepiej niż ja, co się tam dzieje. Na dewastację tych terenów idą miliony dolarów, a ekolodzy chwytają za broń, i mają rację. Tyle że Kanadyjczycy dają nam sporo zarobić. Mamy duże doświadczenie w górnictwie, a w Kanadzie na szczęście potrafią to docenić. Tak czy inaczej, muszę tam pojechać i upewnić się, czy jesteśmy dla wszystkich wystarczająco mili, żeby Hamish Melville nie zdołał ich przekabacić.

Mabbut wbił w niego wzrok.

– Hamish Melville? A co on ma z tym wspólnego?

– No cóż, znasz Hamisha. Wszyscy znają Hamisha. Jeśli coś się dzieje, to on na pewno maczał w tym palce.

Krystyna zmarszczyła czoło i zapytała:

– Czy on nie jest kimś w rodzaju nieoficjalnego ambasadora? Który jeździ tam, gdzie rząd nie ma odwagi?

Rex uniósł brwi.

– Och, Hamish jest dokładnie taki, jakim go pokazują. Wspaniały facet, ale nie zawsze bierze pod uwagę całokształt.

– Jak to? – spytał Mabbut.

– Realizuje własne plany. Tereny złóż piasków bitumicznych są częściowo zaludnione. W północno-zachodniej części nad rzeką Yannahook mieszka plemię Sahalla. Indianie. Pierwotne Narody – tak się teraz o nich mówi. Nie ma ich zbyt wielu, a spora część chętnie wyjedzie do Calgary pracować w kasynach. Ale najzagorzalsi nie dają się skusić pieniędzmi. Tacy ludzie przyciągają Hamisha jak magnes. Siedzi tam teraz i, jak by to ująć, „uczy ich korzystać ze swoich praw".

Jego słowa rozdrażniły Mabbuta.

– Chyba postępuje słusznie? Skoro ziemia należy do nich…

– Teoretycznie tak.

– Mają do niej moralne prawo.

– Wybacz, ale podobne dyskusje prowadziłem wielokrotnie z Hamishem. Owszem, ci ludzie mają swoje prawa. Ale teren jest ogromny, a zajmuje go garstka mieszkańców. Naszym zdaniem mogliby żyć sobie spokojnie, nie wadząc nikomu, na części tej ziemi. Natomiast reszta zostałaby… zagospodarowana. Wszyscy na tym zyskają, a plemię zainkasuje okrągłą sumkę w ramach odszkodowania.

Mabbut upił kolejny łyk szampana, który nawet takiemu laikowi jak on wydawał się doskonały.

– Więc znasz Hamisha Melville'a?

– Owszem, na tyle, na ile można go poznać.

„Rex pije raczej niewiele, pomyślał Mabbut, jak na mężczyznę swojej postury”.

– Dawno temu, w innej epoce, miałem zaszczyt reprezentować Bletchley and South Beds w Parlamencie Jej Królewskiej Mości. Wcześniej sporo podróżowałem i znałem kilka języków, więc umościłem sobie wygodne gniazdko w Biurze Spraw Zagranicznych oraz Wspólnoty, w jego ówczesnym kształcie…

Mabbut zauważył, że Krystyna poruszyła się na krześle i przebiegła wzrokiem po ich twarzach. Wyraźnie zależało jej, żeby rozmawiali dalej, jakby dzięki wspólnym zainteresowaniom mogli uniknąć konfrontacji.

Rex wygładził róg obrusa.

– W tamtych czasach, a cofamy się teraz o prawie dwadzieścia lat, Hamish był tam zatrudniony w charakterze obserwatora zagranicznego czy kogoś w tym rodzaju. Miał doświadczenie wojskowe i biznesowe – a to rzadko spotykane połączenie – nie mówiąc już o tej swojej niesamowitej charyzmie. Więc…

Na niemal niezauważalne skinienie Rexa z cienia wyłonił się kelner i dolał im szampana.

– Stał się dla nas niezwykle przydatny w rozmaitych delikatnych sytuacjach. Negocjacje z porywaczami, naloty na instalacje, tego typu historie. Był bardzo skuteczny, coś jak współczesny T.E. Lawrence. Major – John Major – chciał go wprowadzić do rządu, i to na dość wysokie stanowisko, ale Hamisha to nie interesowało. Nie angażował się w politykę. I prawdopodobnie właśnie dlatego zaczął unikać wszelkich oficjalnych sytuacji. Rzadko wracał do kraju i w końcu zorientowaliśmy się, że wykorzystuje swoje umiejętności w bardziej… jak by to powiedzieć… bardziej międzynarodowym kontekście. W dziewięćdziesiątym siódmym straciłem mandat i, szczerze mówiąc, sprawiło mi to ulgę. W tym samym roku zmarła moja żona, i to również sprawiło mi ulgę.

Mówił pewnie, robiąc pauzy w odpowiednich miejscach. Ten człowiek był przyzwyczajony do posiadania słuchaczy.

– W ten sposób w sędziwym wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat i sześciu miesięcy dość nieoczekiwanie odzyskałem wolność i swobodę. Jak wielu torysów, którzy wypadli z parlamentu w dziewięćdziesiątym siódmym, zajmowałem różne kierownicze stanowiska, bawiłem się w fundusze hedgingowe i inne bezeceństwa, a oprócz tego wróciłem do swojej pierwszej miłości, czyli tułania się po świecie. Od czasu do czasu nasze drogi się krzyżowały, zwykle w jakimś barze albo u znajomego. Hamish unikał ambasad jak zarazy. Można by rzec, że wszędzie stawał się autochtonem, ale zawsze dokładnie wiedział, co robi.

– A co robił?

– W zasadzie pomagał ludziom ignorowanym przez resztę świata. A przy okazji wszystkim się naprzykrzał.

– Co mu zostało do dziś.

– O ile mi wiadomo.

Rex przeniósł wzrok na Krystynę. Tym razem jego spojrzenie nie było przelotne, tylko leniwe i pełne ciepła. Z czułością ujął jej dłoń, a drugą ręką przywołał kelnera z półmroku.

– Przekąsisz coś z nami? – zapytał.

Jego gest uderzył Mabbuta równie mocno jak słowa „z nami".

– Nie, nie mogę. Dziękuję.

Odsunął krzesło i wstał. Świadomy, że trochę się z tym pośpieszył, starannie odstawił je na miejsce. Wszystko, byle tylko nie patrzeć na Krystynę.

Rex również się podniósł i wyciągnął rękę.

– Cieszę się, że się poznaliśmy.

Mabbut skinął głową. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a później Mabbut odwrócił się, przesuwając po twarzy Krystyny pustym wzrokiem. Zlokalizował wyjście i przeszedł przez lustrzany korytarz. Szarpnął

ciężkie czarne drzwi, jak człowiek uciekający przed pożarem. Dopiero kiedy je popchnął, otworzyły się przed nim, wypuszczając go na ulicę.

I właśnie tam, na skrzyżowaniu Furness Gardens i Fulham Road, całkiem się rozkleił. Poczuł na twarzy łzy: żałosne, nieproszone i niepohamowane. Dwaj przechodzący obok policjanci na jego widok szybko odwrócili oczy.

Autobus 43 wysadził go na rogu Lodge Street, pięć minut drogi od domu.

Mabbut przez chwilę szukał właściwego klucza w stanowczo za grubym pęku, po chwili otworzył drzwi. Przedpokój był ciemny, ale Keith zobaczył smugę światła pod drzwiami kuchennymi i usłyszał głosy. Włączył lampę i narobił trochę hałasu przy wieszaniu płaszcza, ale Jay i Sziraj i tak odskoczyli od siebie, gdy wszedł do kuchni. Wyglądało to dość niewinnie. Po prostu stali blisko, nie robiąc nic zdrożnego.

Jay wprost promieniała radością.

– Cześć, tato. Właśnie gotujemy.

– Kiełbaski?

Sziraj popatrzył na Jay z niepokojem, ale ona uśmiechnęła się do ojca.

– Jutro ci kupię, obiecuję. Wielkie, grube kiełbaski wołowo-wieprzowe z domieszką dziczyzny i szałwią. Co tylko chcesz. Ale przyrządzisz je sam.

– Już nie mogę się doczekać.

– Zjedz z nami. Sziraj ugotował zupę marchewkowo-jogurtową, wyszła pyszna.

– Dziękuję, już jadłem – skłamał Mabbut. – I mam trochę pracy.

Przesunął wzrok z Jay na Sziraja. Chłopak położył dłoń na sercu.

– Dziękuję, że przyjął mnie pan pod swój dach.

Mabbut skinął głową.

– Dobranoc.

– Tato?

Na dźwięk głosu Jay aż podskoczył. Siedział przy biurku w snopie halogenowego światła, skupiony na pracy, we własnym świecie.

– Cześć, kochanie. Co słychać?

Przeszła do niego przez pokój. Poczuł jej ręce na ramieniu.

– Wszystko dobrze. A co u ciebie?

Nie odwracając się, sięgnął po jej dłoń.

– Widziałem się dziś z twoją matką.

– Wiem. Dzwoniła.

– Poznałem go. Tyranozaura Rexa.

– I co o nim myślisz?

– Polubiłem go… tak, polubiłem go.

Wtedy znów coś w nim pękło i drugi raz tego wieczora emocje wzięły górę.

– Polubiłem go, Jay. W tym cały problem! Polubiłem go.

Mabbut chwycił jej dłonie obiema rękami.

– Cholera jasna!

– Tak mi przykro, tato. Naprawdę.

– Niepotrzebnie. Ona jest szczęśliwa. To sympatyczny facet. Ty jesteś szczęśliwa. To sympatyczny chłopak. Przejdzie mi.

Musiał wziąć dwa lub trzy głębokie wdechy, zanim odzyskał nad sobą panowanie.

Córka ścisnęła go za ramiona i przez chwilę milczeli. Kiedy Mabbut doszedł do siebie, pochylił się do przodu i wyregulował ekran komputera.

– To twoja powieść, tato?

– Nie, nie. Po prostu zbieram o kimś informacje.

Jay zerknęła na ekran.

– Hamish Melville.

– Wiesz, kto to jest?

– Oczywiście, tato. Nie jestem kompletną kretynką.

– Myślałem, że to nie twoje pokolenie.

– Melville? W mojej szkole był bohaterem. Walczy z grubymi rybami. Chroni ludność lokalną. Wędruje po pustkowiach. Zwyciężył w plebiscycie szóstych klas na najlepszego przywódcę kraju. Dlaczego o nim czytasz?

– Ktoś… ktoś chce, żebym napisał o nim książkę.

– Książkę o Hamishu Melville'u?

– Tak.

– Wow! To wspaniale, tato. Zapłacą ci za nią?

– Owszem. Całkiem sporo.

– I zgodzisz się?

Mabbut odchylił się na krześle, przetarł oczy i zapatrzył się w ekran.

– Nie wiem. Nie wiem, w co się pakuję. Ciągle sobie powtarzam, że tak naprawdę chcę pisać swoją powieść. Że to by było coś nowego i ekscytującego. Ale potem rozmawiam z tobą, Szirajem, nawet z tym cholernym Rexem i nagle cała sprawa zaczyna wyglądać… sam nie wiem… intrygująco.

– Intrygująco?

Mabbut uśmiechnął się i pokręcił głową.

– W wydawnictwie aż się do tego palą, ale ja im nie ufam. A Melville nienawidzi dziennikarzy.

Uśmiechnął się blado.

– Ta książka to pomysł złego człowieka. Dobry człowiek jej nie chce. Takie sytuacje dają do myślenia.

– Więc co cię powstrzymuje?

– Trudno powiedzieć… Ty. Sam. Nasza rodzina. Terminy są napięte i musiałbym znowu wyjechać. Jeśli miałbym to zrobić, jak należy.

Mabbut westchnął.

– Za często wyjeżdżam. Za długo mnie nie ma. Twoja matka ma rację. Jestem kiepskim ojcem i kiepskim mężem. Muszę poświęcić

wam trochę czasu. Chcę to naprawić.

Jay ścisnęła jego dłoń i zachichotała.

– Tato, mówisz jak Majster Złota Rączka.

Mabbut roześmiał się wbrew sobie.

Majster Złota Rączka był częścią rodzinnej tradycji, człowiekiem poznanym na wakacjach w Krainie Jezior, który miał obsesyjną potrzebę naprawiania wszystkiego wokół. Bez przerwy tkwił pod jakimś stołem albo na drabinie, rozkręcając działające sprzęty i składając je na nowo. Zanim jego żona zdradziła, że Majster leczy się z tej przypadłości w Preston, miał już zapewnione miejsce w galerii sław rodziny Mabbutów.

– Poważnie, jesteś zupełnie jak Sam.

Mabbut zmarszczył brwi.

– Ja? Jak Sam?

– Obaj jesteście świetni w tym, co robicie, ale zawsze zauważacie to jako ostatni.

Uśmiechnął się.

– Mamy gdzieś jego zdjęcie?

– Sama?

– Nie, Majstra Złotej Rączki. Chciałbym go znów zobaczyć.

– Poszukam. Musi gdzieś być.

Oboje roześmiali się na to wspomnienie. Wspólny śmiech. Serdeczny i zaraźliwy, przynajmniej na chwilę.

*

Mabbut długo nie mógł zasnąć. Kolejna bezsenna noc, która zaczęła się od niezdrowych wizji Krystyny z Rexem. Później jego myśli zaczęły jednak krążyć wokół Melville'a, książki i tego, co powiedział Sziraj. O tym, że za dużo ludzi zmyśla historie, jakby w ten sposób marnowali swój talent. Mabbut wiedział, że może napisać tę książkę, i to napisać ją świetnie. Więc co go właściwie powstrzymywało?

Może ta podejrzanie wysoka kwota, którą proponowało wydawnictwo?

Usiadł w łóżku i zapalił światło. Chwilę potem je zgasił. Po ciemku myślało mu się lepiej.

Tym, co tak naprawdę drażniło go w tym zleceniu, był nie temat książki, lecz prymitywne podejście Rona Lathama, który sądził, że wszystko załatwi swoją książeczką czekową. Melville działał z finezją. Kluczem do tego projektu była inteligencja, a nie gotówka. Przecież chodziło o to, by dotrzeć do człowieka, kryjącego się pod tyloma maskami…

Bijąc się z myślami, Mabbut nabrał przekonania, że sprawy mogłyby wyglądać inaczej, gdyby to on przejął inicjatywę w polowaniu na Melville'a. Potrafił być nieustępliwy. Kiedyś przyniosło mu to nagrodę. Wiedział też, że zbieranie materiałów przypomina śledztwo detektywistyczne. Żeby złapać Melville'a, musiałby obrać jego taktykę. Zejść do podziemia. Działać w ukryciu. Gdyby dostał wolną rękę, mógłby napisać coś, z czego będzie zadowolony.

Budzik pokazywał wpół do trzeciej nad ranem, kiedy Mabbut ostatecznie porzucił marzenia o śnie i owijając się szlafrokiem, który Krystyna dała mu na ostatnie spędzone razem urodziny, usiadł przy komputerze, żeby zaplanować partyzancką strategię.

Przez następne dwie godziny usiłował wytypować miejsca, w których z największym prawdopodobieństwem mógł znajdować się Melville, zważywszy na to, jakie kwestie najbardziej leżały mu na sercu. Możliwości było wiele. Jeśli elektryzował go niszczący wpływ „postępu" na życie ludności autochtonicznej, to mógł być niemal wszędzie. Trzysta dwanaście lokalnych plemion w Papui Nowej Gwinei, z których część nie miała dotąd kontaktu z cywilizacją, zamieszkiwało ziemie obfitujące w bogactwa naturalne, które rząd indonezyjski zamierzał wydobyć przy wsparciu wojska. W Botswanie Buszmenom z Kalahari odmawiano dostępu do ich studni

i wypędzano z należących do nich ziem, żeby mogła tam stanąć kopalnia diamentów warta trzy miliardy dolarów. Toczyły się spory o wydobycie ropy naftowej w peruwiańskiej dżungli i tytanu w Kenii, o wytop miedzi w Indiach, o diamenty w Zimbabwe, projekty hydroelektryczne w Brazylii, a nawet o malownicze zakątki w Shropshire, dewastowane przez górnictwo węglowe.

Mabbut przejrzał strony internetowe niezliczonych organizacji tropiących przejawy globalnej chciwości, takich jak Straż Leśna, Forum Informacji Plemiennych, Mamy Prawo Wiedzieć, Nienawidzę Ropy, Zostawcie Nas w Spokoju, Chroń lub Zgiń, Straż Boska czy Obywatelska Grupa Ekologiczna Duńskich Kobiet. O świcie piekły go oczy, ale w głowie miał już zarys planu działania.

Wziął prysznic i zrobił sobie wczesne śniadanie, na które składały się tost, miska owoców i mocna kawa. Z drugim kubkiem wrócił na górę. W obu sypialniach panowała cisza. Zamknął drzwi gabinetu, usiadł przy biurku i wykręcił numer Silli.

W słuchawce usłyszał schrypnięty, nieprzyjemny głos.

– Silla Caldwell.

– Wchodzę w to.

Z jakiegoś powodu ta wiadomość wywołała u jego rozmówczyni długi atak kaszlu.

– Teraz mi to mówisz?! Na litość boską, Latham przed chwilą wsiadł do samolotu do Sydney.

– To bez znaczenia. Wystarczy, że opłaci moje wydatki podróżne i zostanie w Sydney tak długo, jak to możliwe.

DZIESIĘĆ

Sam Mabbut był wysoki i podobny do matki przez kruczoczarne włosy i mocno zarysowane kości policzkowe. Dziewczyny go uwielbiały, ale nie tyle za owe kości, lecz za cień melancholii w oczach. Mówił lekko załamującym się głosem, w czym on sam widział wadę, a wszyscy inni – jego wizytówkę. Chociaż Sama łączyła z ojcem trudna relacja, był zadowolony, że jest synem pisarza, i traktował tę rolę poważnie. Poprzedni rok spędził, tworząc dramaty i wiersze z dwoma kolegami pod wspólnym szyldem Teatr Bez Nadziei. Ich najnowsze dzieło miało właśnie światową premierę w prywatnej sali nad pubem Pod Mroczną Damą przy Chiswell Street. Mabbut zauważył, że rodzina zjawiła się w komplecie – na widowni zasiadła zarówno matka, jak i ojciec twórcy.

Być może Krystyna przyszła wiedziona matczyną miłością, ale Mabbut pojawił się z obowiązku i poczucia winy. Nie był szczególnym fanem repertuaru Bez Nadziei, ale skoro miał się zaangażować w tę sprawę z Melvillem, mogła to być jego ostatnia okazja na spotkanie ze swoim trudnym, drażliwym synem.

– Dupa – zaintonował głos z zaciemnionej sceny niemal dokładnie o 20.30. – Dupa, która rozświetla świat.

Rozległ się pojedynczy akord. Samotny reflektor rzucił światło na zwiniętego w kłębek Sama, który leżał na podłodze, kwiląc cicho.

Z sufitu spadły na publiczność sztuczne kupy. Przez jakiś czas – a wydawało się, że bez końca – odgrywana przez Sama postać nawiązywała kontakt werbalny i wzrokowy z rozmaitymi przerażającymi indywiduami. Był to brawurowy występ, ale Mabbut

wciąż łapał się na tym, że błądzi gdzieś myślami i mimo najszczerszych wysiłków chwilami opadały mu powieki.

W drugiej połowie sztuki włączono grzejniki, ponieważ akcja *Dupy* przeniosła widzów do tureckiego więzienia. Mabbut poczuł się skrępowany ze względu na Sziraja, ale chłopak wpatrywał się w scenę w nabożnym skupieniu, ściskając dłoń Jay.

Po wszystkim Keith miał okazję porozmawiać z synem. Sam, który z zasady nie odzywał się pierwszy, odgarnął włosy z oczu i rzucił ojcu ironiczny, a może tylko niepewny uśmiech.

– Byłeś znakomity. Ale chwilami…

– Nie musisz nic mówić, tato. Wiem, że nie tolerujesz polemiki.

– Trzymasz się własnych poglądów. Podziwiam to. Nie starasz się wszystkich zadowolić.

Sam wskazał głową w kierunku rozchodzącej się publiczności.

– Większość wydaje się zadowolona.

W świecie Sama wolność słowa działała tylko w jedną stronę. Prawda wyglądała tak, że poza jednym czy dwoma samotnikami zwabionymi z baru tytułem, dziewięćdziesiąt procent widzów *Dupy* stanowili krewni i znajomi członków obsady.

W tym momencie wcisnęła się między nich Krystyna. Wyraźnie się spieszyła. Ucałowała syna z bezwarunkową akceptacją, co zirytowało Mabbuta. Zachowywała się tak, jakby tylko ona rozumiała Sama.

– Fantastyczne! Jesteście naprawdę świetni, chłopcy. Spotkamy się na dole?

Ujęła w dłonie blade policzki Sama, pocałowała go jeszcze raz i ruszyła w stronę drzwi, machając mu w przelocie. Mabbut popatrzył za nią, a potem krótko uścisnął syna.

– Musimy się niedługo spotkać. Coś wymyślę. Zadzwonię do ciebie.

Dogonił Krystynę, kiedy w pośpiechu schodziła po schodach. Przez uchylone wyjście ewakuacyjne do pubu wpadał zimny podmuch.

– Drinka? – zapytał.

Zatrzymała się, rzucając mu dość surowe spojrzenie, a potem weszła do baru przez drzwi, które przed nią otworzył.

– Szprycer z białego wina?

Jakby musiał pytać. Od trzydziestu lat zamawiała to samo. Miał nadzieję, że przy Rexie wyrobi sobie podniebienie. W barze było tłoczno i głośno, jak zwykle w takich miejscach.

Postawił przed nią drinka i przysunął sobie stołek. Przez chwilę czuł się jak dawniej. Zawsze tak robili. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Kiedyś dawali sobie szczęście.

– A to co?

Wskazała oskarżycielsko na szklankę Mabbuta, jakby znalazła tam dowód jego niewierności.

– Duża szkocka.

– Od kiedy?

– Odkąd zobaczyłem *Dupę*.

– Sztuka była świetna.

– Nie, nie była.

– Sam i chłopcy powiedzieli mi, że napisali ją w tydzień.

– Można się tego domyślić – powiedział, mniej zirytowany jej opinią niż faktem, że miała zakulisowe informacje.

– To było mocne.

– To było obrzydliwe. Powiedz szczerze.

Krystyna wzruszyła ramionami.

– Czego się spodziewałeś? *Mary Poppins*?

– Nie rozumiem, dlaczego właśnie ja mam przyjąć odpowiedzialność za Rzeź Ormian, to wszystko.

– Nie ty. My.

– Dziś bez Rexa?

– Jest w Mansion House.

– W tej stacji metra?

– W siedzibie burmistrza. Na uroczystej kolacji.

Krystyna upiła łyk szprycera, ale po tym zwycięstwie na punkty złagodniała.

– Miło z twojej strony, że wczoraj przyszedłeś. To z pewnością nie było dla ciebie łatwe. Spotkanie z Rexem.

Milczeli przez chwilę.

– Co mam powiedzieć, Krys? Że jest lepszy niż ja?

Krystyna niespodziewanie wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Nie wygaduj głupstw. Po prostu się różnicie.

– Bogaty, dowcipny, z koneksjami…

Pokręciła głową przecząco. Mabbut uśmiechnął się.

– Taki już jestem.

Zaśmiała się krótko, rozbrojona. Tak rzadko się to zdarzało przez ich ostatnie wspólne lata. Miał wrażenie, jakby zapalił zapałkę w ciemnym pokoju.

– Chciałem ci powiedzieć, że przyjąłem nowe zlecenie. Nie mówiłem ci o nim. Dostanę dużo pieniędzy, ale znów będę musiał wyjechać.

– To chyba dobrze?

– Tak myślisz?

Krystyna spojrzała na niego z uwagą.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Keith?

– Wróć.

Pokręciła głową i odwróciła wzrok.

– Wróć. Zanim będzie za późno.

– Nie bądź niemądry. Oboje wiemy, że to się nie uda.

– Ja tak nie uważam.

– Keith, wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze. Między nami koniec. Rex chce się ze mną ożenić. A ja chcę wyjść za niego za mąż. Jeśli mnie szanujesz, pozwól mi odejść. Możemy nadal być przyjaciółmi. Rex cię polubił. Dobrze się dogadywaliście.

Mabbut dopił swoją whisky jednym potężnym haustem i odstawił ciężko szklankę na blat.

– Dzięki, ale nie dam się na to złapać. Jeśli chcesz ode mnie błogosławieństwa, to możesz o tym zapomnieć. To twoja sprawa, a nie moja. Może mnie kochać jak brata, ale prawdę mówiąc, ja wolałbym go już nigdy nie widzieć na oczy.

JEDENAŚCIE

„Z perspektywy czasu, nie były to najmądrzejsze słowa”, pomyślał Mabbut na widok Rexa, który uścisnął mu dłoń i usiadł przy stole w dyskretnej włoskiej restauracji na rogu Horseferry Road.

Dopracowanie szczegółów z Lathamem zajęło Silli kilka dni. Powiedziała, że udało się jej dość sprytnie przedstawić niezdecydowanie swojego klienta, graniczące wręcz z niewdzięcznością, jako najzwyklejsze rozważanie dwóch poważnych ofert. Oczywiście nie wspomniała ani słowem, że żaden wydawca nie zaproponował choćby grosza za powieść Mabbuta. Następnie zajęła się obawami Keitha o proces zbierania informacji i jego warunkiem, że sam będzie planował swoje posunięcia. Latham argumentował, że skoro wykłada pieniądze, to powinien podejmować decyzje. Zaczął już montować zespół błyskotliwych absolwentów, którzy mieli pomóc w gromadzeniu danych. Silla przekonała go, żeby pracowali z Londynu, co zapewniłoby Mabbutowi swobodę w tropieniu Melville’a za granicą. Latham odpowiedział, że osobiście poprowadzi ten zespół i zorientuje się w ostatnich krokach Melville’a, żeby Mabbut miał od czego zacząć. Mabbut przekazał Silli, że nie może się na to zgodzić, a wtedy jego agentka straciła wreszcie cierpliwość i zrobiła mu wykład o wdzięczności, wykorzystywaniu życiowych szans, altruizmie i innych ważnych sprawach. Ostatecznie umowa została podpisana któregoś wieczoru w jej biurze przy kolacji w postaci curry na wynos.

W tym momencie Mabbut stanął przed trudnym do zaakceptowania faktem, że na szczycie listy osobistych kontaktów, do których mógł się zwrócić o pomoc w poszukiwaniu Melville’a, znajdował się

kochanek jego żony. Przełknął tę gorzką pigułkę, schował dumę do kieszeni i w tajemnicy napisał do Rexa Naismitha, przedstawiając zwięźle swoje plany i prosząc o wszelkie rady. Rexowi udało się w ciągu kilku dni dowiedzieć tego i owego, więc zaproponował spotkanie.

Mabbut pierwszy pojawił się w skromnej trattorii, znajdującej się pięć minut spacerem od Parliament Square. Chwilę później w drzwiach stanął Rex, witany serdecznie przez tęgiego właściciela, z którym wdał się w przydługą, wesołą pogawędkę po włosku, zanim podał mu płaszcz i ruszył w stronę stolika.

Uścisnął dłoń Mabbuta i uśmiechnął się przepraszająco.

– Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że ściągnąłem cię na swój teren.

– To żaden problem.

Mabbut, zbity z tropu uprzedzającą grzecznością Rexa, nie zabrzmiał przekonująco.

– Wiem od Krystyny, że oboje byliście na sztuce Sama. *Tyłek*?

– Właściwie to *Dupa*.

Rex odchylił się na krześle i wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Bardzo się jej podobała.

– Rzeczywiście – nic innego nie przychodziło Mabbutowi do głowy. – Dziękuję, że się ze mną spotkałeś.

Rex zbył to machnięciem ręki.

– Nie ma za co. Mam posiedzenie komitetu do spraw oszczędności międzyresortowych, więc każda okazja do zrobienia sobie przerwy jest na wagę złota.

– Kiedy się poprzednio widzieliśmy, powiedziałeś, że znasz Hamisha Melville'a.

Rex przytaknął. Mabbut z niejaką satysfakcją zauważył, że jego towarzysz ma lekką zadyszkę.

– A ty piszesz o nim książkę.

– To na razie tajemnica.

– Oczywiście.

Na horyzoncie pojawił się kelner.

– Może na początek coś do picia?

Rex się rozpromienił.

– Kieliszek wina postawiłby mnie na nogi. Co o tym myślisz?

– W porządku.

– Butelkę domowego czerwonego wina.

Kiedy kelner odszedł, Rex wytłumaczył się z wyboru lokalu. Była to mała, rodzinna restauracja, skromna i bezpretensjonalna, przez co cieszyła się dużą popularnością wśród polityków ceniących sobie prywatność. Właśnie dlatego zawsze miała komplet. Mabbut rozejrzał się po sali.

– Dziś akurat nie – dodał Rex. – Nie otworzyli się jeszcze po urlopie.

Kelner wrócił, a Rex spróbował wina.

– Niczego sobie. Z włoskiego gospodarstwa. Niezbyt skomplikowany smak.

Na znak Rexa kelner napełnił dwa kieliszki i zostawił butelkę na stole.

– No dobrze, w czym mogę ci pomóc? Książka zapowiada się ciekawie.

– Niestety, mój wydawca lubi się we wszystko wtrącać. Ubzdurał sobie, że najlepsze, co może zrobić, to zebrać świeżo upieczonych absolwentów dziennikarstwa i kazać im szukać „dróg dostępu" do Melville'a. Tak jak napisałem w liście – ja nie pracuję takimi metodami. Według mnie w ten sposób ogłosimy wszem wobec, że szykujemy na niego polowanie. I dlatego… no właśnie… dlatego chciałem z tobą porozmawiać.

Rex uniósł kieliszek.

– Zdrowie.

Mabbut z lekką konsternacją powtórzył toast. Nie zamierzał się z nim zaprzyjaźniać.

– Instynkt cię nie myli – ciągnął Rex. – Hamish ma obsesję na punkcie prywatności. Nie znam szczegółów, ale słyszałem, że ludzi, którym ufa, jest może pół tuzina. Podobnie jak on, wszyscy są świetnie wykształceni, wielojęzyczni i bezwzględnie lojalni. Oprócz nich istnieje coś w rodzaju uśpionej siatki sympatyków, których może zmobilizować praktycznie w każdym kraju na świecie. Wielu z nich to miejscowi, ale Melville zapewnia im dostęp do najnowszych technologii. Bosa armia z laptopami. Trudno będzie przeniknąć do jego środowiska. Zwłaszcza tradycyjnymi metodami.

Rex wziął do ręki menu.

– Zamawiamy?

Obaj wybrali danie dnia. Rex musiał wrócić na swoje posiedzenie, a Mabbut miał świadomość, że od rana czekają na niego już dwie wiadomości od Lathama, który właśnie wrócił z Australii.

Rex urwał kawałek bułki.

– Z tego, co mówi Krystyna, zdobyłeś ostrogi w dziennikarstwie śledczym. Wspomniała o jakiejś nagrodzie.

„Naprawdę? I o czym jeszcze?”, powiedział Mabbut w duchu.

– O tak, byłem wielką gwiazdą. Piętnaście lat temu.

– To znaczy?

– Dostałem cynk, że do rzeki w Midlands wylewane są odpady arsenowe. Przekopałem się przez dokumenty. Niczego nie znalazłem. Firma miała nieposzlakowaną opinię. A potem zmarło dziecko. I to nawet nie tam, a w wiosce oddalonej o wiele mil, w dawnym w hrabstwie Westmorland. Przeglądając ostatni raz akta firmy, czystym przypadkiem natknąłem się na nazwisko Saxilby i skojarzyłem fakty. Tak nazywał się ten chłopiec, który zmarł. Sprawdziłem to i dowiedziałem się, że przyczyną śmierci była niewydolność wątroby. Rzadka przypadłość u dwunastolatka, który wcześniej nie miał problemów ze zdrowiem. Okazało się, że przed rozstaniem rodziców mieszkał tuż obok strumienia, wypływającego z fabryki. Znalazłem powiązanie, o które mi chodziło. Teraz

wystarczyło przeprowadzić badania chemiczne. Bingo. Przez trzy miesiące do wody odprowadzano siarczek arsenu. Firma o tym wiedziała, ale wyciszyła sprawę. A to dziecko nie było jedyną ofiarą.

Rex słuchał, kiwając głową.

– To musiało być wspaniałe uczucie, przyskrzynić tych drani.

Mabbut uśmiechnął się.

– Tak, to było przyjemne.

– A potem?

– Już nigdy nie trafiło mi się nic podobnego. W branży pojawiły się głosy, że działałem nieetycznie.

– A działałeś?

– No wiesz… zapłaciłem pieniędzmi gazety matce tego chłopca za jego historię choroby. To był praktycznie jedyny sposób na dotarcie do prawdy, ale koniec końców oprócz nagrody British Gas Award dostałem opierdol od Komisji Etyki Prasy, a w światku dziennikarskim takie rzeczy zostają w pamięci najdłużej.

Na stole pojawiło się ich danie: dwa talerze lekko parującego linguini.

– A od tamtej pory?

– Brałem wszystko, co mi wpadło w ręce. Chałtury, pod którymi podpisywali się inni, teksty do redakcji, a potem zlecenia od korporacji, żeby mieć za co żyć. Można powiedzieć, że przeszedłem na stronę wroga.

– Więc kiedy dostałeś książkę o Melville'u…

– Byłem, delikatnie mówiąc, zdziwiony. I nadal jestem. Świetny temat, dobre pieniądze. Tylko współpracownicy trudni.

Mabbut dobrze się czuł w towarzystwie Rexa i nie było sensu dłużej z tym walczyć. Pierwszy raz od bardzo dawna mógł z kimś tak szczerze porozmawiać. Uśmiechnął się smutno.

– Zastanawiałem się, czy sobie tego nie odpuścić. Jest jeszcze inny projekt, którym naprawdę chcę się zająć.

– A tak. Powieść science fiction.

– Historia alternatywna.

– Tak, Krystyna mi o tym opowiadała.

Mabbut nadstawił uszu.

– Co mówiła?

Rex zawahał się pierwszy raz.

– Jej zdaniem… jej zdaniem lepiej, że zdecydowałeś się na literaturę faktu.

Obaj zajęli się jedzeniem. Do restauracji weszła amerykańska rodzina. Matka, ojciec, babcia i dwójka nastolatków, wszyscy bliźniaczo podobni do siebie, pomijając wiek i płeć. Przez chwilę stali zakłopotani. Dorośli zaczęli naradzać się między sobą, a dzieci obejrzały się na drzwi.

Rex rozparł się na krześle, musnął kąciki ust serwetką i odłożył ją na bok. Przez chwilę przyglądał się Mabbutowi w zamyśleniu, a potem pochylił się nad stołem i zniżył głos.

– Odkąd dostałem twoją wiadomość, rozmawiałem z kilkoma osobami – nie martw się, nie podałem żadnych nazwisk – i wiem z dobrych źródeł, że Hamish znajduje się obecnie na subkontynencie indyjskim. Szykuje się tam coś z jego bajki. Wielki przemysł, plemiona lokalne. To, co Hamish lubi najbardziej. Nadal żywo interesują mnie jego poczynania, ale sam rozumiesz, że nie mogę narazić się na zarzut nielojalności. Jestem zbyt blisko związany z Westminster.

Mabbut skinął głową.

Rex spojrzał na zegarek.

– A skoro już o tym mowa, zrobiło się późno.

Wziął jeszcze jeden kęs, odsunął talerz na bok i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej kopertę i podał ją Mabbutowi.

– W środku znajdziesz klucz i adres. Pamiętaj, żeby zabrać ze sobą dokument tożsamości. Paszport, prawo jazdy. Czeka tam na ciebie wszystko, czego zdołałem się dowiedzieć. Wybacz te szpiegowskie klimaty, ale muszę być czysty jak łza.

Uśmiechnął się pokrzepiająco.

– Mam nadzieję, że dzięki temu łatwiej go znajdziesz. Mogę ci tylko radzić, żebyś działał szybko, bo on i tak będzie kilka kroków przed tobą.

– Dzięki, Rex.

– Tylko pamiętaj, Keith, moje nazwisko nie może nigdzie się pojawić.

– Dlaczego mi pomagasz?

– Przyjaźniłem się z tym starym draniem. Podziwiam go. Moim zdaniem jest niedocenianym bohaterem, a bohaterów w dzisiejszych czasach mamy zdecydowanie za mało.

Wychodząc, Rex pożegnał go serdecznie, jak dawno niewidzianego kolegę ze szkoły. Mabbut zapłacił rachunek i pojechał autobusem do St. John's Wood. Kierując się wskazówkami Rexa, znalazł długi, niski budynek, który wyglądał, jakby kiedyś należał do pobliskiego kościoła. Teraz lancetowate okna były zakratowane, a nad arkadową bramą tkwił ogromny szyld z napisem „Przechowalnia Miasta Stołecznego Londynu". W recepcji Mabbut wylegitymował się prawem jazdy. Drzwi otworzyły się automatycznie, a Keith ruszył korytarzem za utykającym starszym mężczyzną do przestronnego pomieszczenia, w którym na ścianach ciągnęły się kolumny sejfów. Dozorca zostawił go samego, a Mabbut otworzył jedną ze skrytek kluczem, który dostał od Rexa. W środku znajdowała się biała koperta A4 z jego nazwiskiem. Podpisał odpowiednie formularze, wsunął kopertę do torby na ramię, a później wsiadł do autobusu linii 274 i pojechał do domu.

Siedział teraz w swoim gabinecie przy Reserton Road. Przed sobą miał rozłożone rozmaite dokumenty: listy nazwisk, adresy, mapy miast; obok leżał otwarty *Atlas Świata* tygodnika „The Times", w który jego ojciec zainwestował część emerytury, choć ostatecznie nie zdążył z niego skorzystać. Mabbut spędził w tej samej pozycji niemal godzinę, dopóki od pracy nie oderwał go sygnał komórki.

SMS od Rona Lathama z potwierdzeniem, że zgodnie z oczekiwaniami Melville'a zlokalizowano na północy Brazylii. Uwaga Mabbuta skupiała się jednak gdzie indziej – śledził palcem bieg rzeki Mahanadi, wijącej się przez Ghaty Wschodnie do Zatoki Bengalskiej.

Część II

*

Rozwiązanie

JEDEN

Mabbut z zadowoleniem wciągnął powietrze do płuc. Lotnisko im. Biju Patnaika w Bhubaneswarze, starożytnej stolicy Kalingi, okazało się miłą niespodzianką. Zniknęło mgliste poczucie dezorientacji, które po przylocie z Londynu towarzyszyło mu podczas transferu na przypominającym szklaną fortecę lotnisku w Delhi. W Bhubaneswarze wysiadających z samolotu pasażerów pieściła ciepła, wilgotna bryza znad Zatoki Bengalskiej. Droga do terminalu wiodła przez ogród pełen nisko przyciętych żywopłotów i zadbanych kwietników. Między roślinami stały terakotowe figury lepiej znanych bóstw: Ganeśi z głową słonia, Hanumana pod postacią małpy, Śiwy i Wisznu. Ogród prowadził do niewielkiej, przyjemnej hali przylotów, obwieszonej latarniami i chorągiewkami w jaskrawych kolorach, zupełnie jakby trwał jakiś festiwal.

Keith stanął przy taśmie bagażowej. Dziesięciometrowy jasno oświetlony plakat nad jego głową przedstawiał rodzinę, której członkowie, począwszy od niemowlęcia aż po dziadków, z rozmarzeniem wpatrywali się w niebo, uśmiechając się radośnie. Na dole widniał wypisany srebrnymi literami slogan: „Bank Dalween. Z nami Indie są lepsze”.

Mabbut wlepiał wzrok w nieczynny gumowy pas, jakby mógł go uruchomić siłą woli. Niektóre z zachodzących na siebie paneli były naderwane, a szpary ukazywały leżące pod spodem stosy śmieci: porzucony but, torebki foliowe, brudne gazety i jakąś ciemną, bezkształtną, połyskującą wilgocią masę, w której odbijało się światło neonu. Wyciągając szyję, Keith spoglądał w kierunku wyjścia; w tłumie wyczekujących osób, stłoczonych przy stalowej

barierce, usiłował dojrzeć człowieka, który miał go odebrać. Wokół stało kilku policjantów w mundurach khaki, ściskających w dłoniach bambusowe kije.

Keith zaczął planować następne kroki. Jeżeli bagaże, a wśród nich jego walizki, doleciały na miejsce, a umówiony człowiek wyjechał mu na spotkanie, będzie mógł od razu zabrać się do pracy i sprawdzić uzyskane informacje. Jego spokój mąciły jedynie uciążliwe ingerencje Rona Lathama. Chociaż dzieliło ich pięć tysięcy mil, Mabbut nadal miał w pamięci świdrujące spojrzenie, jakim obrzucił go Latham, kiedy żegnali się w Londynie. Wydawca wiedział, że Mabbut nie zdradził mu wszystkiego o kontaktach, które zawiodły go do Indii. I wiedział, że Mabbut wie, że on o tym wie. Efektem była ich gra w kotka i myszkę: Latham na pozór pozwolił Mabbutowi prowadzić własne śledztwo, ale uparł się, żeby zorganizować mu przeloty i noclegi; zamówił też przewodnika w hotelu. Zrezygnował jednak z żądania codziennych raportów dzięki Silli, której udało się go przekonać, że jeśli plan odszukania Melville'a ma się powieść, Mabbut powinien móc podążać jego tropem, kiedy nań trafi. Keith powtórzył jej swoje argumenty: z niezachwianym spokojem wyjaśnił, że musi mieć jak najwięcej swobody. W Londynie wszystko wydawało się takie proste. Teraz, w Indiach, nie czuł się już tak pewnie.

– Panie Keith, sir!

Mabbut zdążył odebrać bagaż i przebić się przez tłum przy wyjściu, kiedy natknął się na wysokiego, wąsatego, lekko przygarbionego mężczyznę w grubych okularach, granatowym krawacie i nieskazitelnie białej koszuli, wsuniętej w świeżo wyprasowane drelichowe spodnie. Poczuł się nieswojo. Jego własna koszula była wilgotna i przepocona, a cienkie bawełniane spodnie, które wybrał z myślą o porze przedmonsunowej, zdążyły się pognieść w kroku. Mężczyzna zbliżył się i zawiesił girlandę z nagietków na rozgrzanej szyi Mabbuta. Później cofnął się, złożył ręce i ukłonił się krótko.

– Namaste.

– Namaste – odpowiedział Mabbut, odwzajemniając ukłon zgodnie ze wskazówkami przewodnika Lonely Planet. Jego towarzysz rozłożył szeroko ramiona, wskazując rzeszę usłużnych pomocników.

– Witamy w raju na ziemi, sir.

Rzucił coś ostrym tonem, a wątły staruszek w *dhoti* chwycił walizkę Mabbuta.

– Ma kółka! – zawołał za nim Mabbut, ale było już za późno. Starzec ulokował sobie bagaż na głowie i truchtem ruszył w kierunku wyjścia.

Wąsaty mężczyzna ukłonił się ponownie.

– Jestem pana przewodnikiem z Hotelu Garden, perły Bhubaneswaru, miejsca idealnego dla wymagających gości. Służę panu wszelką pomocą.

Mabbut chciał zaoponować, ale nie zdążył. Jego towarzysz odstąpił o krok z kolejnym niskim ukłonem, przepuszczając go przodem, jakby Indie wciąż znajdowały się pod panowaniem Wielkiej Brytanii. W drodze z lotniska mijali po obu stronach zielone pola ryżowe i spokojne zatoczki, a Mabbut dowiedział się, że jego przewodnik ma na imię Farud i specjalizuje się w architekturze świątyń hinduskich zbudowanych między VI a XII wiekiem.

– Kiedyś stało tu siedemnaście tysięcy świątyń.

Mabbut pokiwał głową. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Mamy szczęście, że zostało nam jeszcze pięćset.

Kiedy zajechali przed hotel, do samochodu podeszli trzej mężczyźni w turbanach, żeby otworzyć im drzwi. Dobrze, że nie wywołali go jeszcze po nazwisku. Trudno byłoby o mniej dyskretny przyjazd. Zameldował się, przyjął kolejne drinki powitalne i girlandy, po czym eskortowano go do pokoju na jedenastym piętrze, gdzie wysłuchał wyczerpujących wyjaśnień na temat funkcjonowania wszystkich sprzętów, od telewizora po prasowalnicę do spodni. Gdy wreszcie został sam, zamknął drzwi na klucz i położył się na łóżku.

Po godzinnej drzemce i prysznicu, zszedł na dół na piwo.

Farud zerwał się z krzesła i zastąpił mu drogę.

– Wyruszamy, sir? Zrobiło się trochę chłodniej. To dobra pora na zwiedzanie świątyń.

– Posłuchaj, Farud, mam za sobą długą podróż z Londynu i jestem wyczerpany. Może jutro będzie lepszy moment na podziwianie zabytków.

Farud poprawił okulary i wskazał ręką drzwi.

– Ale mamy tak dużo do zobaczenia. Lepiej zacząć od razu. Zapraszam.

Mabbut ustąpił, uznając, że najlepiej będzie dalej udawać turystę. Pierwsza z sześciu świątyń, które obejrzeli tego popołudnia, miała tysiąc pięćset lat i była niezaprzeczalnie piękna. Ściany zdobiły pełne życia podobizny muzyków, tancerzy, słoni, bogów i bogiń, każda na osobnej tabliczce. Mabbut nie miałby nic przeciwko temu, żeby iść za przewodnikiem w milczeniu, ale Farud nie mógł się na to zgodzić. Był mistrzem interakcji.

– Czy pan wie, ilu bogów i bogiń czcimy w hinduizmie?

Mabbut poszukał w zmęczonej głowie imion, które zapamiętał w czasie lotu.

– Ee… dziesięć? Dwanaście?

– Trzysta pięćdziesiąt milionów!

– No proszę.

– Widzi pan, każda rodzina ma własnych bogów.

Następnie Farud wyjaśnił, że świątynia, w której się znajdują, została zbudowana jako jedna z pierwszych, kiedy odradzający się hinduizm wyparł buddyzm w V i VI wieku.

– Myśli pan pewnie, że buddyzm i hinduizm musiały się od siebie bardzo różnić, prawda, sir?

Mabbut posłusznie połknął haczyk.

– Prawda.

– No cóż, jest pan w błędzie. W tamtym okresie były do siebie bardzo podobne. Właściwie wiele ludzi uważało buddyzm za odłam hinduizmu, więc kiedy przeszli na hinduizm, budowali świątynie buddyjskim posągom.

– Rozumiem.

– A gdzie wcześniej trzymali posągi, sir?

– W swoich domach?

Farud spojrzał na niego z pogardą.

– Nie! Pod drzewami.

Mabbut nie mógł nie zauważyć, że był jedynym białym turystą na szlaku świątynnym. Nie zaalarmowało go to. Wzmogło tylko uczucie, że mimo otępiającego zmęczenia ogląda coś nowego i cudownego, na co nie mogło go przygotować życie spędzone na zachód od Suezu. Zdał sobie jednak sprawę, że trudno mu będzie nie zwracać na siebie uwagi. Od czasu do czasu ukradkiem rozglądał się dookoła, jakby Hamish Melville mógł w każdej chwili pojawić się na horyzoncie. Obawiał się, że jeśli jego wielki rodak wyczuje obecność innego Anglika, zniknie na zawsze.

Przez całe popołudnie Farud ciągnął swoje erudycyjne, obszerne wywody o ewolucji takich elementów architektury hinduistycznej jak jagamohana, natir i bhoga mandir.

– A co oznacza ten trójząb na szczycie wieży, sir?

– Że jesteśmy niedaleko wybrzeża?

Zachwycony Farud pokręcił zamaszyście głową.

– Nie! To świątynia Śiwy stwórcy. A gdyby to była świątynia Wisznu, co widzielibyśmy na wieży?

– Słonia?

– Nie! Gdyby chodziło o Wisznu, symbolem byłoby koło!

– Chyba powinienem wracać do hotelu, Farudzie. Muszę zadzwonić do Londynu, zanim zrobi się za późno – skłamał Mabbut, znużony swoją rolą w tym dialogu.

– W Wielkiej Brytanii jest teraz jedenasta w nocy.

– Tak, dlatego muszę powiedzieć żonie, że dojechałem bezpiecznie – kolejne kłamstwo.

– Aha! – Farud mrugnął porozumiewawczo. – Żonie. Oczywiście.

Następnego dnia Mabbut odespał zmęczenie po podróży. Z Farudem umówił się na późne popołudnie, więc miał czas opracować plan działania. Porównał to, czego udało mu się dowiedzieć podczas ostatniego gorączkowego tygodnia w Londynie, z informacjami od Rexa Naismitha. Wszystkie ślady prowadziły do niczym nie wyróżniającego się pensjonatu, który rzekomo miał być bazą wypadową Melville'a w mieście. Jednak gdy Mabbut pokazał Farudowi jego adres, mężczyzna spochmurniał i pokręcił głową.

– To nieprzyjemna okolica, panie Keith. Daleko od lotniska. Zatrzymuje się tam wielu biedaków.

– Chciałbym zobaczyć ten pensjonat. Przyjaciel mi go polecił.

Farud posłusznie skinął głową, ale posłał Mabbutowi wymowne spojrzenie.

Wyruszyli późnym popołudniem. Lśniąco biała toyota z napędem na cztery koła, dostarczona przez firmę Faruda, wydawała się coraz bardziej nie na miejscu, kiedy zostawili za sobą szerokie miejskie bulwary i podskakując na torach kolejowych, wjechali w labirynt wąskich, krętych zaułków. Wokół samochodu kłębili się ludzie. Mabbut nigdy nie widział na ulicy takiego tłumu – mógł go porównać jedynie z Holloway Road w noce, kiedy Arsenal grał u siebie, tyle że ci ludzie nigdzie się nie spieszyli. Oni mieszkali na ulicy. Nie parli naprzód, niesieni radosnym podekscytowaniem. Dominowała raczej rezygnacja. Twarze za oknami miały puste, nieruchome spojrzenia.

– Farud, skąd się tu wzięli ci wszyscy ludzie?

– Zawsze tu są, panie Keith. Pojawiają się i znikają, wie pan. To bardzo biedna dzielnica.

Wjechali głębiej do starej części miasta, gdzie ich kierowca, jak wszyscy pozostali, oparł się o klakson, wnosząc swój wkład

w nieustanną, jazgotliwą kakofonię uliczną. Nie był to lament – hałas nie wyrażał żadnej treści, jedynie świadomość wspólnego losu. Dzieci wciśnięte we dwójkę lub w trójkę między rodziców na motorze. Zgarbione staruszki, sunące naprzód w ślimaczym tempie. Chłopcy z tuzinami pudełek po jajkach na głowach. Przechadzające się między ludźmi krowy z napiętą na sterczących zadach skórą. Dla nich wszystkich było miejsce na ulicy. I mimo trąbienia klaksonów, nikt nie usuwał się z drogi.

Nic nie mogło przygotować Mabbuta na ten widok. To były Indie, o których słyszał i czytał, ale widziane na własne oczy wydały mu się równocześnie fascynujące i przerażające. Przez jakiś czas, który zdawał się wiecznością, toyota przeciskała się między niezliczonymi wąskimi bazarami, aż w końcu kierowca o imieniu Nirwan – potężny, barczysty i nieskończenie cierpliwy – wskazał arkadową bramę w głębi ulicy. Wyglądała groteskowo wśród stoisk z owocami, koszami wiklinowymi i błyszczącymi stosami garnków. „Hotel Farhan. Noclegi z wyżywieniem" – głosiła wyblakła tablica nad wejściem. Pod spodem dopisano później „P. Singh, wł.". Nirwan zakręcił gwałtownie kierownicą, ostatni raz wcisnął klakson i wjechał między popękanymi, pokrytymi pleśnią filarami na niewielkie podwórko. Przed kołami przedefilował rozdrażniony czarny kogut.

Farud ewidentnie czuł się nieswojo. Niezadowolenie okazywał, traktując jeszcze bardziej szorstko Nirwana, który mógłby powalić go jednym ciosem, gdyby przyszła mu na to ochota.

– Zatrzymaj się! Nie tutaj! Dalej! Przy drzwiach.

Budynek zajmowany obecnie przez Hotel Farhan najwyraźniej stał tam nie od dziś. Niemal kwadratowy w kształcie pensjonat miał lekko spadzisty dach, kamienne ściany wykończone laterytem i trzy piętra pokojów gościnnych. W zasadzie przypominał proporcjami georgiańskie probostwo. Okna na parterze były zamknięte i zakratowane. Między nimi znajdowało się zaskakująco eleganckie wejście z kolumnami ozdobionymi po obu stronach sztukaterią.

W drzwiach pojawił się wysoki, jasnoskóry Hindus z siwymi, armijnymi wąsami i lśniącą łysiną. Na nosie miał okulary w stalowych oprawkach i był nagi od pasa w górę.

Obrzucił pogardliwym spojrzeniem samochód, jego kierowcę i pasażerów. Mabbutowi zrobiło się wstyd. Mógł poprosić, żeby Farud wysadził go na ulicy, wtedy ich najście nie wydawałoby się tak ostentacyjne, ale na to było już za późno. Jego przewodnik wysiadł i rozmawiał z półnagim mężczyzną, co chwilę potrząsając głową i zerkając na Mabbuta. Później wdrapał się z powrotem do samochodu, zamknął drzwi i zasunął szybę.

Przybrał poważny wyraz twarzy i odezwał się dziwnym, oficjalnym tonem, jak policjant pouczający zatrzymanego o jego prawach.

– Sir Keith, jeśli życzy pan sobie tu zostać, to mają wolny pokój. Kosztuje dwieście rupii za noc. Obok pokoju jest łazienka i toaleta. Nie ma kucharza. Odszedł.

Skinął głową w kierunku kościstego właściciela.

– Ale on przygotuje panu coś do jedzenia. Mówi trochę po angielsku.

Mabbut poczuł się zagubiony. Ogarnęły go wątpliwości. Przekartkował notes w poszukiwaniu adresu, który mu przekazano.

– To jest ulica Awanati 28?

Kierowca przytaknął. Czas stanął w miejscu. Właściciel pensjonatu czekał w cieniu wejścia, opędzając się od much bawełnianym ręcznikiem. Na podwórze wbiegł pies. Przez chwilę wściekle ujadał, a potem padł na ziemię, dysząc z wysiłku. Mabbut wiedział, że wszyscy czekają na jego decyzję. Najrozsądniej byłoby wrócić do Garden Hotel i zacząć od początku, tyle że nazwa i adres zgadzały się z jego informacjami. Poza tym musiał kiedyś zrobić pierwszy krok. Popatrzył jeszcze raz na obskurny dziedziniec, wychudzonego psa, paradującego dumnie czarnego koguta i stertę śmieci, częściowo zamiecionych do kąta.

– Przekaż mu, że wezmę ten pokój.

DWA

Mabbut wyjął rzeczy z walizki, stwierdził, że nie ma ich gdzie przełożyć, i znów je spakował. Poza niskim łóżkiem z lekko wilgotną pościelą umeblowanie jego pokoju ograniczało się do krzesła, niewielkiego stolika z kawałkami złożonej gazety pod nóżkami i komody bez szuflad. Pokaźny klimatyzator nad drzwiami co chwilę podrywał się do działania i zamierał w drgawkach, jakby usiłował coś odkrztusić. Po jakimś czasie Mabbut wyłączył go, zdając się na wentylator sufitowy z drewnianymi łopatkami, które obracały się cicho, ospale i w dużej mierze bezowocnie. Poczuł, że musi uporządkować myśli, więc wyjął notatnik i zaczął opisywać wszystko, co zdarzyło mu się od przyjazdu do Indii.

Kiedy podniósł wzrok znad notesu, był już wieczór. Farud dawno wrócił do biura, więc Mabbut postanowił przejść się zatłoczoną ulicą przed hotelem. Powietrze wypełniał zapach przypraw, kadzidła i łajna. Wokół bzyczały skutery, motorowe riksze torowały sobie drogę, a między nimi od czasu do czasu przepychała się z głośnym trąbieniem krzykliwie udekorowana ciężarówka. Z bocznych uliczek wyłaniały się krowy, z niezmąconym spokojem zapuszczając się w ten gąszcz pojazdów. Słysząc za sobą dzwonek roweru, Mabbut uskoczył na bok, unikając nadziania na stalowe rury o długości dwóch metrów, przerzucone przez kierownicę. Gdy już przywykł do tego chaosu, poczuł się w nim zaskakująco bezpiecznie i komfortowo. Zgiełk codziennego życia przyniósł mu swego rodzaju spokój.

Nagle w otaczający go gwar wdarł się ostry krzyk, dobiegający z dalszej części ulicy. Mabbut stanął na palcach, wyciągając szyję.

Tłum obstąpił przechyloną autorikszę. Ludzie krzyczeli i walili w dach pojazdu. Mabbut podbiegł tam i stanął w grupce gapiów. Rozgniewani dyskutanci wyrzucali w górę ramiona i zaciskali pięści. Odnalezienie winnego wydawało się ważniejsze niż pomoc poszkodowanym. Na ziemi leżała jęcząca kobieta. Obok niej młody mężczyzna w koszuli i dżinsach osłaniał się od ciosów i kopniaków, które spadały na jego ciało. Niektórzy przechodnie usiłowali odciągnąć napastników, więc Mabbut przepchnął się do przodu, żeby im pomóc. W tej samej chwili poczuł czyjś uścisk na ramieniu i usłyszał cichy, lecz kategorycznie brzmiący głos.

– Lepiej się w to nie mieszać.

Mabbut obrócił się i zorientował, że z miejsca bójki delikatnie, ale stanowczo odciąga go wysoki, smukły biały mężczyzna w luźnych bawełnianych spodniach i kurcie. Chociaż twarz częściowo zasłaniała mu fala prostych siwych włosów, Mabbut wszędzie poznałby ten zarys szczęki, długi prosty nos i głęboko osadzone oczy. Zaschło mu w gardle. Nie miał wątpliwości – to był człowiek, którego szukał.

Usiedli przy stoliku na drugim końcu ulicy, z dala od rozgniewanego tłumu. Obok nich chłopiec z gęstymi czarnymi włosami i niemal kruczoczarną skórą dął w miechy, żeby rozpalić ogień pod rondlem. Wrzucił herbatę do mleka, dodał kilka nasion fenkułu i kardamonu, po czym doprowadził miksturę do wrzenia i rozlał ją do dwóch szklaneczek, które ustawił przed nimi. Mabbut uśmiechnął się z wdzięcznością. Jego towarzysz podniósł szklankę bez podziękowania i ostrożnie upił łyk napoju.

– Porywczy naród – rzekł, zapatrzony na ulicę. – Szybko się denerwują.

Melville wyrażał się lakonicznie, prawie szorstko. Jego ton łagodził jednak subtelny ślad szkockiego akcentu.

– Nie potrafią dusić w sobie emocji.

Odwrócił się do Mabbuta i zawiesił głos. Trwało to dość długo, by wprawić rozmówcę w zakłopotanie.

– W odróżnieniu od nas.

Mabbut przytaknął. Gorąca szklanka prawie parzyła go w dłonie. Napił się szybko w nadziei, że Melville nie zauważy, jak trzęsą mu się ręce. Nie wiedząc, co powiedzieć, obejrzał się w stronę miejsca wypadku, gdzie wciąż królowały podniesione głosy i pięści.

Poczuł na sobie spojrzenie Melville'a.

– Pan tu na długo?

Mabbut wzruszył nieprzekonująco ramionami.

– Ja? Nie, tylko na kilka dni.

– Ciekawy wybór hotelu.

Mabbutowi robiło się coraz bardziej gorąco ze zdenerwowania. Odchrząknął.

– Nie lubię chodzić utartymi szlakami – odpowiedział. – Wie pan, chcę poznać prawdziwych ludzi.

– Aha, prawdziwych ludzi. Rozumiem.

Melville odchylił się na krześle. Obiema rękami odgarnął z twarzy długie siwe włosy, ściągnął je z tyłu głowy i przytrzymał tam przez chwilę. Był to zaskakująco beztroski gest u mężczyzny w jego wieku. Mabbut poczuł się trochę swobodniej. Chciał zadać mnóstwo pytań, ale wiedział, że nie może przyspieszać biegu wydarzeń. Musiał trzymać język za zębami. Będzie miał jeszcze dużo czasu na rozmowy.

W tym momencie Melville nieoczekiwanie wstał, rzucił na stół dwadzieścia rupii, powiedział coś w języku hindi do chłopaka i zarzucił torbę na ramię. Uśmiechnął się do Mabbuta, który również się podniósł, dość niezdarnie.

Melville wyciągnął rękę.

– No cóż, powodzenia – rzekł. – Niech pan na siebie uważa. To gorsza część miasta.

Po tych słowach skinął głową – nie do Mabbuta, tylko do kogoś za nim.

Kiedy Mabbut się odwrócił, zauważył zdezelowanego zielonego SUV-a, który wyłonił się z tłumu i podjechał w ich kierunku. W środku siedziało dwóch lub trzech ludzi, wyglądających na miejscowych. Melville uśmiechnął się blado.

– Prawdziwi ludzie nie zawsze odpowiadają naszym wyobrażeniom.

Nie odwracając się za siebie, otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł do samochodu, który trąbiąc, ruszył w górę ulicy, skręcił za róg i zniknął.

Po powrocie do Farhan Mabbut usiadł przy chwiejnym stoliku w swoim pokoju. Kiedy otworzył notatnik, z zaskoczeniem i wstydem odkrył, że wciąż trzęsą mu się ręce. Cynk o pensjonacie dał lepsze efekty, niż mógł przypuszczać. Dzięki Bogu, nie przełożył zmiany hotelu na później. Nie tylko nawiązał kontakt z Melvillem drugiego dnia pobytu w Indiach, lecz także wytropił go bez najmniejszej pomocy Lathama. Mniej zadowolony był z własnej reakcji. Zachował się jak nastolatek wpatrzony w idola, a nie obiektywny reporter.

Z jakiegoś powodu sądził, że nie będzie musiał stosować żadnych podstępów, bo ktoś, kto podziwia Melville'a tak jak on, na pewno znajdzie z nim wspólny język. Przez myśl mu nie przeszło, że Melville może go nie polubić albo nie chcieć z nim rozmawiać. Co było przecież bardzo prawdopodobne. W końcu ten człowiek czuł patologiczny wstręt do mediów. Żaden dziennikarz nie zdołał się do niego zbliżyć. Mabbut pocieszył się myślą, że przynajmniej jest we właściwym miejscu. Po prostu będzie musiał staranniej przygotować się na kolejne spotkanie.

Wyjrzał przez okno na wąską alejkę z utwardzonej ziemi. Po obu jej stronach stały niskie domy kryte strzechą. W cieniu okapów kobiety i dzieci przygotowywały się na nadchodzącą noc. Po spękanym tynku na zewnętrznej ścianie sunął chrząszcz, usiłując przedostać się na

drugą stronę okiennicy. Po kilku próbach wspiął się na nią, przebiegł po parapecie i zniknął w szparze w ścianie. Mabbut przez moment wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Potem wziął głęboki wdech, zamknął notatnik, odsunął krzesło i wstał. Poczuł przyjemny, choć nietypowy dla siebie przypływ wiary we własne siły, który przypisał wyczynowi chrząszcza. Uznał, że poradzi sobie z tym wyzwaniem. Teraz musiał coś zjeść, umyć się i odespać podróż, a jutro wstanie wypoczęty z gotową strategią zdobycia zaufania Melville'a. Tego popołudnia dał się zaskoczyć, ale to się już nie powtórzy.

Dopiero po chwili zorientował się, że ktoś puka do drzwi. Stukanie rozległo się ponownie i tym razem zabrzmiało bardziej natarczywie. Mabbut przemierzył szybko pokój i otworzył drzwi.

Za nimi zobaczył wysoką, osobliwie arystokratyczną postać pana Singha, półnagiego właściciela, który błyskawicznie rozejrzał się po wnętrzu, a potem skupił wzrok na Mabbucie.

– Jak się panu podoba pokój, sir?

– Wszystko w najlepszym porządku. Dziękuję.

– Najlepszy pokój w hotelu.

– Jestem bardzo wdzięczny.

– A to proszę zapalić wieczorem. – Wręczył Mabbutowi zieloną spiralę na czarnym stojaku. – Przeciw komarom.

– Dziękuję.

– Na końcu korytarza jest toaleta i prysznic. Są wspólne.

Mabbut skinął głową.

– Mnie to nie przeszkadza. Widzę, że nie jestem jedynym Brytyjczykiem w hotelu – dodał z zadowoleniem.

Parval Singh pokręcił głową.

– Brytyjczycy nigdy tu nie przyjeżdżają.

Mabbut zawahał się, ale postanowił drążyć dalej.

– Ktoś… yy… ktoś polecił mi to miejsce. Powiedział, że jego przyjaciel, pan Melville, czasem się tu zatrzymuje.

Pan Singh wyglądał na zdumionego. Kolejny raz pokręcił głową.

– Dopiero co spotkałem go przed hotelem. Wysoki biały mężczyzna w indyjskim stroju. – Mabbut pomachał rękami w powietrzu. – Mnóstwo włosów.

Twarz Singha rozjaśniła się.

– A, pan Steiner. Tak. On jest Belgiem.

Mabbut zaryzykował długie, twarde spojrzenie na pana Singha. Właściciel patrzył na niego spokojnie.

– Miał angielski akcent. Może go zapytamy, kiedy wróci do hotelu.

Pan Singh pokręcił głową.

– On nie wróci do hotelu, sir. Wyjechał.

– Wyjechał?

– Pan Steiner wyjechał. Wymeldował się. Nie wraca.

Piętro niżej rozległ się hałas. Skrzypnięcie, a potem trzaśnięcie drzwi. Cichnące odgłosy kroków w holu.

Pan Singh otarł szyję bawełnianym ręcznikiem.

– Czy można pana prosić o paszport?

Mabbut wrócił do pokoju, przeszukał kurtkę i podał mu dokument.

Pan Singh odwrócił się z zamiarem odejścia.

– Za godzinę przygotuję panu kolację.

Mabbut wyszedł za nim na wąski korytarz, pachnący cynamonem.

– Przepraszam. Ten dżentelmen. Ten… belgijski dżentelmen. Czy pan wie, dokąd pojechał?

Pan Singh pokręcił głową.

– Nie wiem. Pan Steiner pojawia się i znika.

Pod nimi znów zadudniły kroki.

– Za godzinę. W jadalni?

– Czy mogę zjeść na zewnątrz?

Parval Singh uśmiechnął się stanowczo.

– Nie.

Mabbut siedział sam w jadalni, ponurym pomieszczeniu na tyłach budynku. Atmosfery w sali nie poprawiała świetlówka, migająca raz po raz, jakby miała zgasnąć. Pan Singh zapadł się pod ziemię. Porcję ryżu i dalu przyniósł młody chłopak; Mabbut widział wcześniej, jak przepędza psy z dziedzińca. Poprosił chłopaka o piwo, ale się go nie doczekał. Kiedy skończył jeść, talerz został uprzątnięty, a chwilę później w jego miejsce pojawił się biały spodeczek z bananem i małą, miękką pomarańczą. W jadalni było odrobinę chłodniej niż w pokoju, więc Mabbut nie spieszył się z deserem. Zastanawiał się, co dalej. Przede wszystkim musiał się dowiedzieć, dlaczego Melville używa nazwiska Steiner. Uporawszy się z bananem i rozczarowująco mdłą pomarańczą, Mabbut wstał, ale zamiast wejść po schodach przeszedł przez pustą recepcję do drzwi wejściowych. Spowiło go ciepłe wieczorne powietrze, szmer ulic i miriady subtelnych, lecz charakterystycznych zapachów. Na niewielkim dziedzińcu, na którym wysadził go wcześniej Farud, tłoczyły się teraz skulone postaci. Mimo gorąca niektóre z nich trzęsły się i owijały ciasno kocami. Mrok rozjaśniały lampy, w których świetle Mabbut dostrzegł błysk folii aluminiowej. Niektóre postaci odwróciły się w jego stronę, ale miały puste spojrzenia i szybko wracały do poprzedniej pozycji.

Noc była tak gorąca, że po powrocie do pokoju Mabbut musiał włączyć klimatyzator, którego konwulsyjne drgawki i podrygi zapewniły mu imitację chłodnego powietrza za cenę męczących koszmarów. Przedzierał się przez gęsty las, potem upadł na ziemię, a jakaś niewidzialna siła wlokła go naprzód, gdy nagle ze snu wyrwało go świdrujące pianie koguta. Po omacku znalazł na podłodze przy łóżku swój budzik. Kiedy zobaczył, że jest dopiero wpół do czwartej, oprócz zmęczenia poczuł irytację. Kogut zapiał ponownie tuż pod jego oknem. Później zaszczekał pies, któremu z oddali odpowiedział drugi. Po chwili ryknął osioł. Wkrótce noc wypełnił nieskładny chór zwierzęcych głosów. Mabbut leżał, wpatrując się w wolne obroty wiatraka na suficie. Uszła z niego cała

euforia poprzedniego dnia. Teraz czarno widział przyszłość. Melville wyjechał, a on otrzymał jasny komunikat, żeby nie ważył się dalej go szukać.

Za oknem usłyszał głosy: leniwe, przytłumione rozmowy rodzin wstających przed świtem, żeby zmierzyć się z kolejnym dniem. Od wyjazdu z Londynu koncentrował się wyłącznie na swoim zadaniu, celowo wypierając inne, mniej przyjemne myśli. Dobiegające z dołu intymne odgłosy domu budzącego się do życia przypomniały mu jednak o jego własnej rozbitej rodzinie. Myślał o swojej córce, zakochanej po uszy w kimś, kogo ledwie zna, i o Samie, który coraz bardziej się od niego oddalał. A przede wszystkim myślał o Krystynie. Nurtował go nowy dylemat, wynikający z relacji z Rexem Naismithem. Rex bardziej niż ktokolwiek inny pomógł mu w poszukiwaniach Melville'a, ale w tym momencie prawdopodobnie kładł się właśnie do łóżka z jego żoną. A Mabbut nie potrafił nic na to poradzić. Mógł tylko o tym myśleć. A kiedy już zaczął, to oczywiście nie umiał przestać.

Włączył światło, podszedł do okna, wytrzepał przesiąknięty potem koc i sięgnął po książkę, ale nie mógł się uspokoić.

Dopiero o świcie ogarnęła go niepohamowana senność i wreszcie zasnął.

TRZY

Obudziło go walenie do drzwi. Na korytarzu było jasno i głośno. Łomot ustał, a Mabbut usłyszał krzyk pana Singha:

– Sir! Sir! Telefon do pana. Na dole!

Dzwonił Farud. Wydawał się zaniepokojony.

– Dziś święto Króla Ramy. Jeśli chcemy zwiedzić Świątynię Słońca, musimy wyruszyć bardzo wcześnie.

– Farudzie, przykro mi, ale nie mam dziś szczególnej ochoty na zwiedzanie świątyń.

– W południe odbywa się procesja wielkich rydwanów, panie Keith, ale nie musiałby pan iść w niej ze wszystkimi. Mamy zarezerwowany balkon w starym pałacu. Będzie tam dla pana woda i przekąski. Dopilnuję, żeby pan się dostał na miejsce. Przyjedziemy po pana za jakąś godzinę. Proszę już czekać.

– Farud, litości. Nie. Chcę. Dziś. Zwiedzać. Żadnej. Świątyni.

Ale połączenie zostało już przerwane.

Mabbut wrócił do pokoju. Wziął do ręki telefon komórkowy, ale uświadomił sobie, że nie zna numeru Faruda. Usiadł na łóżku i spróbował zebrać myśli. Jeśli Steiner/Melville naprawdę nie zamierza wrócić do pensjonatu, to Mabbut powinien przede wszystkim go odnaleźć, zanim ten zdąży zatrzeć po sobie ślady.

Umył się najlepiej, jak się dało w łazieneczce w korytarzu, ubrał i zszedł na śniadanie.

Ku swojemu zdumieniu obok recepcji zobaczył trzech zdecydowanie białych mężczyzn. Ubrani byli dość swobodnie, choć nie tanio, mieli koszule z ciężkiej tkaniny i dżinsy. Pierwszy wpatrywał się ze skupieniem w ekran swojego blackberry, drugi stał przy drzwiach,

wyglądając na dziedziniec z ledwie skrywaną pogardą, a trzeci, starszy mężczyzna sprawiający wrażenie lidera grupy, rozmawiał z panem Singhem.

– Pan Steiner wczoraj wyjechał, sir.

– Mieliśmy się z nim tu spotkać. Dziś.

Amerykanie.

– Przykro mi, sir. Nie ma go tutaj.

– Nie zostawił dla nas jakiejś wiadomości? O tym, gdzie go znajdziemy?

– Chyba wybierał się do Kolkaty, sir.

Dwaj pozostali wymienili spojrzenia.

– Do Kalkuty?

– Tak, sir, chyba ma tam jakieś sprawy do załatwienia.

– Wie pan, gdzie się zatrzymał?

– Tego panu nie powiem, sir.

– Nie powie mi pan, czy pan nie wie?

– Nie wiem, sir.

– Nie macie filii w Kalkucie? – zapytał mężczyzna z blackberry.

– Sieć „Nieznane Meliny Świata" – mruknął pod nosem jego towarzysz.

Starszy mężczyzna wyjął portfel i pochylił się w stronę pana Singha.

– Bylibyśmy zobowiązani za podanie nazwy hotelu – powiedział cicho.

Właśnie w tym momencie rozmawiający zorientowali się, że nie są sami. Mabbut poczuł na sobie spojrzenie czterech par oczu.

– Ee… śniadanie? – zapytał pogodnie pana Singha.

Właściciel pensjonatu wydawał się wdzięczny za tę przerwę w rozmowie.

– Oczywiście, sir. – Wskazał jadalnię. – Zajmę się tym.

Ku zdziwieniu Mabbuta, trzy lub cztery stoliki były już zajęte. Wszystkie przez Hindusów, którzy najwyraźniej się znali, młodych

mężczyzn i panów w średnim wieku, prawdopodobnie biznesmenów. Siedzieli rozparci na krzesłach, wybuchając śmiechem za każdym razem, gdy odzywał się najgrubszy z nich. Stos ciastek na stoliku przed nimi szybko malał.

Mabbut zjadł banana, ale tym razem nie tknął pomarańczy. Spojrzał na zegarek. Za pół godziny miał przyjechać Farud. Kolejny dzień zmarnowany na zwiedzanie świątyń. Zastanawiał się, co zrobić z kawałkiem lepkiego, słodkiego ciasta. Spróbował, jak smakuje, i natychmiast tego pożałował, bo w drzwiach jadalni stanął pan Singh. Przez dłuższy czas patrzył w kierunku Mabbuta, zmuszając go do wzięcia z uprzejmości kolejnego kęsa. W końcu podszedł do jego stolika i usiadł.

– Śniadanie smakuje, sir?

– O tak, dziękuję. Bardzo… bardzo smaczne.

Pan Singh sięgnął do kieszeni.

– Pański paszport.

– O, dziękuję.

Właściciel przyglądał się, jak Mabbut je ciasto, a kiedy zniknęło z talerza, pochylił się do przodu i powiedział ściszonym głosem:

– Co pan tu robi, sir?

Jego pytanie zbiło Mabbuta z tropu. Wciąż jeszcze szukał właściwej odpowiedzi, gdy pan Singh znów się odezwał, rzucając przy tym ukradkowe spojrzenie na hol.

– Tacy ludzie jak pan nie trafiają tu przypadkiem.

– Proszę mi wierzyć, należę do osób, które wolą takie miejsca. Miejsca, gdzie można znaleźć prawdziwych ludzi, prawdziwe Indie…

Pan Singh odchylił się w tył i spojrzał nań tak samo jak Melville, kiedy to jemu Mabbut wciskał kit o szukaniu prawdziwych ludzi.

– Pan wybaczy, sir, ale chyba musimy być ze sobą szczerzy.

Mabbut pierwszy raz zdał sobie sprawę z cichego cykania elektronicznego zegara ściennego.

– Czego pan chce od pana Melville’a?

Mabbut skinął powoli głową. Zastanawiał się, na ile szczerości może sobie pozwolić.

– Podziwiam Hamisha Melville'a. Kiedy się dowiedziałem, że często się tu zatrzymuje, uznałem, że to wystarczająca rekomendacja. Pomyślałem, że spróbuję.

– Od kogo się pan tego dowiedział?

– Od kogoś w Londynie, kto go podziwia tak samo jak ja.

Pan Singh oparł się na krześle, jakby planował kolejny krok. Potem nagle zawołał w kierunku kuchni.

– Vinoo! Czaj!

Przez dłuższą chwilę przyglądał się Mabbutowi. Zachowywał się tak, jakby miał mnóstwo czasu. W zasadzie im dłużej milczał, tym większego nabierał autorytetu i tym mniej pewnie czuł się Mabbut. Atmosferę rozładował brzęk naczyń w kuchni. Obaj zaczęli się rozglądać po sali, aż w końcu potargany chłopiec, który poprzedniego wieczora obsługiwał Mabbuta, przyniósł dwie szklanki karmelowego napoju i postawił je na stole.

– Lubi pan indyjską herbatę, panie Keith? Jeśli pan woli, mam też czarną.

– Nie, tak jest dobrze. Dziękuję.

Pan Singh podniósł swoją szklankę, trzymał ją przez chwilę w dłoni, a potem odstawił z powrotem na stół.

– Panie Keith. Niewiele osób wie, że pan Melville zatrzymuje się w pensjonacie Farhan. Proszę wybaczyć, ale skoro pan się tego dowiedział, to informacja musiała pochodzić od kogoś mu bliskiego albo od kogoś, kto mu źle życzy. – Rozłożył ręce. – Czyż nie?

– Nie życzę mu źle, w żadnym razie – żarliwie zaprotestował Mabbut. – Skąd ten pomysł? Przecież to legenda. Niezwykle wpływowa postać dla każdego, kto… kto… przejmuje się losami świata.

Właściciel pokiwał lekko głową i dalej patrzył na niego wyczekująco. Mabbut zrozumiał, że gra skończona. Odchrząknął.

– Miałem nadzieję nawiązać kontakt z panem Melvillem, żeby mu powiedzieć, jak go podziwiam. To wszystko.

– Jest pan jego zwolennikiem?

– Oczywiście.

– A nie dziennikarzem?

Mabbut zakrztusił się pikantną herbatą, zyskując chwilę na zastanowienie.

– Kiedyś, dawno temu, byłem dziennikarzem – przyznał ostrożnie.

Pan Singh lekko, niemal niezauważenie, przechylił głowę w bok.

– Zdobył pan nagrodę.

– Skąd pan to wie?

Pan Singh uśmiechnął się i wskazał głową w kierunku kuchni.

– Oprócz czajnika mam tam komputer.

Mabbut pokiwał głową.

– Rozumiem.

– Opowiedział się pan po stronie słabszych, panie Keith.

– Och, to było dawno i niewiele dobrego mi z tego przyszło.

Pan Singh zmrużył oczy i ściszył głos.

– Wie pan, tu też są ludzie, którzy zatruwają wodę.

– Rzeczywiście. Czytałem o tym trochę. Wielki przemysł na terenach wiejskich. Brak zabezpieczeń.

Pan Singh zerknął znów w stronę holu wejściowego. Amerykanie zniknęli. Uspokoiło go to.

– Słyszał pan o firmie Astramex?

Nazwa brzmiała znajomo. Mabbut natknął się na nią, zbierając informacje.

– O Przedsiębiorstwie Górniczo-Badawczym Astramex?

Singh przytaknął.

– To oni zatruwają wodę?

– Robią też wiele innych rzeczy, sir. Wiele złych rzeczy. Ale to ogromna korporacja. Ma filie w Dubaju, Nowym Jorku, Brukseli. Tu

pracują z dala od miast. Budują zakłady w górach, żeby nie narażać się na wścibskie spojrzenia.

Przez chwilę patrzył z namysłem na Mabbuta.

– Powinien pan się im przyjrzeć. Mógłby pan trafić na jakąś sensację.

Wyczuwając nieufność rozmówcy, pan Singh odsunął się i przywołał na twarz uśmiech.

– Jak pan się może domyśla, panie Keith – postukał palcem w paszport – panie Mabbut, nie jestem hotelarzem.

Obejrzał się szybko przez ramię na wchodzącą parę. Uniósł się na krześle i odprowadził ich wzrokiem do stolika.

– Vinoo!

Kiedy chłopiec wyszedł z kuchni, pan Singh znów skierował uwagę na Mabbuta.

– Byłem wykładowcą na miejscowej uczelni. Badałem warunki życia w naszej prowincji, w szczególności wpływ rozwijającego się przemysłu na *adivasich* – ludy tubylcze, plemiona zamieszkujące te tereny od dwóch lub trzech tysięcy lat. To bardzo stary lud praaustraloidów. Teraz Astramex może zniszczyć ich kulturę. Moje badania zwróciły uwagę pana Melville'a i zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Podobnie jak pan, uważam go za wielkiego człowieka. Jednego z nielicznych, którzy mają dar odmieniania życia wielu ludzi. Ale z tego powodu ma wrogów…

Zamilkł na chwilę. Mabbut znów odniósł wrażenie, że pan Singh waha się przed podjęciem jakiejś decyzji.

– Panie Keith. Nie znam pana, ale czuję, że jest pan dobrym człowiekiem. Czytałem w sieci kilka pana artykułów.

– Naprawdę?

Zdumienie Mabbuta wyraźnie go rozbawiło.

– O tak, wszystko można znaleźć, jeśli się wie, gdzie szukać. Nawet w Indiach. – Uśmiechnął się. – Byłem pod wrażeniem. Pisał pan z pasją, panie Keith.

Mabbut upił łyk herbaty, która zdążyła już wystygnąć.

– Od dawna nie opublikował pan niczego nowego. Co się stało?

– Ja też narobiłem sobie wrogów. A miałem na utrzymaniu żonę i dzieci. – Mabbut zaśmiał się cierpko. – Bunt się nie opłaca.

Pan Singh pokiwał poważnie głową. Podniósł swoją szklankę, a potem powiedział do Mabbuta z cichą determinacją:

– W lipcu zeszłego roku poproszono mnie o opuszczenie uczelni. Konflikt interesów. Albo popieram *adivasich*, albo budowę nowej siedziby wydziału nauk ścisłych. Będzie się nazywała Hala Astra. Wybrałem *adivasich* i zostałem *persona non grata*. – Uśmiechnął się, ale Mabbutowi zdawało się, że dostrzegł w jego oczach iskrę gniewu. – Teraz to jest moja uczelnia.

Mabbut odwzajemnił uśmiech, a potem spojrzał na zegarek.

– Kiedy przyjeżdża pana przewodnik? – zapytał pan Singh.

– Obawiam się, że za chwilę. Pokaże mi kolejne świątynie.

Pan Singh westchnął.

– Są naprawdę piękne. Najpiękniejsze w Indiach.

Zniżył głos.

– Ale zostaną tu na zawsze. Czego nie można powiedzieć o plemionach zamieszkujących wzgórza, jeżeli Astramex postawi na swoim. Jeśli pan chce, przekażę panu adresy i nazwiska kilku osób, które chętnie opowiedzą o tym, co je spotkało. Myślę, że zainteresowałaby pana ta historia. Ktoś powinien ją opowiedzieć.

– Dziękuję. Na pewno ma pan rację. – Mabbut zamilkł na chwilę. – Ale nie przyjechałem tu jako dziennikarz. Jestem zwykłym turystą, który chciałby poznać pana Melville'a, jeśli to możliwe.

Pan Singh skinął głową z cieniem uśmiechu.

– Jedno drugiego nie wyklucza.

Wstał i zebrał szklanki ze stołu.

– Dobry z pana człowiek, panie Keith, ale kiepski kłamca. Jeśli pan pozwoli, przygotuję dla pana alternatywny plan zwiedzania. Będzie pan miał szansę zobaczyć coś innego.

Mabbut otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Parval Singh miał dar przekonywania. Udało mu się zaintrygować Keitha. Mabbut podejrzewał, że skromna powierzchowność właściciela pensjonatu kryje ogromny intelekt i niezachwiane przekonania, cechy godne prawdziwego radykała. Trudno było zrozumieć, co robi w takim miejscu, ale postanowił uwierzyć mu na słowo.

Kiedy Farud przyjechał do hotelu, Mabbut pakował się w swoim pokoju. Nirwan zajął się czyszczeniem zakurzonej toyoty, a pan Singh wziął przewodnika na bok i przedstawił mu opracowany przez siebie plan podróży. Farud przytakiwał ponuro, słuchając ze ściągniętą twarzą. Gdy Mabbut pojawił się na schodach, spojrzał na niego oskarżycielsko.

– Ja bym nie wybrał takiej trasy, panie Keith – oświadczył. – Co to, to nie.

CZTERY

Znajdowali się o kilka godzin jazdy od Bhubaneswaru. Farud, tak rozmowny poprzedniego dnia, teraz praktycznie nie odzywał się do Mabbuta. Widać było wyraźnie, że zdaniem przewodnika nowy charakter wyprawy uwłacza jego godności. Specjalizował się w świątyniach. Był wysoko wykwalifikowanym archiwistą i historykiem architektury, który za stosunkowo niewielką kwotę dzielił się swoją rozległą wiedzą z klientami o zbliżonym poczuciu piękna. Nie lubił rozbijać się po pustkowiach w poszukiwaniu przygód ani dźwigać ciężkich plecaków po stromych wzgórzach. Był uczonym. Zaledwie tego samego dnia rano po wielu wysiłkach udało mu się załatwić wstęp do najbardziej erotycznych zakątków słynnej Świątyni Słońca w Konaraku, uznawanej przez wielu za najpiękniejszy przykład architektury hinduskiej w całym kraju. W górach nic nie mogło się temu równać. Farud zachował się jednak profesjonalnie. Zgodził się zamienić wspaniałe świątynie na banalne widoczki, ponieważ był pracownikiem oddanym firmie, a w niej panowała zasada, że klient ma zawsze rację. To – i niewielka premia za dodatkowy kłopot – wystarczyło, żeby go przekonać.

Opuścili Bhubaneswar późnym rankiem. Pan Singh wręczył im po egzemplarzu nowego planu zwiedzania, w zamian biorąc numer komórkowy do Mabbuta, żeby mogli pozostać w kontakcie. Zrobili potrzebne zapasy, zatankowali samochód i ruszyli mniej zatłoczonymi bocznymi drogami.

Przez większość dnia jechali po płaskiej, żyznej równinie.

Pola ryżowe, w oczekiwaniu na drugie żniwa tego roku, aż po horyzont mieniły się rozmaitymi odcieniami zieleni. Mijali wiele

uroczych wiosek z długimi domami, często krytymi strzechą. W sklepach tłoczyli się klienci, a na poboczu rzemieślnicy wyplatali kosze albo naprawiali narzędzia rolnicze. Kobiety i dzieci gromadziły się głównie przy ogromnych, wykopanych w centralnych punktach wiosek stawach, które służyły za łaźnie publiczne, pralnie i zapewne także kanały ściekowe. Wydawało się, że nowoczesna technologia jeszcze tam nie dotarła, chociaż Mabbut dostrzegał gdzieniegdzie anteny satelitarne. Ryż na polach nadal ścinano i siano ręcznie, a materiały budowlane, takie jak bambus i lateryt, ceglastoczerwony kamień przypominający toffi, przewożono na drewnianych furmankach zaprzężonych w woły. To inne oblicze Indii bardzo przemawiało do Mabbuta: przetrwał tu wiejski sposób życia, prosty, ekologiczny i – z tego co widział – skuteczny. To życie ciekawiło go bardziej niż jakakolwiek świątynia. Nawet nadąsane milczenie Faruda nie przeszkodziło mu poddać się inspirującemu, rzadko dotąd doznawanemu uczuciu zachwytu.

Zjedli lunch w dhabie, przydrożnym zajeździe nad leniwie płynącą rzeką. Na płyciźnie kobiety prały ubrania, nieustannie poprawiając sari, które zsuwały im się z ramion, natomiast w dole rzeki, obok sporej bryły betonu służącej za most, młodzi mężczyźni czyścili swoje motory. Dwóch czy trzech innych gości zajazdu jadło w ciszy i skupieniu, od czasu do czasu podchodząc do właściciela, żeby zamienić z nim kilka słów. W rogu na ścianie oklejonej wizerunkami bogów wisiał telewizor z wyłączonym dźwiękiem. Na ekranie trwała transmisja meczu krykieta. Mabbut zjadł swoje thali ze smakiem, do czysta wycierając blaszaną tacę ostatnim kawałkiem chapati.

Później skręcili z głównej drogi na krętą szosę, zostawiając za sobą nabrzeżną równinę. Wjechali w niskie wzgórza porośnięte drzewami i bujnymi zaroślami. Im bardziej oddalali się od morza, tym częściej miękkie skały osadowe ustępowały miejsca gładkim, niekiedy monumentalnym granitowym głazom. Nawierzchnia była tu gorsza, coraz rzadziej mijali wioski, a na mniejszych polach widzieli mniej

ludzi. Słońce przybrało postać ogromnej czerwonej kuli, a potem zniknęło za wzgórzami. Na zewnątrz szybko zapadł zmrok, a w samochodzie – milczenie. Nawet Nirwan, który miał zwyczaj wciągać Faruda w długie spory, najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że był to czas na ciszę. Daleko przed nimi na wzgórzach coś przyciągnęło wzrok Mabbuta. Opuścił szybę po swojej stronie i poczuł, jak owiewa go ciepłe powietrze. W lesie migotał rząd świateł, ciągnących się jak ogromny naszyjnik od grani w dół, w kierunku doliny, a potem znów w górę, na grzbiet wzgórza.

– Co to za światła, Farud?

Farud odezwał się do Nirwana w hindi.

– To ogniska, sir. Rozpalane przez miejscową ludność.

Nirwan coś dodał.

– Wytwarzają popiół, sir. Na nawóz. To bardzo prości ludzie.

Nadal jechali pod górę, kiedy Nirwan nieoczekiwanie obrócił kierownicę i skręcił na jakiś podjazd. Farud rozmawiał z kimś przez telefon komórkowy w hindi. Zatrzymali się przed budynkiem przypominającym alpejską chatkę. Dwóch mężczyzn w białych kurtach podeszło do samochodu i zajrzało do środka. Farud podał Mabbutowi jedynie niezbędne informacje.

– To pensjonat rządowy numer czterdzieści dwa.

Mabbut wysiadł z samochodu. Od drzew bił ostry zapach wilgoci. Było też znacznie zimniej niż wcześniej.

– Kto się tu zwykle zatrzymuje? Chyba niełatwo trafić w to miejsce.

– Turyści.

– Turyści?

– Ci, którym nie wystarczają zabytki architektury. I wolą zobaczyć ludzi, którzy nie zmienili się od dwóch tysięcy lat.

Farud mówił opryskliwie, niemal lekceważąco, jakby nie miał ochoty wdawać się w rozmowę na ten temat. Wydał obsłudze serię poleceń, a potem gestem zaprosił Mabbuta na schody prowadzące

na werandę obwieszoną pustymi klatkami dla ptaków. W kącie stała koza, która cicho przeżuwała róg plecionki z włókna kokosowego.

Farud zniknął w pokoju za recepcją. Mabbut słyszał podniesione głosy. Po jakimś czasie przewodnik wrócił, ocierając skroń chusteczką.

– Mamy problem z pokojami. Nie spodziewali się dziś gości, a generator jest za mały. Na tym polega kłopot z takimi miejscami. Trzeba ich zawiadamiać o przyjeździe z wyprzedzeniem – tu rzucił Mabbutowi ostre spojrzenie – a my nie mieliśmy możliwości tego zrobić. Pan dostał jeden pokój – powiedział oskarżycielskim tonem – drugi muszę dzielić z Nirwanem.

Mabbut usiłował rozpakować torbę w przyćmionym świetle starej stojącej lampy, kiedy ta nagle zgasła. Usłyszał głos Faruda i kolejną nerwową wymianę zdań. Szedł właśnie po omacku do drzwi, gdy otworzyły się z rozmachem, uderzając go mocno w bok głowy. Człowiek, który wpadł do pokoju z lampą sztormową, krzyknął ze strachu.

– Och, sir, tak mi przykro! – zawołał. – Mam dla pana lampę – dodał niepotrzebnie.

Zza niego wyłonił się Farud, wyraźnie roztrzęsiony.

– Przez kilka minut nie będzie światła elektrycznego. Przenieśli generator do kuchni, żeby przygotować nam jedzenie. Sir Keith, proszę wybaczyć, ale tak się właśnie kończy zmienianie planów. Ja bym pana tu nie przyprowadził. Zranił się pan w głowę?

Mabbut uspokoił go i wkrótce siedzieli już w olbrzymim pomieszczeniu nieco wyżej na wzgórzu, jedząc prosty posiłek złożony z ryżu i warzywnego curry. Innych gości nie było, a wielka świetlówka na środku sufitu nie nadawała jadalni kameralnego nastroju. Gdy przyniesiono im dwa piwa, Farudowi rozwiązał się język.

– Wedle mojej oceny, sir Keith, za panowania Aśoki sztuka i architektura osiągnęły szczyt wyrafinowania, a przecież wiadomo, że w tamtych czasach ofiary z ludzi były powszechne. Setki, jeśli nie tysiące ludzi zabijano na życzenie monarchy, ale obowiązywał wówczas buddyzm. Nie dochodziło do tego pod rządami władców hinduskich, którzy nadeszli później, ponieważ oni nie prześladowali buddystów, tylko wchłonęli tę religię, łącząc ją z własną. Dlatego w hinduskich świątyniach można znaleźć tyle wizerunków słoni i dlatego motywy wykorzystywane w obu religiach są tak podobne. Na zbadanie tych zjawisk potrzeba całego życia, półtora dnia nie wystarczy, jeśli wolno mi zauważyć.

Świetlówka nad ich głowami lekko zadrżała i zgasła.

– No tak. Koniec kolacji – oświadczył Farud rzeczowym tonem, nawet nie rozglądając się wokół. – To bardzo typowe dla tego rodzaju miejsc.

Na zewnątrz zaczęła się krzątanina, a po chwili w jadalni pojawili się dwaj mężczyźni, którzy robili w zajeździe wszystko, łącznie z gotowaniem. Przynieśli lampy.

Starszy z nich, człowiek o delikatnych rysach i nawyku wciągania ostro powietrza przez szparę między zębami, uśmiechnął się szeroko do Mabbuta.

– Pana pokój jest już gotowy, sir. Bardzo wygodny. Z dobrym światłem.

Pokazał Mabbutowi, żeby poszedł za nim. Farud został w tyle.

– Do zobaczenia o wpół do dziewiątej, sir Keith – powiedział. – Postaram się znaleźć coś ciekawego w okolicy – dodał bez entuzjazmu.

Mabbut wziął zimny prysznic, potem otworzył okno. Na zewnątrz unosił się przyjemny zapach jaśminów, ale powietrze stało w miejscu. Wyjął notatnik i pokrótce opisał miniony dzień. Umył zęby i przez chwilę zastanawiał się, czy powinien położyć się na

prześcieradle, czy pod nim. Wreszcie wyciągnął się na niskim łóżku i zapadł w głęboki sen.

Znów śniło mu się, że jest w środku dżungli, ale tym razem z Farudem, Krystyną i Rexem Naismithem w tradycyjnym szkockim stroju. Usiłowali przedrzeć się przez gęstą ścianę roślinności. Ziemia trzęsła się gwałtownie, posyłając w dół kamienie i fragmenty skał. Nieudolnie wdrapywali się na omszałe pnie, ale huk lawiny stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu znalazła się dokładnie nad nimi i wokół nich, a las rozstąpił się nagle, ukazując gigantyczny głaz pędzący w ich kierunku. Mabbut otworzył oczy. Leżał z walącym sercem, zesztywniały ze strachu. Najdziwniejsze było to, że chociaż obrazy ze snu zniknęły, wciąż słyszał ten sam hałas. To się działo naprawdę. Ściany wibrowały. Wsłuchał się w dudnienie, które powoli cichło.

Gdy zeszli ze ścieżki, kierując się ku białej kapliczce, natknęli się na ohydny posąg.

– To Kali – powiedział Farud, wskazując figurę. – Czarna bogini matka.

Postać miała usta wykrzywione w złośliwym grymasie. Na jej szyi wisiał naszyjnik z ludzkich czaszek, a w lewej dłoni dzierżyła zakrwawioną, odartą ze skóry kończynę.

– Jest dobra.

– Dobra?

– To małżonka Śiwy, stwórczyni i niszczycielka. Niszczy zło.

– Wygląda przerażająco.

Farud zaśmiał się sucho.

– To co? Zło jest przerażające. Moc niszczenia to nieodłączna część mocy tworzenia. Śiwa i Kali reprezentują potęgę wszechświata. Śiwa jest siłą dobra, a Kali – mścicielką. Proszę spojrzeć.

Farud poprowadził Mabbuta przez niską bramę do niewielkiej świątyni. W ścianach osadzone były wystające z ziemi słupy, niedbale pomalowane na różowo.

– To lingam. Lingam jest symbolem Śiwy. A proszę spojrzeć tutaj.

W niszach na drugiej ścianie przedstawiono scenki, na których lingam z dużym wigorem penetrował yoni pod wieloma różnymi kątami. Farud, którego Mabbut podejrzewałby raczej o pruderię, najwyraźniej czuł się dobrze wśród tej obfitości kopulacji. Mabbuta uderzyła ironia całej sytuacji. W Anglii tak jawnie seksualne treści nie mogłyby się znaleźć nawet na najwyższych półkach kiosków, nie mówiąc już o ścianach budynków kultu, tymczasem w znacznie mniej wyzwolonych seksualnie Indiach erotykę można było nawet czcić, pod warunkiem, że robi się to w świątyni.

– Przekona się pan, że to jedna z nielicznych świątyń tego rodzaju w okolicy. Ludzie zamieszkujący te wzgórza są bardzo prymitywni. To animiści, rozumie pan, dlatego trudno tu znaleźć coś wartego obejrzenia.

Mabbut krążył po wnętrzu, podziwiając ścienne obrazy. Radośnie spółkujące pary obudziły w nim różne wspomnienia. Bolesne związane z Krystyną, szczęśliwe związane z Tess, skomplikowane związane z Mae. Dojrzałość płciową osiągnął pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy społeczeństwo wahało się jeszcze między wyzwoleniem seksualnym a poczuciem winy. Początkowo Mabbut wybrał poczucie winy. Nieważne, ile razy słyszał, że seks to tylko zabawa, dla niego wiązał się nieodłącznie z uczuciami. Nie potrafił oddzielić go od związku. Szczerze mówiąc, z perspektywy czasu wydawało mu się to przesadą. A usiłując w jakiś sposób opanować pożądanie, tylko pogarszał sprawę. Gmeranie po omacku, niewczesne szarże, obłapianie na oślep i desperackie rejterady. To nie miało nic wspólnego z zajęciem radosnych postaci na ścianach świątyni.

Przyjemny, spokojny, dojrzały seks pojawił się wraz z Krystyną, katoliczką przez duże K. Monogamia nie była dla niej kwestią wyboru, lecz obowiązkiem. Miało to kojący wpływ na Mabbuta, który ze względów politycznych bronił wprawdzie swobody seksualnej, ale

odkrył, że osobiście preferuje wierność. Dopasowani seksualnie i zawodowo stanowili parę idealną. Kochali się nawet nieco częściej niż statystyczne małżeństwo z większości sondaży prasowych. Cóż się w takim razie zmieniło? Czy na ich życie seksualne wpłynęły jego problemy zawodowe? A może to rutyna ich pożycia w jakiś sposób odebrała mu zadowolenie z pracy?

Kiedy bez wyraźnego powodu temperatura w ich sypialni spadła poniżej średniej krajowej, Mabbut wytłumaczył sobie, że to normalne. Małżeństwa się starzeją, a fizyczna strona związku przestaje mieć tak wielkie znaczenie. Gdy zdecydowali się z Krystyną na separację, temat seksu, a właściwie jego braku, nawet się nie pojawił – nie był już dla nich istotny. Tymczasem teraz, tego gorącego dnia na wysokim wzgórzu we wschodnich Indiach, Mabbut nagle zdał sobie sprawę, że oboje kłamali. Ona odnalazła radość z seksu z Rexem (był tego prawie pewien), a on z Tess. Związki z nowymi partnerami do pewnego stopnia wyrównały między nimi rachunki. Jednak gdyby miał być szczery, musiałby przyznać, że Tess znaczyła dla niego dużo mniej niż Rex najwyraźniej znaczył dla jego żony. Prawdziwym odpowiednikiem Rexa byłaby enigmatyczna Mae, z którą nie chodziło tylko o namiętność albo chwilę zapomnienia – jedynie ją brał pod uwagę jako partnerkę na resztę życia. Wiadomość, że ktoś inny chce spędzić resztę życia z Krystyną, bardzo go dotknęła. Wcześniej zawsze miał wrażenie, że zdąży zawrócić znad przepaści i w jakiś sposób ją odzyskać. Ale czy to nie była hipokryzja?

Spojrzał ostatni raz na frywolne wybryki przedstawione na ścianach kaplicy. Niewinne igraszki par na rysunkach, zamiast go pocieszyć, uświadomiły mu, jak wiele stracił.

Usłyszał za sobą głośne chrząknięcie. Odwrócił się szybko i zobaczył, że Farud przygląda mu się z mieszaniną rozbawienia i pogardy.

– Chciałby pan zostać tu dłużej, sir?

Mabbut również chrząknął w nadziei, że doda mu to powagi.

– Nie, nie. Chodźmy.

W samochodzie Mabbut wyjął swój egzemplarz listy sporządzonej w pośpiechu przez Singha. Rozprostował kartkę, usiłując odcyfrować wypisane nazwy.

– Wzgórza Masoka?

Farud skinął głową.

– Oczywiście, sir.

Wyruszyli. Upał się wzmagał, więc Mabbut z zadowoleniem przyjął dobrodziejstwo grzesznej klimatyzacji. Wrócili na szosę i jechali na północny zachód, wspinając się coraz wyżej.

Po długiej rozmowie telefonicznej Farud odwrócił się do Mabbuta.

– Znalazłem niedaleko Wzgórz Masoka małą wioskę. Możemy ją obejrzeć i zostać tam na noc.

Nie wydawał się podekscytowany tą perspektywą.

– To wieś plemienia Masira Kidonga. Nie ma tam żadnych wygód, ale zadbałem o odpowiedni nocleg dla pana. Nirwan postawi namiot.

Po południu musieli zwolnić, ponieważ nawierzchnia, po której jechali, stawała się coraz gorsza. W wielu miejscach po asfalcie zostało jedynie wspomnienie, wąski pas na środku drogi. Zapadał zmierzch. Farud nerwowo spoglądał na zegarek. Nagle wszystkich trzech szarpnęło mocno do przodu, gdy Nirwan ostro zahamował, wciskając klakson. Za zakrętem zobaczyli konwój dziesięciokołowych ciężarówek z przyczepami platformowymi, zaparkowanych na poboczu. Do każdej z nich umocowano stalowymi linami gigantyczne okrągłe turbiny bębnowe, długie na jakieś dwadzieścia metrów i wysokie na pięć. Kierowcy ciężarówek w dhoti i brudnych kurtach w paski kucali przed swoimi samochodami, przyglądając się z obojętnością lub rozbawieniem wysiłkom Nirwana, który musiał wjechać na wał po drugiej stronie drogi, żeby ominąć konwój.

– Jasna cholera, Farud, co to jest? – zapytał Mabbut.

– Maszyny – zawołał przewodnik, przekrzykując hałas silnika. – Wiozą je do rafinerii. W Kowprah.

Opony toyoty buksowały w błocie, więc Nirwan włączył blokadę dyferencjału, żeby samochód odzyskał przyczepność na śliskim podłożu. Gapie wypluli na ziemię przeżute liście betelu i zaczęli się śmiać.

Kiedy mijali ciężarówki, na każdym z gigantycznych bębnów Mabbut zauważył napis namalowany przy pomocy szablonu: „Astramex Corporation".

Farud podążył za jego spojrzeniem.

– Na Wzgórzach Masoka jest wiele złóż minerałów. Są bardzo ważne dla Indii.

– Dlaczego te ciężarówki tu stoją?

Farud skonsultował się z Nirwanem.

– Czekają, aż będą mogły przejechać. Konwoje są tak duże, że mogą przemieszczać się tylko nocą.

Nocą, pomyślał Mabbut. Przypomniał sobie koszmar, który obudził go w pensjonacie 42. Może to te ciężarówki odpowiadały za huk przypominający zejście lawiny.

Byli jeszcze w drodze, kiedy zapadł zmrok. Mabbut wyglądał przez okno, usiłując podziwiać krajobraz, ale widział tylko zarys drzew na tle ciemniejącego nieba. Nastał czas zwątpienia. O tej porze wszyscy podróżni powinni już byli bezpiecznie dotrzeć do celu. W mieście ciemność rozpraszały światła, ale tu panowała niepodzielnie.

– Jesteśmy już niedaleko, sir, proszę mi wierzyć – powiedział Farud, nie odwracając się.

Dwie godziny później Nirwan zjechał wreszcie z szosy na nierówną drogę gruntową. Nagle przed samochodem pojawili się ludzie, osłaniający oczy przed światłem. Dzieci w szortach i koszulkach z krótkim rękawem to wyłaniały się, to znikały w mroku. Do toyoty podszedł mężczyzna w średnim wieku. Podniósł dłoń, pokrzykując na

dzieci. Miał na sobie sarong i pas na naboje przewieszony przez ramię. Farud wyraźnie się zdenerwował. Nirwan opuścił szybę i zaczął rozmawiać z przybyszem. Wymienili kilka zdań, kręcąc bez przerwy głowami zgodnie z hinduskim obyczajem, a potem mężczyzna otworzył tylne drzwi, wsunął się na siedzenie obok Mabbuta i ostrym tonem zaczął wydawać Nirwanowi polecenia.

– Farud, czy to ta wieś?

Farud nie od razu odpowiedział. Właściwie nie odpowiadał przez dłuższy czas, a kiedy się wreszcie odezwał, w jego głosie słychać było niepokój.

– Wydaje mi się, że to nie ta wieś. To jakaś inna wieś.

*

Podążając za wskazówkami nowego pasażera, Nirwan wjechał do centrum jakiejś osady. Wokół nich w mroku majaczyły domy z gliny. Na powitanie wyszedł im zaciekawiony tłum, ale powstrzymała go grupka młodych mężczyzn i kobiet ubranych w stroje przypominające mundury polowe. Ich twarze wyrażały wzniosłe zaaferowanie i coś mówiło Mabbutowi, że byli tu tak samo niemile widziani jak on. Kilka osób miało broń. Starszy mężczyzna z pasem na naboje, który sprawiał wrażenie przywódcy tej grupy, wysiadł z samochodu i pokazał Mabbutowi, żeby poszedł za nim. Mabbut pochylił się do przodu, chcąc naradzić się z Farudem, ale jeszcze zanim ów człowiek zaczął na niego krzyczeć, Keith zobaczył w rozszerzonych źrenicach swojego przewodnika coś więcej niż niepokój. To było przerażenie.

Całą trójkę wypchnięto z samochodu i trzymając na muszce, poprowadzono w kierunku betonowych schodów jakiegoś domu. Za niskimi drewnianymi drzwiami kryło się ciasne, źle oświetlone pomieszczenie. Na ziemi leżała zwinięta pościel, a w kącie znajdowało się więcej broni, głównie kałasznikowy, ustawione starannie obok siebie. Pachniało dość przyjemnie drzewem

sandałowym. Mężczyzna z samochodu wydał kolejne rozkazy, po których Mabbuta, Faruda i Nirwana popchnięto na kolana. Farud zaczął jęczeć. Jedna z kobiet o czarnych oczach i ładnej owalnej twarzy wzięła kawałek materiału i zaczęła drzeć go na paski. Przez przymknięte drzwi Mabbut widział, jak trzech czy czterech mężczyzn przeszukuje toyotę. Zobaczył, że coś znaleźli i podnieśli do światła. Wtedy ktoś szarpnął głowę Mabbuta w tył i zasłonił mu oczy przepaską. Usłyszał, jak Farud mówi coś szybko błagalnym tonem, ale zaraz potem przewodnik syknął ostro i Farud umilkł. W tym samym momencie krzyknął on sam, bo wykręcono mu ręce za plecami i skrępowano nadgarstki. Porywacze przez chwilę toczyli ożywioną dyskusję, a potem rozległ się odgłos lekkich, oddalających się kroków.

Kiedy Mabbut usłyszał, że drzwi się zamykają, wyszeptał w ciemność:

– Farud?

Brak odpowiedzi.

Szepnął trochę głośniej:

– Farud?

Przewodnik odezwał się cichym, przestraszonym głosem.

– Mówiłem, że nie powinniśmy tu przyjeżdżać. To złe miejsce.

– Co się dzieje?

– Mamy kłopoty. Ci ludzie to Naksalici.

Mabbut czytał o Naksalitach. Byli ekstremistycznymi maoistami. Ruch wziął swoją nazwę od okręgu Naxalbari, na północ od Kalkuty, gdzie się narodził. Antykapitalistyczni, antyrządowi i bardziej lewicowi od skrajnej lewicy, budzili przerażenie we wszystkich, łącznie z tymi, którym starali się pomóc. Władze wydały właśnie butne oświadczenie, że nadszedł czas, by wreszcie uwolnić Indie od tych ludzi. Mabbut słyszał nawet, że wkrótce do akcji ma wkroczyć wojsko. Nic dziwnego, że byli rozjuszeni.

– Z czym mają problem?

– Z panem.

– Ze mną?

W tym momencie Mabbut poczuł przyjemny powiew świeżego powietrza od otwartych drzwi. Padły dalsze rozkazy i odsłonięto mu oczy. Młody mężczyzna w mundurze schylił się, żeby wejść do pokoju. Miał jaśniejszą skórę niż większość jego kompanów. Owalna, surowa twarz pozbawiona była cienia uśmiechu. Z górnej kieszeni jego żołnierskiej bluzy wystawał równy rządek długopisów, a w dłoni trzymał miskę parującego ryżu z mięsem. Cichym głosem wydał kilka poleceń. Dwaj mężczyźni, z których jeden wyraźnie cierpiał na astygmatyzm, zbliżyli się, mocnym szarpnięciem postawili Faruda i Nirwana na nogi, po czym wypchnęli ich z pokoju.

Młody mężczyzna zwinnie usiadł, przybierając pozycję lotosu. Jedzenie postawił przed sobą. Cokolwiek to było, Mabbutowi zapachniało jak najlepsza potrawa na świecie. Podwinąwszy rękawy munduru, mężczyzna sięgnął do miski i zanurzył w niej widelec. Jadł powoli i ze smakiem.

Kiedy wszedł do pomieszczenia, wydał się Mabbutowi niemal przyjacielem. Nie był brutalny ani zdeprymowany jak pozostali. Wyglądał na człowieka z klasą. Człowieka, z którym można porozmawiać. Dlatego fakt, że teraz nie tylko się nie odzywał, ale łamał podstawową zasadę gościnności, nakaz dzielenia się jedzeniem, niespodziewanie i dobitnie uświadomił Mabbutowi, w jak groźnej sytuacji się znalazł.

Opróżnienie miski zajęło mężczyźnie dobre dziesięć minut. Gdy skończył, zawołał cicho, lecz zdecydowanie, a chwilę później do pokoju przyniesiono dzbanek wody i jedną szklankę. Pił łapczywie, dużymi łykami, w dalszym ciągu ignorując Mabbuta.

W końcu odsunął pustą miskę na bok, sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął papierosa. Zapalił go i patrząc Mabbutowi w oczy, wypuścił wolno dym, po czym odezwał się niemal perfekcyjną angielszczyzną.

– Wy jedliście do syta przez wiele lat. Minie dużo czasu, zanim to nadrobimy.

– Nie wiem, co tu się dzieje, ale…

– Nie wie pan, co tu się dzieje? Wątpię.

– Nie rozumiem…

– Czyta pan gazety. Tacy jak pan zawsze czytają gazety. Ogląda pan telewizję, słucha swojego radia. Proszę nie mówić, że pan nie wie, co się tu dzieje.

– Przykro mi, ale…

– Trwa wojna. Wojna między tymi, którzy jedli do syta przez wiele lat, a całą resztą. Ściągacie tu swoje dźwigi i buldożery, żeby ograbić nas z naszej ziemi, naszej kultury i naszego sposobu życia. Dlatego przybyliśmy, żeby z wami walczyć. Jest pan moim wrogiem.

Wszystko to mężczyzna wypowiedział spokojnym, przyjemnie brzmiącym głosem, bez śladu agresji czy groźby. Następnie zaciągnął się głęboko i wypuścił dym z płuc. Kiedy znów się odezwał, jego ton był beznamiętny i rzeczowy.

– Ci dwaj Hindusi, z którymi pan przyjechał, zostaną zabrani do dżungli. Więcej ich pan nie zobaczy.

Mabbut, który jeszcze przed chwilą obficie się pocił, poczuł na plecach zimny dreszcz.

– Proszę ich wypuścić, oni nic nie zrobili.

– To prawda, nic nie zrobili. Mogli coś zrobić, ale nie zrobili nic. Woleli pomóc panu niż własnym rodakom. Jak to nazywacie w pana kraju? Zdradą?

Na zewnątrz rozległy się krzyki i jęki, a potem zapadła cisza.

– Oni tylko mnie tu przywieźli, nic więcej.

Mężczyzna wstał i podszedł bliżej do Mabbuta, spoglądając pogardliwie na niego z góry.

– Samochód został wynajęty przez jeden z najdroższych hoteli w Bhubaneswarze. Dobrze znamy tę firmę. Organizuje samochody dla Astramexu. Próbuje mi pan wmówić, że złapał okazję na drodze?

Mabbut z całego serca pożałował, że pozwolił Ronowi Lathamowi cokolwiek załatwiać. Chciał przyjechać do Indii po cichu, a na miejscu swobodnie się przemieszczać, ale Latham uparł się na samochód i hotel. „To nasze pieniądze, Keith, nie zapominaj o tym". Teraz przekonał się na własnej skórze, dokąd doprowadziły go te pieniądze. Prawdopodobnie na własną egzekucję. I to już po trzech dniach od przyjazdu.

– Nie pracuję dla żadnej firmy… – zaczął.

– Kłamstwo.

– Dlaczego miałbym kłamać?

– Ma pan mapy z zaznaczoną trasą do rafinerii. Ma pan aparat fotograficzny. – Mężczyzna sięgnął do bocznej kieszeni spodni i wyjął z niej gruby plik banknotów tysiącrupiowych. – Ma pan pieniądze.

Mabbut z rosnącym poczuciem bezsilności zorientował się, że musieli dokładnie przeszukać samochód, w tym także jego torbę.

– O tak, panie Keith Mabbut, wiem, dokąd się pan wybiera, a pańscy ludzie to potwierdzą, kiedy zabierzemy ich do dżungli.

– Chwileczkę, jestem tylko turystą. Nie mam powiązań z żadną firmą.

– Gdyby pan był turystą, nie przyjechałby pan tutaj. Turyści zwiedzają świątynie.

Mimo najszczerszych chęci Mabbut nie był w stanie mówić spokojnie.

– Chciałem pojechać w głąb kraju. Zobaczyć miejscową ludność. Nie lubię siedzieć tam, gdzie wszyscy. Nienawidzę tłumów.

W oczach mężczyzny dostrzegł błysk zrozumienia. Pierwszy raz podczas tej mrożącej krew w żyłach rozmowy wyczuł, że ma przewagę. To była jego jedyna szansa. Musiał kłamać – i to dobrze.

– Podróżuję na własną rękę. Oglądam tylko to, co chcę. Nikt mi nie mówi, co mam robić. Dla nikogo nie pracuję, proszę mi wierzyć.

Nigdy się nie dowiedział, czy zabrzmiał przekonująco, bo w tym samym momencie z jego spodni dobiegły cztery pierwsze takty V

symfonii Beethovena. Telefon komórkowy był jedyną rzeczą, której nie znaleźli. Dzwonek rozległ się ponownie. Mabbut otworzył usta i zamknął je bezgłośnie.

Porywacz wskazał na jego kieszeń.

– Niech pan odbierze.

Mabbut powoli wyjął telefon. Mężczyzna schylił się i wyrwał mu aparat. Nie spuszczając oczu z Mabbuta, przyłożył komórkę do ucha.

– Tak?

Ktoś przeszedł obok drzwi. Jakieś dziecko roześmiało się i zostało szybko uciszone.

– Tak, pan Mabbut tu jest. Z kim mam przyjemność?

Przez chwilę milczał, a potem wyraz jego twarzy uległ zdumiewającej przemianie. Wyprostował się raptownie. Groźbę w jego oczach zastąpił niepokój. Mężczyzna przesunął językiem po wargach i kiwnął głową.

– Tak. W porządku.

Z gniewnym spojrzeniem podał telefon Mabbutowi.

Keith starał się opanować drżenie głosu.

– Halo?

Nic nie mogłoby zaskoczyć go bardziej niż to, co usłyszał. Przeciągane niespiesznie słowa, zdradzające rozbawienie, przechodzące niemal w chichot. I ślad szkockiego akcentu.

– Widzę, że znalazł pan prawdziwych ludzi?

Żaden telefon nie ucieszył Mabbuta tak bardzo jak ten. Mimo że rozmówca wyraźnie z niego kpił.

– Owszem, znalazłem. W rzeczy samej.

– Mam nadzieję, że dobrze pana traktują.

– Myślą, że pracuję dla firmy wydobywczej.

– Większość z was tam pracuje.

Mabbuta ogarnęła nowa fala paniki.

– Nie mam z nimi nic wspólnego!

– No cóż, udało się panu zmylić moich ludzi w pensjonacie, więc uwierzę panu na słowo. Oczywiście, dopóki nie sprawdzę tego osobiście. Proszę oddać słuchawkę Romerze.

Rozmówca Mabbuta wyczuł jego konsternację.

– Romerze – powtórzył Melville. – Człowiekowi, który chce pana zabić.

PIĘĆ

Obudził się o drugiej po południu. W namiocie było nie do zniesienia wręcz gorąco, ale czuł się tu bezpiecznie jak w łonie matki. Dwa razy sprawdzał godzinę na budziku podróżnym, potem przez jakiś czas leżał na plecach, wpatrując się w wierzchołek namiotu. Uderzył go sam fakt, że namiot ma wierzchołek, przez co przypominał raczej tipi. I żadnego poliestru czy aluminiowych profili – to był prawdziwy płócienny namiot, przywołujący na myśl wspomnienia kempingów i owocowych gum do żucia z czasów dzieciństwa.

Kiedy po przejściach minionego dnia w końcu położył się spać, świtało. Ludzie Melville'a odebrali go z wioski. Nirwan i Farud, wcześniej wywiezieni do dżungli, już odjechali. Byli tak przerażeni, że natychmiast po uwolnieniu ruszyli na złamanie karku do swoich domów, do żon i dzieci. Mabbut nie miał wyjścia, musiał pojechać tam, dokąd go zabierano. Dwaj prostoduszni chłopcy o bardzo ciemnej skórze, których przysłał po niego Melville, często się uśmiechali, ale nie znali ani słowa po angielsku, więc Mabbut nie mógł się od nich dowiedzieć, ani gdzie teraz są, ani dokąd go wiozą. Wjechali z impetem do wioski jakąś godzinę po telefonie Melville'a, wzbijając chmurę kurzu zdezelowanym SUV-em. Wyglądali, jakby świetnie się przy tym bawili, a młodsi mieszkańcy osady przywitali ich z zazdrosnym podziwem. Starsi mężczyźni i kobiety trzymali się na uboczu, najwyraźniej wciąż onieśmieleni obecnością buntowników we wsi.

Mabbut odchylił połę namiotu i rozejrzał się po okolicy. Znajdował się na okrągłym obozowisku przy niewielkim skupisku domów z plecionki pokrytej gliną. Na rozległej rdzawobrązowej łące rosły

z dala od siebie majestatycznie wyglądające drzewa. Wszystko to razem przypominało ruiny wspaniałej posiadłości. Mabbut nie widział wokół żywej duszy, ale później dostrzegł kątem oka jakiś ruch i usłyszał czyjś głos. Rozejrzał się jeszcze raz i zobaczył wpatrzone w niego małe dziecko, wychylające się zza rogu domu. Pomachał mu. Dziecko się schowało.

Mabbut poczuł, że musi się załatwić. Obok namiotu rosło grube drzewo, więc stanął za nim, upewniając się, że będzie niewidoczny z wioski. Obfity strumień lał się z sykiem na suchą trawę, a Keith poddał się wszechogarniającemu poczuciu ulgi. Nagle usłyszał jakiś szelest. Ostrożnie wyjrzał zza pnia i zobaczył trzech chłopców ustawionych w szeregu. Przyglądali mu się z ciekawością.

Najwyższy z nich najwyraźniej pełnił rolę rzecznika grupy.

– Toaleta – wyjaśnił, prowadząc Mabbuta do jednego z najdalszych namiotów. Uroczyście odchylił połę materiału, ukazując wygódkę, wieszak na ręczniki i płócienną miednicę.

– *Shukriya*! Dziękuję – powiedział Mabbut w nadziei, że na widok jego szerokiego, autoironicznego uśmiechu chłopcy sami zaczną się z niego śmiać. Tymczasem w ich poważnych, nierozumnych spojrzeniach pojawił się tylko błysk litości. Pod wpływem impulsu Mabbut wrócił do swojego namiotu, przetrząsnął walizkę i wydobył z niej ćwierćfuntową torebkę miętówek. Wyjął trzy cukierki i wyszedł na zewnątrz, gdzie zobaczył, że do chłopców dołączyła trójka innych dzieci. Cofnął się do środka po więcej słodyczy, ale chwilę później przed namiotem czekało na niego kolejnych sześć maluchów. Tym razem zabrał ze sobą całą torebkę. Wystarczyło dla wszystkich. Mniejsi chłopcy ściskali maleńkie białe pastylki, dopóki ich przywódca nie wsunął swojej do ust. Wkrótce ponad tuzin małych szczęk pracowało nad miętówkami. W oddali Mabbut dojrzał rząd zawoalowanych głów, wyglądających ciekawie zza ogrodzenia na skraju wioski. Rozległy się krzyki, dzieci odwróciły się i pobiegły do domu.

Mabbut z zadowoleniem ssał ostatni cukierek z torebki, uświadamiając sobie, że dokucza mu nie tylko głód, lecz także upał. Skrył się w namiocie i sięgnął po notatnik i długopis. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były tak niezwykłe, że nie wiedział, od czego zacząć. Właściwie to nie mógł zacząć. W życiu opisywał już różne rzeczy, ale teraz słowa wydały mu się zbędne. Za dużo się wydarzyło. Usiadł po turecku na swoim niskim łóżku i – początkowo z lekkim niepokojem – wsłuchał się w otaczającą go ciszę.

Po jakimś czasie, który wydawał mu się wiecznością, usłyszał szepty. Do namiotu wślizgnęła się mała rączka i ostrożnie odchyliła połę. Był to ten sam chłopiec, który odezwał się do niego wcześniej.

– Jedzenie – powiedział, zachęcając Mabbuta gestem do wyjścia.

Chłopiec nie przyszedł sam. Grupka znacznie śmielszych niż poprzednio dzieci na widok Mabbuta zaczęła wykrzywiać buzie i podnosić palce do ust. Przywódca odepchnął je na bok, a potem wziął Mabbuta za rękę i poprowadził go w kierunku wioski.

Mabbut nie wiedział dokładnie, czym go poczęstowano. Dostał do jedzenia jakąś papkę kukurydzianą, lepką i sycącą, choć niespecjalnie smaczną. Podano ją z ryżem i papryczkami chili w naczyniu z ogromnego liścia, złożonego na pół i przekłutego po obu końcach zaostrzonymi patyczkami. Jadł w chłodnym półmroku jednego z domów. Pokój miał niemal identyczny kształt i rozmiar jak pomieszczenie, w którym przesłuchiwano Mabbuta poprzedniego wieczoru. Obok niego siedziały dwie młode kobiety i starszy mężczyzna. Kilkoro starszych dzieci stało przy wejściu, przyglądając mu się z uwagą; ich sylwetki odcinały się na tle słońca. Świetnie się bawiły, obserwując trudności Mabbuta zarówno z przyjęciem pozycji lotosu, jak i z nieznaną mu techniką jedzenia palcami. Starszy mężczyzna najwyraźniej nie mógł patrzeć na jego nieporadne wysiłki, bo nisko pochylony zniknął w głębi domu. Kobiety o twarzach i dłoniach przyozdobionych misternymi malunkami

patrzyły na Mabbuta beznamiętnie. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zauważył, że drzwi były obramowane po obu stronach dekoracyjnymi wzorami, wyglądającymi na rysunki lawowane. Starszy mężczyzna wrócił z przepołowioną skorupą kokosa pełną mlecznego soku o gryzącym zapachu. Mabbut wziął od niego naczynie, ukłonił się i upił spory łyk. Cokolwiek to było, nie miało nic wspólnego z mlekiem. Po kolejnym, ostrożniejszym łyku oddał skorupę. Mężczyzna z szerokim uśmiechem nalegał, żeby wypił więcej. Z tego, co wydarzyło się później, niewiele pamiętał.

– Wszystko w porządku, panie Mabbut?

Keith podniósł się z mimowolnym jękiem. Leżał wyciągnięty na swoim łóżku. Na zewnątrz było już ciemno.

Między połami namiotu pojawiła się głowa Hamisha Melville'a. Błyszczały mu oczy, a twarz wykrzywiał uśmiech. Wyciągnął butelkę z wodą.

– Może to panu pomoże.

Patrzył, jak Mabbut łapczywie pije.

– Jak kwatera?

– Wygodna, bardzo dziękuję.

– Namioty należały do rozwiązanego już zastępu skautów z Peszawaru. Dyrektor szkoły uznał, że to zbyt staroświeckie.

Mabbut dokończył wodę.

– W każdym razie, proszę do nas dołączyć, kiedy będzie pan gotowy.

Mabbut czuł się półprzytomny. Woda go orzeźwiła, ale nadal miał w ustach nieprzyjemny posmak i zdał sobie sprawę, że od przynajmniej dwudziestu czterech godzin nie mył zębów. Znalazł kosmetyczkę, a w niej szczoteczkę, i umył je najlepiej, jak to było możliwe. Kiedy wyszedł na zewnątrz, zobaczył, że obozowisko uległo przeobrażeniu. Zapalono lampy, a pod drzewem, za którym sobie ulżył, klekotał generator. Pojawił się też stół na kozłach. Przy jednym

jego końcu paliło się ognisko, a nad nim wisiał okopcony garnek, w którym bez przerwy mieszano. Melville siedział przy stole, wpatrzony w ekran laptopa. Miejsca wokół niego zajmowali trzej młodzi Hindusi, schludnie ubrani w obcisłe bawełniane koszule albo T-shirty. Jeden z nich rozmawiał przez telefon komórkowy, dwaj pozostali studiowali mapę. Słysząc chrząknięcie Mabbuta, podnieśli wzrok. Melville odwrócił się i przywołał go do siebie szerokim, powitalnym gestem.

– Panowie, przedstawiam Keitha Prynne'a Mabbuta, obywatela Wielkiej Brytanii urodzonego 29 marca 1953 roku. W roku koronacji – zauważył z udawaną powagą. – Numer paszportu to 276394702. Zawód? No cóż, jestem pewny, że tego dowiemy się we właściwym momencie.

Wskazał jedyne wolne krzesło przy stole.

– Panie Mabbut, witamy na Uniwersytecie Życia. To jest Kumar, to Mahesh, obok niego siedzi Kinesh, a ja nazywam się monsieur Steiner. Przyjechałem z Antwerpii.

Przy stole rozległ się śmiech.

– Proszę usiąść, zapraszamy na piwo. Niestety, nie będzie belgijskie.

Mabbut wiedział, że to prowokacja, ale uznał ją za obcesowy, lecz niezbędny element procesu oswajania się z nowym przybyszem. Chcieli go wybadać.

Po wszystkich gierkach z ostatnich kilku dni poczuł niemal ulgę, ale wiedział, że teraz bardziej niż kiedykolwiek musi zachować trzeźwy umysł.

Jeden z mężczyzn nalał mu piwa i postawił przed nim szklankę.

Melville stuknął ostatni raz w klawiaturę, zamknął laptopa i spojrzał tęsknie na piwo Mabbuta.

– Kumar, ja też poproszę szklaneczkę, jeśli można. W końcu mamy gościa.

Stół zastawiono miseczkami ze stali nierdzewnej. Bakłażan smażony w głębokim tłuszczu, szpinak, pikantna okra, fasola, soczewica, pikle, jogurt i sok z owoców tamaryndowca – „dobry na kaca", jak zapewnił go Melville. Ryż został już nałożony na talerze. Mabbutowi dyskretnie wręczono łyżkę, ale pozostali, łącznie z Melvillem, palcami formowali z ryżu kulki, które następnie maczali w różnych miseczkach i wrzucali do ust zgrabnym ruchem kciuka. Smukłe, eleganckie dłonie Melville'a świetnie nadawały się do tego maczania i toczenia, a ich właściciel wydawał się obeznany z tą techniką równie dobrze jak jego hinduscy towarzysze.

Mabbut doszedł do wniosku, że najwyższy czas podziękować Melville'owi za ratunek.

Postawny mężczyzna wzruszył ramionami.

– W tych stronach wielu nie lubi białych, to wszystko. Bo i za co mieliby ich lubić? Widzą, jak przyjeżdżają swoimi wielkimi samochodami, z których wysiadają z teczkami z logo Banku Światowego. Wiadomo, że nie chodzi im o spacer po lesie. Jadą do rafinerii. Rafinerii wzniesionej na obszarze dwudziestu trzech miejscowych wsi i otoczonej dziesięciomilowym drutem kolczastym. Rafinerii, od której ludzi szczypią oczy i swędzi skóra. Rafinerii, od której ich woda traci smak.

Wskazał ręką w kierunku wioski.

– Nie licząc sporadycznych ofiar rytualnych, Kidonga to w zasadzie przyjazne plemię, Keith. Dbają o siebie nawzajem, dbają też o miejsce, w którym mieszkają. Pragną jednego – żeby zostawić ich w spokoju. Tyle że na tym terenie znajduje się najwięcej złóż minerałów w Indiach, więc mają z tym trochę problemów. Ale widzą, że jestem po ich stronie. Ufają mi. Dlatego podali ci podwieczorek.

Wybuchnął chrapliwym śmiechem.

– I poczęstowali koktajlem, z tego co słyszałem.

Po tych słowach jego hinduscy towarzysze zaczęli się śmiać.

– Sok z palmy sagowej pierwszego dnia pobytu. To prawdziwy zaszczyt, Keith.

Szerokie bary Melville'a zatrzęsły się od śmiechu, a Mabbut w końcu uległ ogólnej wesołości.

– Są też tacy, którzy udają, że są po ich stronie – ciągnął Melville – chociaż w rzeczywistości wykorzystują ich do własnych celów. Prawda, Kumar?

Najbardziej krępy z trójki Hindusów przekrzywił głowę na znak zgody, wydymając przy tym policzki.

– Chodzi o maoistów? – zapytał Mabbut.

Melville przeżuł i połknął ryżową kulkę. Potem wstał, wziął szklankę i podszedł do plastikowego wiadra, z którego zaczerpnął wodę. Ochlapał ręce, a potem kiwnął głową do Mabbuta.

– Naksalici, maoiści, naksalowie. Większość z nich jest wykształcona, zdecydowana obalić rząd, państwo i w zasadzie wszystko inne, co się im nie podoba. Przyłączają się do miejscowych plemion, zawłaszczają ich cierpienie i zamieniają je w gniew. A później zamieniają gniew we władzę. I naprawdę zabijają ludzi. Przeważnie policjantów, ale bywają nieprzewidywalni. Trafiłeś akurat do wioski, którą niedawno przejęli.

– Więc Farud miał rację.

– Farud?

– Mój przewodnik.

– Też mi przewodnik.

– Nie chciał tu przyjeżdżać.

– Nie musiał.

Te słowa zawisły w powietrzu. Mabbut poczuł, że atmosfera przy stole zmieniła się niepostrzeżenie. Zerknął na Melville'a kątem oka. Pokryta bruzdami twarz zwrócona była w jego stronę, a błękitne oczy wpatrywały się w niego badawczo, tak jak podczas ich pierwszego spotkania na ulicy w Bhubaneswarze.

– Większości „samotnych wędrowców” nie stać na wynajęcie toyoty, panie Mabbut.

Przez kilka chwil ciszę zakłócał jedynie szum generatora. Mabbut wiedział, że nie może odwrócić wzroku.

– Tak czy inaczej, dziękuję za uratowanie nam życia – powiedział cicho.

Spojrzenie Melville’a powędrowało na drugi koniec stołu.

– Dzięki Kumarowi znam większość tych maoistów.

Odsunął swój talerz na bok. Jak na zawołanie z ciemności wyłonił się jeden z kierowców, którzy poprzedniej nocy przywieźli Mabbuta, i zaczął sprzątać ze stołu.

– Nie są tacy źli – dodał Melville. – Wprawdzie kierują nami inne motywy, ale zgadzamy się co do pryncypiów.

Zapadła cisza. Mabbut kolejny raz odniósł wrażenie, że dostał szansę, żeby się wytłumaczyć, ale właściwa chwila minęła. Zrobiło się zamieszanie, wszyscy wstali od stołu, a Melville przyjął papierosa od jednego z mężczyzn. Ukucnął przy ognisku i zapalił go, używając patyka, a potem wyprostował się i zaciągnął głęboko. Odkaszlnął lekko, mimowolnie.

– Parval… przepraszam, pan Singh przekazał mi, że interesuje pana rafineria Astramexu.

Mabbut wzdrygnął się. Co jeszcze powiedział właściciel pensjonatu?

– On… Owszem. Uznał, że będę tym zainteresowany bardziej niż kolejnym dniem zwiedzania świątyń.

– Tutejsze świątynie są światowej klasy.

– Zgadzam się. Ale być może jest ich odrobinę za dużo.

Melville odgarnął włosy z twarzy i strzepnął popiół z papierosa.

– Parval jest mocno zaangażowany politycznie, rozumie pan. Ma swoje plany. Przykro mi, jeśli je panu narzucił.

– Och, po prostu chciał mi pomóc.

– Musiał uznać, że to pana zainteresuje.

– Tak.

– Bo większości turystów to nie interesuje.

Melville wrócił do stołu, przysunął bliżej lampę i pochylił się nad mapą. Z długimi włosami, w okrągłych okularach na długim nosie przypominał pradawnego alchemika.

– Może dostrzegł w panu pokrewną duszę?

Mabbut zapatrzył się w ciemność otaczającą obóz.

I Singh, i Melville zbili go z tropu. Obaj bez trudu przejrzeli jego grę. I obaj zmusili go, by wyznał choć część prawdy. Teraz nie było już odwrotu. Pozostało jedynie minimalizować szkody.

– Kiedyś byłem dziennikarzem, pisałem o kwestiach ochrony środowiska. Znaleźliśmy wspólny język.

– Dziennikarzem?

– Dawno temu. Pisywałem głównie do gazet lokalnych. I kilku dzienników ogólnokrajowych. Sporadycznie. Napisałem serię artykułów o zanieczyszczeniach. Wycieki chemikaliów z przestarzałych fabryk i tego typu sprawy.

– I?

– Skończyłem z tym. Nie przysparzało mi to przyjaciół.

Melville skinął głową.

– Dobrze to rozumiem.

– A moją żonę bardziej interesował stały dochód niż ochrona środowiska.

Melville rozparł się na krześle i zaczął skręcać kolejnego papierosa.

– Rodzina?

– Dwoje dzieci. Właściwie nie są już dziećmi. Młodzi dorośli, tak się to chyba teraz nazywa.

– Szczęśliwa rodzina. Zazdroszczę.

– Też tak myślałem, ale żona miała inne zdanie. Już ze mną nie mieszka.

Melville uniósł brew.

– A czym się pan teraz zajmuje?

Mabbut był bliski wyznania prawdy, ale jakiś instynkt podszepnął mu, żeby tego nie robić.

– Cóż, właśnie skończyłem pisać pean na cześć firmy naftowej. To żaden powód do dumy. Pomyślałem więc sobie, że rozejrzę się trochę po świecie.

Melville odchylił głowę z udawaną dezaprobatą.

– Na cześć firmy naftowej? A dokładniej?

Mabbut uśmiechnął się z rezerwą. Stąpał po cienkim lodzie.

– *Oficjalna historia terminalu naftowego Sullom Voe*.

Kiedy Melville zachichotał, Mabbut odetchnął z ulgą.

– Czyli żadna konkurencja dla Harry'ego Pottera.

– Nie byłbym taki pewien. Moja książka też opowiada o magicznych wyczynach Szkotów.

Melville przytaknął. Zaciągnął się papierosem, a wydmuchując dym, zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypomniał.

– Z tego, co wiem, Szetlandczycy sporo zyskali na Sullom Voe.

– To prawda.

– Wielu ludzi w Indiach uważa, że aluminium uratuje ten region – ciągnął Melville. – W końcu panuje tu bieda.

Rzucił Mabbutowi spojrzenie przez stół. Keith znów miał niepokojące poczucie, że rozmówca usiłuje przejrzeć go na wylot. Ale to, co powiedział Melville'owi, było na tyle bliskie prawdy, że był w stanie wytrzymać jego wzrok.

– I co pan na to?

Mabbut wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ja tylko patrzę i się uczę.

To rozbawiło Melville'a.

– A kto się panem teraz zajmie, skoro przewodnik wrócił do domu?

Zabawne, że Mabbut jak dotąd zupełnie się nad tym nie zastanawiał.

– Jakoś sobie poradzę. Musi gdzieś tu być jakieś biuro turystyczne.

Melville parsknął śmiechem.

– Nie jesteśmy w Paryżu.

– A tak, rzeczywiście.

Melville złożył mapę, zdjął okulary i przetarł oczy. Później podniósł się dziarsko, jakby podjął jakąś decyzję.

– Możemy pana odwieźć do Bhubaneswaru, ale po drodze mamy coś do załatwienia.

Mabbut zrozumiał, że odpowiedź może być tylko jedna.

– To świetnie. Dzięki.

– Wstajemy wcześnie. Ale tu wszyscy wstają wcześnie.

– Będę gotowy. Tylko…

Nadszedł czas, by odsłonić nieco karty.

– Tak?

– Chciałem jedynie powiedzieć to, co powiedziałby każdy, komu leży na sercu dobro środowiska. To zaszczyt pana poznać.

Melville zachował kamienną twarz. Z cieniem uśmiechu sięgnął przez stół po stos papierów.

– W namiocie znajdzie pan wodę.

Mabbut kiwnął głową.

– Dziękuję. I dobranoc.

Był w połowie drogi do swojego namiotu, gdy Melville zawołał go.

– Panie Mabbut. Jedna ważna zasada. To, co się tu dzieje, musi zostać między nami. Na pewno pan to rozumie.

– Oczywiście.

Melville patrzył na Keitha wystarczająco długo, by wprawić go w zakłopotanie.

– Przyjemnej nocy.

SZEŚĆ

Pobudkę zarządzono przed świtem.

Mabbut chłonął słodkie, rześkie poranne powietrze, dopijając kubek czarnej herbaty. Życie w wiosce toczyło się już pełną parą. Z ognisk unosił się dym, piały koguty, gdakały kury, szczekały psy. Poza granicami osady widać było kucające na polach postaci, zajęte produkcją naturalnego nawozu. Dwójka małych dzieci wyprowadzała z zagrody stado kóz, pobrzękujących dzwoneczkami zawieszonymi na szyjach. Śniadanie było skromne, a zanim na wschodnim horyzoncie pojawiły się pierwsze promienie słońca, namioty były już zwinięte, a dwa samochody – spakowane i przygotowane do wyjazdu.

Melville zachowywał się poważnie. Jego kpiarski ton gdzieś zniknął. Komunikował się seriami rzucanych ostro rozkazów. Kiedy zostały wykonane, machnięciem ręki wskazał Mabbutowi jeden z SUV-ów, ten sam, którym uratowano go dwie noce wcześniej.

– Pojedzie pan z Kineshem.

Melville, ubrany w bawełnianą koszulę i bufiaste szarawary, wrzucił plecak do pojazdu stojącego z przodu i wskoczył do środka. Kumar zwiększył obroty silnika i zatrąbił, po czym oba samochody wyjechały z obozu, okrążyły wieś i ruszyły na zachód.

Kinesh był najmłodszym z trójki Hindusów, którzy poprzedniej nocy jedli kolację przy stole. Siedział wyprostowany, jak gdyby kiedyś służył w wojsku, i nie spuszczał oczu z drogi.

SUV przechylił się do przodu, wjeżdżając w ślad za samochodem Kumara do wąwozu w czerwonej ziemi. Gdy auto przyspieszyło, podjeżdżając pod skarpę po drugiej stronie, Mabbut złapał za uchwyt

nad oknem. Dręczyła go świadomość, że już niedługo będzie musiał pożegnać się z grupą Melville'a. Poprzedniej nocy był nowo przybyłym, atrakcją na koniec długiego dnia. Tego ranka stał się ciężarem. Wyczuwał to w zachowaniu Kinesha. Samochód chybotliwie sunął po trasie, a młody mężczyzna w milczeniu wpatrywał się przed siebie. Mabbut wiedział, że jego pogoń za Melvillem może z dużym prawdopodobieństwem dobiec końca w ciągu kilku najbliższych godzin. Musiał zabrać się do pracy. Wykorzystać każdą szansę.

Spojrzał na swojego kierowcę. Miał jasną skórę, mocny profil i potężny, sterczący nos.

– Długo pracujesz dla pana Melville'a? – zagaił.

Kinesh skinął głową. Poprawiał lusterko.

– Kiedy tu przyjeżdża.

– Czyli jak często?

– Dwa, może trzy razy w roku, sir.

Gdy zjechali w dawne koryto rzeki, pozbawione wody, ale pełne świeżo zaschniętego błota, Kinesh załączył stały napęd na cztery koła.

– To musi być zaszczyt pracować dla niego.

– Rzeczywiście, sir.

W każdym „sir" pobrzmiewała pogarda. Mabbut postanowił odczekać chwilę, zanim znów się odezwie, żeby sprawdzić, czy Kinesh sam czegoś nie powie. Poza tym nie chciał, żeby rozmowa przypominała przesłuchanie. Nagle z zarośli przed nimi wyfrunęły dwa jaskrawo upierzone ptaki, które po chwili zniknęły między drzewami, błyskając szkarłatem i purpurą.

Mabbut krzyknął z zaskoczenia.

– Bilbil zbroczony. *Pycnonotus jocosus* – wyjaśnił rzeczowo Kinesh.

– Dziękuję.

– Górski ptak.

– Jesteśmy wysoko?

– Osiemset metrów.

Jechali teraz po równinie. Kinesh trzymał się w tyle za samochodem Kumara, wzbijającym kłąb pyłu.

– Urodziłeś się tutaj?

Kinesh pokręcił głową.

– Stąd pochodzi tylko Kumar, sir.

– A ty?

– Ja jestem z Delhi.

– W takim razie jak trafiłeś na pana Melville'a?

– Na uniwersytecie. Studiuję biologię i socjologię. Przyjechał do nas z wykładem. O tym, jak niszczymy nasze środowisko. Tu, w Indiach.

Mabbut rozejrzał się. Drzewa rosły tu gęściej niż w obozie. Przez szyby samochodu widział też jasnozielone krzewy i gładkie szare głazy, wznoszące się za nimi.

– Na moje oko jest całkiem nieźle.

Kinesh uśmiechnął się ponuro.

– Jeszcze się pan przekona. Sir.

Kiedy wjechali na drogę wysypaną tłuczniem, słońce prażyło już niemiłosiernie. Po godzinie telepania na wertepach Mabbut głośno odetchnął z ulgą. Kinesh wskazał na słupy wysokiego napięcia, zupełnie niepasujące do otoczenia. Kable rozpięte ponad drogą znikały w głębi buszu.

– Ciągną się aż do Kowprah, sir.

– Kowprah?

W odpowiedzi Kinesha pobrzmiewała pogarda.

– To największa rafineria aluminium w kraju.

– Ale elektryczność przydaje się chyba wszystkim?

– Wszystkim, którzy z niej korzystają, sir. Siedemdziesiąt procent tego prądu trafia do prywatnych przedsiębiorstw wydobywczych. Do wytworzenia tony aluminium potrzeba dwustu pięćdziesięciu

megawatów energii elektrycznej. Kowprah produkuje sześć milionów ton aluminium, więc zużywa półtora miliarda megawatów rocznie. To sześćdziesiąt milionów ton dwutlenku węgla. A teraz chcą rozbudować rafinerię, czyli przesiedlić jeszcze więcej ludzi z terenów, na których żyją od dwóch tysięcy lat.

Z lewej strony SUV-a niespodziewanie wyrósł zatłoczony autobus, spychając go do krawędzi drogi. Kinesh zatrąbił.

– Chcą zająć nawet święte wzgórza, żeby zarobić jeszcze więcej!

Tyrada Kinesha brzmiała dla Mabbuta fałszywie. To samo słyszał w Sullom Voe. Że jeśli ktoś się bogaci, pozostali na tym tracą. Rozumiał to podejście, ale w gruncie rzeczy było ono nieuczciwe.

– Wszyscy korzystamy z aluminium. Jest w twoim samochodzie. W twoim telefonie komórkowym. W waszych garnkach i samolotach.

– I płacimy za nie dużo pieniędzy. Firma wiele na tym zyskała. Ale ludzie, którzy mieszkają w okolicach Kowprah, tracą przez to źródło utrzymania. Rafineria pochłonęła pięć tysięcy hektarów ziem uprawnych.

– Kinesh, jesteś wykształcony. Nie sądzisz, że ludzie muszą się zmienić, nauczyć nowych rzeczy, dostać szansę, żeby zdobyć taką edukację jak ty?

– Sir, mój ojciec powiedział mi kiedyś: „Masz za dużo w głowie, a powinieneś się nauczyć nosić więcej na głowie". To mi powiedział mój ojciec, sir. Żebym szanował tradycję.

Pierwszy raz jego słowa zabrzmiały szczerze. I pierwszy raz przez poważną twarz młodego mężczyzny przemknął uśmiech.

Jechali teraz po równej drodze. Miarowy szum silnika i monotonny krajobraz za oknami sprawiły, że Mabbutowi zamknęły się oczy. Obudziło go nagłe szarpnięcie i ochrypły dźwięk klaksonu, kiedy samochód raptownie się zatrzymał. Do zderzenia czołowego z pędzącą wprost na SUV-a ciężarówką brakło zaledwie kilku centymetrów.

– Ciężarówki z Kowprah, stale tędy jeżdżą tam i z powrotem.

Kinesh sięgnął po szmatkę i wytarł nią dłonie, po czym powoli ruszył do przodu. Mabbut zobaczył teraz, na czym polegał problem. Połowa drogi była w remoncie, więc ruch przekierowano na drugi pas.

Kinesh wskazał przed siebie.

– Poszerzają drogę, żeby zrobić miejsce dla ciężarówek. O to tu chodzi.

Mabbut z zaciekawieniem patrzył przez okno na roboty drogowe. Wydawało się, że całą pracę wykonują kobiety. Niektóre powiększały kilofami dziury w drodze, inne napełniały kosze odłamkami granitu i niosły je na głowach do tych dziur. Kobiety były w różnym wieku, od młodych dziewcząt po staruszki. Wszystkie miały na sobie zakurzone sari, które powiewały na wietrze. Żadna nie nosiła odzieży ochronnej.

– To kobiety. Drogę budują kobiety.

– Zobaczy je pan w całych Indiach, sir. – Kinesh skinął ponuro głową. Samochód podskakiwał na nowo położonej drodze. – To dalitki.

– Są najniżej w systemie kastowym?

– Znajdują się poza systemem kastowym, sir. Są niedotykalne.

– Ale muszą mieć jakieś prawa. Przynajmniej do odpowiedniego ubrania.

– Nie mają żadnych praw – odparł cicho Kinesh.

Dwie kobiety cofnęły się, żeby ich przepuścić. Obie były wysokie i miały ładne rysy, ale ciężka praca wyniszczyła ich ciała i wyprała je z życia. Gdy samochód przejeżdżał obok, Mabbut spojrzał im w oczy, ale nie dostrzegł na ich twarzach żadnej reakcji. Po chwili z wolna wróciły do pracy, jak zjawy ze snu. Mabbut długo spoglądał w boczne lusterko, nie mogąc oderwać od nich wzroku.

Kilka mil dalej samochód Melville'a zasygnalizował skręt w lewo. Jechali za nim w górę przez las jeszcze godzinę, a potem oba auta zatrzymały się na kamienistej drodze. Melville wysiadł pierwszy.

Przez ramię miał przewieszony aparat. Dyrygował towarzyszami, energicznie gestykulując. Niesforne włosy schował pod filcową czapką, a biała kurta wydymała się, gdy biegał. Mabbut był pod wrażeniem. Ten siedemdziesięciopięcioletni były bankier przypominał atakującego Rosjan mudżahedina. Przykładając palec do ust, Melville pokazał Kineshowi, żeby wyłączył silnik. Podszedł do samochodu i przez chwilę rozmawiał z kierowcą w hindi. Przez polanę przeleciał spłoszony mały żółty ptaszek. Mabbut zauważył, że Kinesh zerknął w górę. Kumar i Mahesh nie wykazali żadnego zainteresowania. Stali przy swoim SUV-ie, pakując plecaki.

Melville obszedł samochód i zatrzymał się przed oknem Mabbuta.

– Robimy krótki przystanek. Chcemy pstryknąć kilka zdjęć. Praca w terenie, rozumie pan – szepnął.

– Mogę iść z wami?

– Nie.

Melville wskazał głową Kinesha.

– Jeśli chce pan pomóc, proszę zostać z Kineshem i przypilnować samochodów.

Po tych słowach przywołał gestem Kumara i Mahesha. Wszyscy trzej ruszyli szybkim krokiem w dół. Pokonali zwalone drzewo, a potem weszli w wąskie koryto rzeczne i wkrótce zniknęli z pola widzenia.

W radiostacji rozległy się trzaski, a Kinesh pochylił się nad słuchawką. Po krótkiej wymianie zdań wyłączył nadajnik.

*

– Wody, sir?

– Ty pierwszy.

– Dla każdego jest po butelce.

Woda była zimna, więc Mabbut pił chciwie. Nagle z gałęzi ponad nim dobiegł donośny trzask. Mabbut podskoczył, rozlewając wodę. Kinesh sięgnął do schowka po lornetkę.

– A to co? – zapytał Mabbut.

– Dzioborożec orientalny. *Anthracoceros coronatus* – odrzekł Kinesh, lustrując drzewa. – Żółty dziób. Niebieskie, czarne i białe pióra w ogonie. Jego sproszkowany dziób to cenny specyfik. Zapewnia wigor.

Śledził przez lornetkę ptaka, który z głośnym trzepotem skrzydeł zniknął w lesie, a potem odwrócił się do Mabbuta.

– Lubi pan ptaki, sir? – zapytał.

Ruszyli ścieżką za pozostałymi.

– Mój ojciec je lubił. Wychował się na wsi.

– A pan nie, sir?

– Nie, ja jestem mieszczuchem. Leeds. Yorkshire. Teraz mieszkam w Londynie.

– Chciałbym zobaczyć Londyn – oświadczył Kinesh z naciskiem. Znów spojrzał na korony drzew, jakby czegoś tam szukał. – Nienawidzę tego miejsca.

– Nienawidzisz? Dlaczego?

– Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierzają Indie, sir. To kraj bardzo bogatych i bardzo biednych ludzi. A biednych jest tak dużo, że bogaci mogą bogacić się jeszcze szybciej. Ich to nic nie obchodzi. Większość nawet nie mieszka w kraju.

– Kinesh, to się nazywa postęp.

– Kiedyś też tak myślałem, ale pan Melville otworzył mi oczy. On uważa, że musimy pozostać wierni sobie. Musimy przyznać, że wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Nikt nie jest gorszy. Tak właśnie mówi, sir, i proszę mi wierzyć…

– Cii!

Kinesh odwrócił się w tym samym momencie co Mabbut. Patrzyli na czarny samochód terenowy, który niedaleko nich zatrzymał się na drodze. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Mieli ciemne okulary, identyczne białe koszule i drelichowe spodnie. Kinesh szeroko otworzył oczy.

– Ochrona! – szepnął.

Jeden z mężczyzn przyglądał się SUV-om. Drugi zapalił papierosa. Zaciągnął się leniwie, a potem obaj zaczęli iść w ich kierunku.

– Muszę ostrzec resztę – powiedział Kinesh. – Proszę tu zostać. Trzeba odwrócić ich uwagę.

– Ale jak?

– Wszystko jedno.

Zgięty wpół Kinesh przekradł się niepostrzeżenie do samochodów.

Mabbut wyszedł ochroniarzom na spotkanie, starając się wyglądać naturalnie, a nawet nieszkodliwie. Miał przyspieszone tętno i miękkie kolana. Mimo to uśmiechnął się szeroko.

– Piękna okolica.

Mężczyźni zatrzymali się.

– Skąd pan się tu wziął?

– Z Anglii.

– Ze Zjednoczonego Królestwa?

– Jeśli tak panowie wolą.

– Co pan tu robi?

– Yyy… oglądam ptaki.

Wyższy z dwóch mężczyzn zsunął z nosa podróbki ray-banów i badawczo przyjrzał się Mabbutowi.

– Macie tu fantastyczne ptaki, chyba się panowie zgodzą.

Usłyszał trzask radiostacji w ich samochodzie. Wiedział, że musi do końca wykorzystać nadarzającą się okazję.

– Przyjechałem aż z Londynu, żeby je zobaczyć.

– Żeby co zobaczyć?

– Dzioborożca orientalnego. *Anocatheros corona*. Bilbila zbroczonego. *Picolotus jocotus*. I wiele innych. O, proszę spojrzeć!

Mabbut krzyknął głośno, wskazując drzewa za ich plecami. Ochroniarze obejrzeli się za siebie, a on rzucił okiem na samochody. Ani śladu Kinesha. Kiedy mężczyźni odwrócili się znów w jego stronę,

Mabbut rozciągnął usta w uśmiechu, który miał się im wydać obłąkańczy.

– Widzieli go panowie? Maleńki ptaszek. Niebieski grzbiet, brązowa pierś. Pochodzi z Nepalu. Cudowny.

Jeden z ochroniarzy wyraźnie połknął haczyk, bo pokręcił głową, mruknął coś do kolegi i zaczął się wycofywać, ale drugi zwlekał z odejściem. Patrzył na samochody zaparkowane za Mabbutem.

– A skąd drugi?

– Co drugie?

– Skąd drugi samochód?

– Przyjechaliśmy całą grupą.

– Gdzie reszta?

– W lesie. Szukają ptaków.

Wtedy Mabbut popełnił błąd. Kiedy młodszy mężczyzna ruszył w jego kierunku, Mabbut instynktownie zaszedł mu drogę. Wypadło to niezdarnie i zdenerwowało ochroniarza, który stał teraz dość blisko, by zobaczyć pot na twarzy Mabbuta. Krzyknął na kolegę, który zawrócił.

– To teren pod specjalnym nadzorem – powiedział pierwszy z mężczyzn. – Chcielibyśmy przeszukać te samochody.

– Jesteście z policji?

– W pana interesie jest pozwolić nam je obejrzeć.

Minęli go na ścieżce. Mabbut odwrócił się z przerażeniem. Nie mógł zrobić nic więcej.

Nagle z głębi lasu dobiegł ich gwałtowny, przybierający na sile huk. Las ożył, powietrze przeszyły piski, krzyki i trzepot skrzydeł. Potężne dudnienie rozległo się ponownie, tym razem znacznie bliżej; nasilił się również ptasi jazgot. Drzewa zaczęły się kołysać, wszyscy spojrzeli na drogę. Miejsce bujnych salów i tamaryndowców zajmowała teraz ściana stali. Mabbut od razu rozpoznał ten widok. Konwój. Otwierający go olbrzymi ciągnik z szoferką sięgającą czubków otaczających drzew z wściekłym sykiem wyrzucał z siebie

parę, górując nad białym subaru, które blokowało mu przejazd. Klakson przeciągle zaryczał po raz trzeci. Obaj ochroniarze wrócili pędem do samochodu, a huk rozniósł się po całym lesie, wzmocniony rykiem silników kolejnych pojazdów w synkopowanej symfonii gniewu. Mabbut patrzył z otwartymi ustami, jak terenówka gwałtownie nawraca i znika. Przy akompaniamencie pisku zwalnianych hamulców pneumatycznych samochód ciężarowy ospale ruszył naprzód, wlokąc za sobą potężny ładunek. Kolejny pojazd w konwoju zaczął wspinać się na wzgórze, łamiąc gałęzie drzew na swojej drodze. Trzecia ciężarówka, która zatrzymała się na bardziej stromym zboczu, potrzebowała więcej czasu na rozruch. Szoferka wznosiła się i opadała niczym koń podczas biegu z przeszkodami. Mabbut miał wrażenie, że minęły wieki, zanim przekładnia zaskoczyła i ostatni z ogromnych pojazdów przetoczył się z łoskotem, pozostawiając za sobą coś równie nienaturalnego: las dźwięczący głuchą ciszą.

Mabbut stał bez ruchu, niemal dosłownie wstrząśnięty tym, co zobaczył. Odwrócił się dopiero na dźwięk głosów za sobą. Spomiędzy drzew nadbiegali Kumar i Mahesh, a za za nimi – Melville. Kinesh kręcił się już przy samochodach, zajęty pakowaniem sprzętu i chowaniem aparatów do futerałów. Docierając na polanę, Melville uśmiechnął się szeroko do Mabbuta.

– Dobra robota, chłopaki!

Potem zawołał do Kinesha.

– Mapa?

Zerknął szybko na mapę, a później wskoczył do pierwszego SUV-a, w drodze podając Kumarowi współrzędne.

– Wynośmy się stąd!

Czekało ich trudne pół godziny, bo unikali szosy, trzymając się krętych leśnych tras. Kinesh mówił niewiele, skupiając się na prowadzeniu SUV-a między drzewami, przez strumyki i po kłopotliwych wzniesieniach. Dopiero na obrzeżach rozległej wioski

Mabbut zauważył, jak od rana zmienił się nastrój jego towarzysza. Wcześniejszy dystans zastąpiła euforia, a młodzieńcza żywiołowość przełamała powagę. Kiedy usiedli przy stole przy bezimiennej głównej ulicy we wsi, zdał sobie sprawę, że przykład przyszedł z góry. Melville był w świetnym humorze.

– To było coś! Słuchajcie, jeśli chcieliśmy dowodów na to, że zwiększają produkcję, to je mamy. Tak się spieszą z budową nowych pieców hutniczych, że przewożą części dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dlatego ich goryle rozbijają się po lesie, jakby byli u siebie.

Spojrzał na Mabbuta i wreszcie uśmiechnął się do niego bez cienia podejrzliwości.

– Przykro mi, że musiał pan spotkać się z nimi twarzą w twarz. Gdyby przeszukali nasze samochody, bylibyśmy w poważnych tarapatach, więc dzięki za pomoc.

Na stole pojawiły się bhindi bhaji prosto z patelni.

– Czego się tak obawiają? – zapytał Mabbut przy jedzeniu.

– Rafineria Kowprah powstała pięć lat temu dzięki szeregowi szemranych pozwoleń. Wiele pieniędzy zmieniło przy tym właścicieli. Astramex dostał to, czego chciał, a państwo straciło sześćset hektarów dobrej ziemi uprawnej.

Melville najwyraźniej był w swoim żywiole. Zniknęła nieufność, którą okazywał Keithowi w obozie. To był Melville w wersji 2.0. Teraz wystarczyło go tylko słuchać i zapamiętywać, co mówi.

– Ci ludzie nigdy nie mają dość. Kiedy zwietrzą interes, liczą się tylko pieniądze. Astramex chce podwoić produkcję aluminium w Kowprah. Dziś rano zdobyliśmy dowody, że firma nie zawraca już sobie głowy pozwoleniami. Przywożą nowy sprzęt najszybciej, jak się da. Chcą postawić państwo przed faktem dokonanym. Właśnie w taki sposób działają. Ich zasada to: rób, co chcesz i nie daj się nikomu powstrzymać.

Melville urwał, nałożył sobie kolejną porcję i podał półmisek pozostałym.

– Problem polega na tym, że rafineria Kowprah musi sprowadzać z zewnątrz boksyt, czyli podstawowy surowiec. To spore ograniczenie. Gdyby znaleźli go gdzieś bliżej, mieliby ułatwione zadanie – i znacznie większe zyski. I cóż za niespodzianka – odkryli złoża boksytu dużo bliżej – we wzgórzach tuż obok zakładu! Idealna sytuacja! Tyle że na tych wzgórzach mieszkają ludzie, tysiące ludzi, od zawsze. Czczą Wzgórza Masoka, widząc w nich swoje ocalenie. I mają słuszność. Boksyt zatrzymuje i rozprowadza wodę, dlatego mają tam źródło dwie, a może nawet trzy rzeki i cała sieć strumieni. Jeśli odetnie się wierzchołek, deszcz od razu spłynie bezpośrednio po zboczach. A to położy kres życiu, jakie dotąd wiedli ci ludzie, i zniszczy system irygacyjny, dzięki któremu ziemie uprawne ciągną się aż do morza.

Melville skinął na Kumara, który sięgnął do torby i wyciągnął z niej wodę. Poluzowując nakrętkę, podał butelkę swojemu szefowi. Ten wziął głęboki łyk, a potem przekazał ją Mabbutowi.

– Na naszej porannej wycieczce przyrodniczej zdobyliśmy niepodważalne dowody, że Astramex sprowadza ciężki sprzęt, a zatem planuje wydobywać boksyt z lokalnych wzgórz.

– A co możecie na to poradzić?

Melville wymienił porozumiewawcze spojrzenia z trójką Hindusów. Potem przyjrzał się Mabbutowi uważnie, ale nie bez sympatii.

– To się okaże…

SIEDEM

Mabbut był zadowolony. Nie tylko z tego, jak potoczył się dzień, ale też z faktu, że nikt nie wspominał o odwiezieniu go na pociąg do Bhubaneswaru – przynajmniej na razie. Miał spędzić kolejną noc w obozie Melville'a. Namioty rozstawiono u stóp gładkiej granitowej wychodni, gdzie w promieniach zachodzącego słońca mieniły się kryształy kwarcu.

Kumar i pozostali chłopcy zajęli się generatorem, który rzężąc i trzeszcząc, budził się do życia. Mabbut wszedł do swojego namiotu i wyjął komórkę. Ron Latham zostawił mu dwie wiadomości głosowe, które zignorował, a Krystyna jedną – tylko się przedstawiła. Bateria mogła wystarczyć na jeden telefon. Keith upewnił się, że nikt go nie obserwuje, a potem wybrał jej numer. W słuchawce zapanowała cisza. Już miał się rozłączyć, kiedy usłyszał trzask połączenia.

– To ja.

Sprawiała wrażenie, jakby spodziewała się jego telefonu.

– Gdzie jesteś?

– W Indiach.

– Jesteś bezpieczny?

– Tak, oczywiście. Dlaczego pytasz?

– Dzwoniła do mnie twoja agentka. A potem człowiek, który brzmiał jak automat.

– Ron Latham? Dzwonił do ciebie?

– Ciągle pytał, czy się nie odzywałeś. Dlaczego cię szuka?

– Bo mi płaci. Dlatego.

Niemal słyszał, jak nadstawia uszu.

– Przekazać mu, że dzwoniłeś?

– Nie, Krys. Trzymaj się od niego z daleka, bo nigdy ci nie da spokoju.

– To dzięki niemu masz być bogaty?

– A jakie to ma znaczenie?

– Dla ciebie duże.

Nie na taką odpowiedź liczył.

– Gdzie Rex?

Ale telefon już się wyłączył. Rozładowana bateria.

– Kurwa!

– Wszystko w porządku? – Zza klapy wyjrzała rozczochrana siwa głowa. Melville. – Niedługo będziemy jeść.

– Dzięki. Zaraz do was dołączę.

Melville wskazał palcem telefon.

– Naładować ci to?

– Czasem wolę go w tym stanie – powiedział Mabbut, żeby pokryć zmieszanie.

– Świetnie to rozumiem. Swojego używam tylko do pracy.

Mabbut podał komórkę Melville'owi.

– W takim razie czekamy. Kumar gotuje. Nie można tego przegapić.

Na zewnątrz paliło się ognisko, a Mahesh i Kinesh siedzieli w kucki przy składanym stoliku zastawionym otwartymi butelkami piwa Cobra, laptopami i telefonami komórkowymi. Obaj Hindusi i Melville byli zaaferowani pracą, która polegała głównie na długich rozmowach telefonicznych, prowadzonych niemal wyłącznie w hindi. Czasami wołali do telefonu Kumara, który odchodził od ogniska i rozmawiał w jeszcze innym języku.

Czując się jak piąte koło u wozu, Mabbut postanowił się przejść. Stanął na skraju obozowiska. Słońce schowało się za horyzontem i prawie natychmiast zapadła noc. Zrobił jeszcze kilka kroków, wychodząc poza obręb obozowych świateł, i wciągnął głęboko powietrze. Było bardzo suche, pachniało ogniem i spalenizną. Powiał lekki wiatr, gdzieś skrzypnęła gałąź. Mabbut kucnął, przesuwając

palcami po piasku, dopóki nie znalazł kamienia, którego ciężar i gładkość mu odpowiadały. Obracając go w dłoni, przywoływał z pamięci obrazy swojego dawnego życia. Zobaczył, jak Krystyna siedzi z nim przy kuchennym stole i kręci głową w reakcji na jego wzburzenie czymś w gazecie. Jak Sam, zanim uwiódł go teatr, ugania się za piłką na plaży w Suffolk. Jak Jay, przed poznaniem Sziraja, leży na brzuchu przed kominkiem, zaczytana w jakiejś książce.

– Keith! – Usłyszał głos Melville'a. – Wcinaj!

Mabbut spojrzał na zegarek. Minęło prawie pół godziny, a on nadal trzymał w dłoni ten kamień. Wstał i cisnął go w zarośla najdalej jak potrafił, a potem ruszył z powrotem do obozu.

Zjedli prosty, ale smaczny posiłek – kurczaka tandoori z soczewicą, ziemniakami i niewielką porcją pikantnego curry. Lampa na środku stołu migotała na cudownie kojącym teraz wietrze. Wspominali mijający dzień, żartując o nagłym zainteresowaniu Mabbuta ptakami. Melville zapalił papierosa, wziął drugie piwo, po czym wdał się w długi, precyzyjny wywód o zwyczajach godowych dzioborożców. Kumar sięgnął po jeden z glinianych garnków, w których przygotował jedzenie, i opowiedział ze szczegółami, jak pobliskie plemię wykorzystuje podobne naczynie do zbierania soku z palmy sagowej. Wspominał, jak chłopcy wdrapywali się z nim na drzewa i wieszali tam pojemnik, żeby spływał do niego lepki biały napój, z którego wytwarza się niezastąpiony we wsi bimber. Ta opowieść przerodziła się w zaciekły spór o to, ile soku można zebrać z jednego drzewa. Mahesh słyszał, że litr w ciągu nocy. Kumar przysięgał, że dobre drzewo może dać nawet pięć litrów przez noc i kolejne pięć w dzień. W tym momencie wywiązała się dyskusja o najlepszych metodach wchodzenia na drzewo. To z kolei w nieunikniony sposób doprowadziło do nocnego wyścigu na szczyt rosnącego obok drzewa mahua, który w imponującym stylu wygrał Kumar. Był to triumf techniki nad siłą fizyczną.

Melville czasem włączał się do rozmowy, a kiedy indziej siedział rozparty, wodząc po protegowanych spojrzeniem dumnego ojca. Zamiast przybrać pozę guru, z największą radością żartował i droczył się z innymi. W pewnym momencie Kumar zbeształ słynnego ekologa za nieumiejętność opanowania *toi*, dialektu ludów Masira. Melville zaprotestował, ale chwilę później rozbawił Kumara do łez swoimi nieudanymi wprawkami; ostatecznie uratował twarz, recytując bezbłędnie imiona wszystkich przywódców pobliskich wiosek.

Był to jeden z tych rzadkich wieczorów, które układają się jak należy bez najmniejszego wysiłku. Wszyscy mężczyźni – Kinesh, roztropny idealista z Delhi; Mahesh, spec od nowych technologii z trójką dzieci w Kalkucie; Kumar, plemienny intelektualista; Melville, człowiek legenda; Mabbut, jego potajemny biograf – na kilka godzin stali się dla siebie po prostu bliźnimi. Taka refleksja nasunęła się Keithowi, gdy odszedł od ogniska i chwiejnie trzymając się na nogach, załatwiał się pod drzewem, na które niedawno wdrapał się Kumar.

Zanim wrócił do obozu, młodzi rozeszli się już do namiotów. Przy lichym stoliku został tylko Melville, pochylony nad mapą przy lampie. Jego profil rzucał cień na najbliższy namiot.

Usłyszawszy Mabbuta, podniósł wzrok i położył coś na stole.

– Twój telefon. Bateria naładowana.

– Dzięki. I dziękuję, że mogłem tu z wami być. To był przyjemny wieczór.

Zbliżył się, chcąc wziąć aparat, ale w tym samym momencie Melville nakrył go dłonią.

Przez chwilę trwał impas. Coś się zmieniło. Melville znów mierzył go zbijającym z tropu, oskarżycielskim spojrzeniem. Mabbut zdawał sobie sprawę, że wypite piwa rozwiązały mu język. Może powiedział za dużo.

– Jutro wcześnie ruszamy. Kumar obudzi cię o czwartej.

Mabbut skrzywił się.

– Jasne. Kto rano wstaje…

– Podrzucimy cię na stację Kindara na szóstą. O siódmej trzydzieści jest pociąg do Bhubaneswaru. Dobrej nocy.

Melville skupił się znów na mapie, nie wypuszczając telefonu z dłoni.

Mabbut stał przed nim, czując się jak skończony idiota. Ubzdurał sobie, że po tym, co wydarzyło się tego dnia, stał się częścią tego wszystkiego, cokolwiek to było. A teraz Melville spokojnie i stanowczo sprowadził go na ziemię. Jego zdaniem Keith im przeszkadzał i nic nie mogło tego zmienić. Mabbut poczuł, że rodzi się w nim sprzeciw. Przypomniał sam sobie, że ma pięćdziesiąt sześć lat, a kiedyś był budzącym podziw dziennikarzem. Dotarł już tak blisko celu, że teraz nie zamierzał się poddać bez walki.

– Jeśli to możliwe, chciałbym z wami zostać.

– W to nie wątpię. – Melville nawet na niego nie spojrzał.

– Mogę za siebie zapłacić. Dorzucić coś do skarbonki.

Melville upuścił ołówek, który poturlał się wolno po mapie, zatrzymując się tuż przed krawędzią stołu, jakby tak miało być. Popatrzył na Mabbuta. Jego spojrzenie było twarde i obojętne.

– Nie mogę się na to zgodzić, Keith.

Mabbut poczuł, jak przebiega go dreszcz. Równocześnie uświadomił sobie, że czas wyłożyć karty na stół i niech się dzieje, co chce.

– Nie mogę się na to zgodzić – powtórzył Melville. – Zanim nie dowiem się o tobie trochę więcej.

Mabbut wzruszył ramionami.

– Co tu dużo mówić. Jestem tylko…

Melville podniósł telefon.

– Na przykład dlaczego pracujesz dla Urgent Books.

I tak się to odbyło. Zamiast wyjaśnić Melville'owi, co robi w Indiach, słuchał, jak Melville wyjaśnia to jemu. Nazwisko i numer Rona Lathama stale przewijały się w jego telefonie; liczne wiadomości od wydawcy czekały na odpowiedź. A macki Melville'a sięgały daleko. Zanim krótkie, intensywne przesłuchanie dobiegło końca, stało się jasne, że Melville jest świetnie poinformowany. Wiedział o wynajętym samochodzie, wiedział o rezerwacji hotelowej. Nie było sensu zaprzeczać.

– Po co naprawdę tu przyjechałeś?

– Żeby napisać o tobie książkę.

Przez twarz Melville'a przemknął uśmiech.

– Od razu lepiej. Czyli oni chcą wydać książkę o mnie i płacą ci, żebyś ją napisał.

– Co w tym złego?

Melville odchylił się na krześle.

– Pozwól, że oszczędzę ci dużo wysiłku. Nie interesuje mnie mówienie o sobie. Interesuje mnie, czego mogę dokonać w czasie, który mi pozostał, żeby zapobiec szkodom, jakie od dawna wyrządzamy tej udręczonej planecie. To nie o mnie powinieneś pisać, tylko o tych ludziach – wskazał na horyzont. – O plemionach Masira Kidonga, Musa, Gyara. Wygląda na to, że zostało im jeszcze mniej czasu niż mnie. A mówimy tylko o Indiach. Na całym świecie są ludzie, którym odbiera się prawo do życia. Nie mam czasu na laurki medialne i sylwetki w magazynach. To inny świat. Świat, który chce, żebyśmy nadal kupowali, niszczyli i obżerali się, niezależnie od tego, ile to kosztuje ludzi wokół nas.

Mabbut poczuł przypływ energii. Wreszcie mógł mówić otwarcie. On też żarliwie wierzył w swoją misję.

– Z całym szacunkiem, panie Melville, właśnie napisał pan za mnie pierwszy akapit. To dlatego, czy pan tego chce czy nie, podziwiają pana ludzie z każdego pokolenia. Zapracował pan na to, działając na własną rękę, nie biorąc od nikogo ani grosza. Dzięki temu ma pan

niezwykły przywilej: ludzie pana słuchają. Pana historia jest historią wszystkich spraw, o które pan walczy. Opowiadając o panu, można opowiedzieć i o nich. Poświęcił pan życie, żeby dać głos anonimowym i bezsilnym. Dzięki mnie ten głos wielu usłyszy.

Tykowata sylwetka Melville'a zginała się coraz niżej nad stołem. Szczupłymi dłońmi zasłaniał twarz i wyraźnie się trząsł. Mabbutowi przeszło przez myśl, że wzruszył tego wielkiego człowieka, ale kiedy Melville wreszcie się wyprostował, okazało się, że płakał ze śmiechu.

– O żeż… – Melville wziął głęboki oddech i wskazał miejsce przy stole. – Siadaj, człowieku, zanim dostaniesz zawału.

Zdezorientowany Mabbut przysunął sobie krzesło.

– Przepraszam. Nie chciałem się z ciebie śmiać, po prostu miałem cię za starego wygę.

Melville podniósł dłoń, żeby uprzedzić wszelkie protesty.

– Przyzwoitego starego wygę, a okazuje się… – pokręcił głową, znów parskając śmiechem – że rozmawiam z Martinem Lutherem Kingiem, do kurwy nędzy!

Nagły podmuch wiatru sypnął piaskiem po ziemi. Melville otarł łzy z oczu i rozłożył ręce w pojednawczym geście.

– Przepraszam. Wszyscy tak ciężko pracujemy. – Wyjął z metalowego pudełka skręconego ręcznie papierosa. – No dobrze, Keith, zanim cię wyrzucę za szpiegostwo, jestem ci chyba winien wyjaśnienie. Zapalisz?

Mabbut pokręcił głową.

– Fatalny nałóg. – Z zapałki buchnął płomień. – Mam ich wiele. – Melville wciągnął dym w płuca i zapatrzył się w nocne niebo. – Musisz zrozumieć, że nie jestem święty. Nie jestem nawet dobry. Jestem facetem, który średnio sobie radził w szkole, a potem wyleciał ze studiów i uganiał się za kobietami, dopóki nie znalazł tej niewłaściwej i się z nią nie ożenił. Podróżowałem, żeby uciec od bajzlu, jakiego narobiłem. Odkryłem, że lepiej się dogaduję z ludźmi za granicą niż w kraju i to w zasadzie cała historia. Nie zasługuję na

podziw, Keith. Lubię tych ludzi. Siedzę tu, bo wolę ich od idiotów, z którymi musiałbym się zadawać w Anglii. Media robią ze mnie pustelnika, ale ja mam po prostu milion lepszych rzeczy do roboty od odbierania nagród i organizowania konferencji prasowych. Pracuję własnym tempem, własnymi metodami, z ludźmi, których szanuję. Skoro z tego powodu mam być „zagadkowy" albo „nieprzewidywalny", to trudno. Wy, dziennikarze, uwielbiacie etykietki, uwielbiacie przyszpilać ludzi jak motyle w gablocie. To mydlenie oczu, że wolność prasy przynosi nam wolność ducha. Tak naprawdę chodzi o to, żebyśmy wszyscy byli tacy sami. Jednakowi, naiwni, łatwi do zaprogramowania. Jak spod sztancy.

Zaciągnął się ostatni raz papierosem i rzucił niedopałek w ciemność za Mabbutem.

– Dlatego wybacz, Keith, ale nie jestem gotowy na to, żeby trafić do przegródki z napisem „Hamish Melville, człowiek legenda".

Zaczął się podnosić, jakby rozmowa dobiegła końca, ale tym razem to Mabbut podniósł dłoń. Melville przedstawił swój punkt widzenia. Teraz przyszła kolej na niego. To mogła być jego ostatnia szansa.

– Przepraszam za te podchody i tajemnice, ale najważniejsze jest to, że podjąłem się tego zlecenia, bo wierzę w te same rzeczy co pan. Zawsze w nie wierzyłem. Walczyłem z korporacjami, bo wiedziałem, że kłamią, a bywa, że przez ich kłamstwa giną ludzie. Lubię myśleć, że na jakąś niewielką, marginalną skalę toczyłem tę samą walkę co pan. Różnica między nami polega na tym, że ja jestem najniższą formą życia – dziennikarzem. Ale potrzebujemy opinii publicznej, żeby wspierała nas w naszych dążeniach. Potrzebujemy możliwie największego rozgłosu. Ma pan na koncie ogromne sukcesy – blokowanie projektów, ratowanie ludziom życia i źródeł utrzymania – ale nie musi pan się przed nikim tłumaczyć.

Melville otworzył usta.

– Z całym szacunkiem, panie Melville, wiem, co pan chce powiedzieć. „To co? Dlaczego miałbym się tłumaczyć?" Odarty

z prywatności nie mógłby pan działać tak, jak teraz. Ale dla takich ludzi jak ja jest pan dowodem, że na tym popieprzonym świecie można zrobić coś dobrego. Nie może pan oczekiwać, że nie będziemy ciekawi, jak się to panu udaje. Może pan mnie uznać za szpiega. Odpowiem na to, że szpieguję z najlepszych możliwych pobudek. Po prostu uważam, że dzięki panu świat jest lepszy, i chcę, żeby więcej ludzi poszło w pana ślady.

Melville wstał. Wciągnął powietrze w płuca i zadarł głowę.

– Pogoda się zmienia – skonstatował z niezadowoleniem. Potem spojrzał na zegarek. – Wyruszamy bardzo wcześnie.

Mabbut skinął głową i sięgnął po swój telefon, ale Melville znów położył na nim dłoń.

– Zatrzymam go, jeśli nie masz nic przeciwko. – Uśmiechnął się. – Ze względów bezpieczeństwa.

OSIEM

Wołanie Kumara wyrwało Mabbuta z głębokiego snu. Nadal był potwornie zmęczony. Obok niego leżała jego torba pełna brudnej bielizny. Czuł się lepki i niedomyty. Był pewien, że zaczyna cuchnąć.

Gdy tylko wyszedł z namiotu, Kumar i młodsi chłopcy zaczęli go zwijać. Melville, który wytrzasnął skądś świeżo wyprasowaną kurtę, wydawał się orzeźwiony brakiem snu. Jeśli minionej nocy zachowywał się napastliwie, tego ranka nie został po tym nawet ślad. Pochłaniała go dyskusja z Kineshem i Maheshem.

Mabbut stanął za drzewem, załatwił się i umył zęby. Bardziej wyrafinowane zabiegi higieniczne musiały poczekać. Kiedy wrócił, Melville siedział przy stole z termosem w ręku.

– Kawy?

– Chętnie.

Nalał Mabbutowi kubek.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór – powiedział szorstko. – Broniłem swojego terytorium.

Wyciągnął rękę z kawą.

– Chyba po tych wszystkich latach zrobiłem się cyniczny. Z góry zakładam, że każdy, kto chce się czegoś o mnie dowiedzieć, próbuje pokrzyżować mi plany. Ale pomogłeś nam wczoraj i chłopcy cię polubili, więc zrobimy tak: zamiast odwieźć cię na stację, dam ci Kumara i samochód. On zna ziemie plemienne, sam pochodzi z ludu Masira. Pojedź z nim, a będziesz miał szansę przynajmniej zobaczyć ludzi, o których walczymy, i zrozumieć, z czym muszą się zmierzyć. Może potem będziemy mieli o czym rozmawiać.

Opróżnił swój kubek i wskazał na masywną sylwetkę Kumara, który wkładał właśnie torbę Mabbuta na tylne siedzenie starego land cruisera.

– Na pewno może się pan bez niego obyć?

Melville wyciągnął rękę.

– Potraktuj to jako pierwszy i ostatni dzień pracy naszego nowego działu public relations.

Roześmiał się głośno i odszedł na naradę ze starszyzną wioski. Wszyscy ściskali mu dłonie i obejmowali go serdecznie. Zupełnie jakby coś wisiało w powietrzu.

Mabbut wsiadł do land cruisera i usadowił się obok Kumara, który regulował wsteczne lusterko. Kumar był tutejszy. Miał długie, gęste włosy, niebrzydką kwadratową twarz i wyraziste rysy.

Melville wsiadł do pierwszego samochodu z Maheshem i Kineshem. Snopy świateł przeszyły ciemność, a auta ruszyły z łoskotem po twardej czerwonej glinie, mijając widmowe kępy eukaliptusów i drzew mahua. Na niebie pojawiły się pierwsze zapowiedzi wschodu słońca, a Mabbut zastanawiał się, jak inaczej mógł rozegrać tę sytuację i czy gdyby to zrobił, jechałby teraz z Melvillem.

Jakieś pół godziny później Mabbuta obudził trzask radiostacji. Kumar sięgnął po słuchawkę. Po krótkiej rozmowie kiwnął głową z zadowoleniem, rozłączył się i przyspieszył na częściowo wyasfaltowanej drodze. Mabbut spojrzał w lewo dokładnie w chwili, gdy samochód Melville'a odbił w bok na drogę gruntową i zniknął w lesie. Miał wrażenie, że Melville pomachał mu na pożegnanie.

– Dokąd pojechali?

Kumar puścił jego pytanie mimo uszu.

– Pan Melville powiedział, że jestem teraz pana przewodnikiem. Chce, żebym pokazał panu sporo rzeczy.

Kierowali się na północny zachód, wjeżdżając po delikatnie wznoszącym się terenie w głąb kraju. Mabbut dotąd nie zapuścił się tak daleko. Teren wyglądał na opustoszały. Na tle odległych wzgórz

na zachodzie rysowały się zwietrzałe skały i skarłowaciałe krzaki. Krajobraz wydawał się jednocześnie spokojny i złowrogi. Na szczycie wzniesienia Kumar pokazał Mabbutowi pozostałości po maszcie telefonii komórkowej, zniszczonym miesiąc wcześniej przez maoistów. Minęli posterunek policji ufortyfikowany tak mocno, że mógłby stać w strefie wojennej. Kilka mil dalej na szerokim pasie wykarczowanej ziemi leżały stosy betonowych podkładów kolejowych.

– Przygotowano je w oczekiwaniu na wydanie zgody na budowę torów do rafinerii – wyjaśnił Kumar. Później nieoczekiwanie zwolnił i, podekscytowany, wskazał jakiś punkt w oddali. – To mój dom.

Kilka mil przed nimi Mabbut dostrzegł we mgle rudobrunatny grzbiet górski. Niczym nie różnił się od pozostałych zalesionych wzniesień, które rozciągały się jedno za drugim jak okiem sięgnąć. Nieco dalej droga zwęziła się, a skarłowaciałe drzewka zagęściły się, tworząc zagajnik, który z kolei przeszedł w puszczę. Później wyjechali spomiędzy drzew na otwartą równinę i wreszcie dotarli do małego miasteczka przy skrzyżowaniu drogi z linią kolejową. Na końcu zatłoczonej głównej ulicy stał długi, wysoki mur, zwieńczony spiralami drutu kolczastego. Przez bramę Mabbut dostrzegł dobrze utrzymany kampus i szyld: „Uczelnia Rolnicza Wzgórz Masoka".

Zapytał, skąd zasieki w uczelni rolniczej. Kumar wyjaśnił, że jej powstanie sfinansowała firma Astramex, która ma wielu wrogów. Przejechali na drugą stronę miasta, skąd wciąż widać było mur wokół uczelni, by zatrzymać się na niewielkim osiedlu tradycyjnych niskich domków krytych strzechą, otoczonych mniejszymi budynkami z cegły i betonu pod blaszanymi dachami. Tu mieszkała rodzina Kumara. Mabbut poznał jego szczupłego ojca o twardym spojrzeniu, ciche i nieśmiałe siostry oraz troje dzieci, które chodziły za nim krok w krok, świetnie się przy tym bawiąc. Matka Kumara zmarła przy porodzie wiele lat temu, a jego ojciec miał teraz drugą żonę. Tego

dnia pracowała w polu, zbierając ryż. Rodzina była sympatyczna, a Kumar z dumą przedstawił im swojego nowego przyjaciela.

– Powiedziałem im, że kocha pan naszą ziemię – rzekł z uśmiechem.

Dawniej jego rodzice mieszkali na wzgórzach, ale później powstała droga i zaczęto je eksploatować przemysłowo. Wtedy przybyli misjonarze, którzy nawrócili jego plemię z animizmu na katolicyzm. W zamian za odmawianie „Zdrowaś Maryjo" lud miał teraz szkołę, elektryczność i nowe domy. Zdaniem Kumara, dopisało im szczęście: firmy górnicze nie interesowały się ich ziemią. Na razie.

Nadeszła najgorętsza pora dnia, więc Kumar zaproponował, żeby zostali do jutra z jego rodziną. Rano planował zabrać Mabbuta na wzgórza. Mieli odwiedzić wsie odległych plemion, najbardziej zagrożonych planami wydobycia. Kumar wyjaśnił, że to dłuższa wyprawa, więc trzeba będzie wcześnie wyruszyć.

Reszta dnia upłynęła Mabbutowi na spotkaniach z kolejnymi krewnymi nowego przewodnika, którzy tłumnie przychodzili z wizytą, by poznać cudzoziemca.

Późnym popołudniem spacerowali po wiosce. Mabbut podziwiał świeżo pomalowany budynek z blaszanym dachem, który pełnił podwójną funkcję – szkoły i kościoła. Poznał właściciela jedynego telewizora w miejscowości, co wieczór wystawianego przezeń w geście solidarności na środek głównej ulicy. Zwiedził nowe betonowe budynki i oddał koszule do uprania w stawie na tyłach domów. Mieszkańcy zachowywali się wyjątkowo przyjaźnie, ale Mabbutowi wioska Kumara wydała się smutnym miejscem. Miał wrażenie, jakby uszła z niej dusza. Ten zawstydzony chichot młodych, kiedy ich ojciec śpiewał tradycyjne pieśni, te T-shirty i dżinsy, w których chodziły dzieci – wszystko świadczyło o tym, że dawny sposób życia stracił tu rację bytu. Tymczasem Kumar najwyraźniej uznawał przemianę swojej wioski za dobre rozwiązanie, optymalną trzecią drogę między asymilacją a wyginięciem. Mógł

zaakceptować kontakt ze światem zewnętrznym, dopóki napędzała go religia, a nie konsumpcja. Wystarczyło jedno pokolenie, żeby zyskał możliwości, o jakich nawet nie marzył.

Gdy przy kolacji rozmawiali o spędzonym wspólnie dniu, Kumar zbeształ Mabbuta.

– Czemu pan tego wszystkiego nie zapisuje, panie dziennikarzu?

Mabbut poczuł się winny. Nie pisał, bo nie był już niczego pewien. Skoro Astramex proponował złe rozwiązanie, to jakie byłoby lepsze? Zostawić w spokoju ludzi, którzy nie chcą zmian? Zaoferować im pewne zmiany, ale niezbyt daleko idące? Czy nowoczesny świat rzeczywiście mógł – powinien – tolerować nieświadomość, nawet jeśli to błoga nieświadomość?

Mabbut zapewnił, że wszystko zapamiętał, a notatki zrobi później. Kiedy sprzątnięto po posiłku, a rodzina i przyjaciele Kumara zebrali się wokół niego w blasku lampy, Mabbut wyciągnął z torby notatnik i zaczął pisać.

Na twarzy Kumara pojawił się wyraz zawodu.

– Nie ma pan laptopa?

Nazajutrz wczesnym rankiem pojechali do miasta i zaparkowali przy dworcu.

– Dalej pójdziemy pieszo.

Kumar wyjaśnił Mabbutowi, że w wiosce, którą odwiedzą, samochody są niemile widziane, zwłaszcza jeśli siedzą w nich biali. Plemię Gyara, zamieszkujące te wzgórza, było praktycznie odcięte od świata zewnętrznego i najbardziej ze wszystkich zagrożone planami firmy wydobywczej. Jeśli Mabbut i Kumar chcieli się do niego dostać, musieli udać się tam pieszo, jak do równych sobie. Wieś oddalona była o dziesięć kilometrów.

Przeszli przez tory i zaczęli się wspinać przez łąkę porośniętą krzakami. Po drodze spotykali niewielkie grupki mężczyzn i kobiet, schodzących w dół. Ciemne włosy młodych dziewcząt ułożone były

w fale i zaczesane na zewnątrz, przez co przypominały czarne czepki. Kobiety nosiły liczne ozdoby: z fryzur wystawały im spinki, szpilki, grzebienie i małe nożyki do owoców, w uszach i nosach tkwiły mosiężne kółeczka, a cięższe, szersze kółka zwisały z rozciągniętych płatków uszu. Ich ramiona pokrywały misterne tatuaże. Szły owinięte kolorowymi sari i bawełnianymi szalami. Większość dźwigała na głowie ogromne plecione kosze, pełne różnych przedmiotów. Mabbut zauważył, że dwie z nich niosą również dzieci. Kobiety szły razem i gawędziły po drodze. Mężczyźni, ubrani w szorty i tanie koszule, nieśli siekiery i wiązki drewna. Kumar wyjaśnił, że wszyscy wybierają się na targ w miasteczku, żeby wymienić owoce i drewno na opał na suszone ryby, sól, olej, przyprawy, wino i tytoń.

Kumar powitał idących w ich dialekcie i przekazywał Mabbutowi wszystko, czego się od nich dowiedział: że ananasy obrodziły; że w pobliskiej wiosce składają w ofierze bawołu, a to oznacza mnóstwo koktajlu z soku z palmy sago; że w ostatnim tygodniu urodziło się troje dzieci.

Stopniowo mijało ich coraz mniej osób, a Mabbut i Kumar rzadziej się odzywali, bo droga zaczynała się robić bardziej stroma. Weszli w gęstszy las; upał wzmagał się mimo kojącego chłodu drzew i Mabbut często przystawał, by złapać oddech. Jego wysiłek został jednak wynagrodzony. Żadnego hałasu, żadnych samochodów, żadnych słupów wysokiego napięcia ani ogrodzeń. Otaczał go idealny, leśny świat. Przez korony drzew przebijały promienie słońca, oświetlając żółte motyle trzepoczące nad płytkimi strumykami. Na nielicznych polanach rosły banany, ananasy i dżakfruty. Gdzieniegdzie pasły się kozy i krowy.

Po prawie dwóch godzinach marszu odbili ostro w bok. Przed nimi, w miejscu, w którym zbocze przechodziło w równinę, leżała wioska, której szukali. Nie różniła się zbytnio od innych wsi plemiennych, które widział wcześniej Mabbut – była założona na planie prostokąta, a po obu stronach jej centralnego otwartego placu stały długie niskie

domy – ale tu, w głębi lasu, wysoko na wzgórzu, wydawała się całkowicie odizolowana. W miasteczku stare plemiona stanowiły margines narażony na wyzysk, ale teraz Mabbut znalazł się na terenie ludu Gyara. Ten świat należał do nich i tylko do nich. Tutaj to Mabbut musiał dostosować się do ich sposobu życia, a nie na odwrót.

Kumar też był pod wrażeniem tego widoku. Dość długo stał z szacunkiem na skraju lasu. Później zaczął powoli zmierzać w kierunku domów, pokazując Mabbutowi, żeby trzymał się blisko niego. Gdy tylko się ruszyli, ciszę przerwał głośny jazgot. Pół tuzina brązowych kundli puściło się pędem przez wieś i ustawiło między budynkami, blokując mężczyznom drogę. Mabbut, który nigdy nie czuł się komfortowo w sytuacji pies kontra człowiek, został z tyłu. Na Kumara pojawienie się kundli miało odwrotny wpływ: widząc szereg dyszących szczęk i merdających ogonów szeroko się uśmiechnął, jakby tylko czekał na takie zaproszenie.

Psy wciąż ujadały, bardziej dla zasady niż z przekonania, ale szybko się znudziły i odbiegły z powrotem na drugi koniec wioski. Spomiędzy domów wyłoniła się dumna czarna kura, za którą dreptały pisklęta. O stos drewna leżał oparty zakurzony rower. Na środku placu piętrzyła się starannie ułożona sterta kamieni. Mabbut wskazał ją palcem. Kumar skinął głową.

– To miejsce składania ofiar. W starych wsiach wciąż się to praktykuje. Składa się w ofierze krowę albo kozę i skrapia jej krwią pola, żeby stały się bardziej żyzne.

– W twojej wiosce też składacie ofiary?

Kumar uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem i pokręcił głową.

– Nie. Już nie.

W domach na pozór panował bezruch, ale gdy przechodzili obok nich, Kumar nawoływał cicho – od czasu do czasu Mabbut słyszał w odpowiedzi nieśmiałe pozdrowienie. Pod krytymi strzechą dachami dostrzegał coraz więcej wpatrzonych w siebie oczu; głównie kobiet

i dzieci, ukrytych przed żarem słońca. U wejścia jednego z domów w pozach kurtyzan leżały dwie młode dziewczyny, leniwie wsparte na łokciach. Miały na sobie odświętne stroje; spojrzenie Mabbuta odwzajemniły bez zażenowania. Nigdzie nie było widać żadnych mężczyzn, poza jednym starcem, który leżał samotnie w przedsionku swojej chaty. Jego szczupłym ciałem od czasu do czasu wstrząsał ostry, głęboki kaszel.

Panowała atmosfera bezwładu, chociaż złapawszy się na tej myśli, Mabbut zdał sobie sprawę, że to tylko jego interpretacja sytuacji, oparta niemal wyłącznie na fakcie, że nikt nie podchodził, by uścisnąć mu dłoń czy zaprosić na kawę i ciasteczka. Mieszkańcy wsi z całą pewnością nie byli apatyczni. Dzieci, z którymi rozmawiał Kumar, wyglądały na równie bystre i niesforne jak wszędzie indziej. Mała dziewczynka z trzema złotymi obrączkami w każdym uchu i kolczykiem w nosie z ciekawością przyglądała się Mabbutowi z kolan swojej mamy. Starsza, obwieszona sznurami paciorków i metalowymi naszyjnikami, wychyliła się, żeby odpędzić psy, zerkając na niego nieufnie.

Gdy Kumar rozdawał dzieciom słodycze, Mabbut zajrzał do jednego z domów. Zobaczył ściany koloru ochry, pokryte delikatnymi wzorami: kropkami, trójkątami i schematycznymi rysunkami postaci. Podobne znaki zdobiły gładko rzeźbione wejścia i belkowy sufit. Wszedł do środka. Było tam chłodno, ciemno i przytulnie. Kiedy przykucnął na klepisku, poczuł się przyjemnie osłonięty przed światem. Na zewnątrz cichły odgłosy szczekania, za to kaszel staruszka wyraźnie się nasilał. Najwidoczniej Mabbut spędził w tym pokoju dłuższą chwilę, bo kiedy wyszedł na zewnątrz, mrużąc oczy przed słońcem, zastał Kumara pochłoniętego rozmową z mężczyzną, którego wcześniej nie widział: potwornie chudym młodzieńcem o małej okrągłej twarzy i blisko osadzonych oczach o żarliwym spojrzeniu.

– Panie Keith! – zawołał Kumar. – Ten człowiek zabierze nas na szczyt wzgórza. Świętego wzgórza.

Mabbut pomyślał o dziesięciu kilometrach, które już dzieliły ich od samochodu. Był spocony i głodny i czuł boleśnie każdy mięsień, ale z oczu Kumara wyczytał, że nie ma wyboru. Skinął głową, sięgnął po wodę i wziął długi łyk. Zanim zakręcił butelkę, pozostała dwójka już wyruszyła. Mabbut założył plecak, a napotykając spojrzenie jednej z kobiet, uniósł wzrok ku niebu. Z zaskoczeniem odnotował, że się roześmiała.

Opuścili wioskę, mijając po drodze pomarańcze i bananowce oraz podniszczoną drewnianą ramę, na której suszono płaty mięsa. Psy zebrały dość sił, żeby obszczekać odchodzących, ale kiedy weszli między drzewa, wróciła cisza, a wraz z nią poczucie, że znaleźli się w świecie bezczasu, nieskalanym wpływem człowieka. Ścieżki, którymi szli, były niemal niewidoczne, a gdy zanurzyli się w jeszcze gęstsze zarośla, stało się jasne, że bez przewodnika szybko by się zgubili.

Po półgodzinnej wspinaczce chłopak się zatrzymał, wyciągając przed siebie dłoń. Kumar przystanął obok niego i również wskazał na ostatnie kilka metrów wzgórza, które wznosiło się stromo do wierzchołka. Odwrócił się i krzyknął do Mabbuta, którego puls niebezpiecznie przyspieszył.

– Od tego miejsca kopią!

Jego oburzenie odbiło się echem po lesie.

– To wszystko – uniósł ręce nad głowę i rozpostarł je gwałtownie, jakby odsłaniał kurtynę – zniknie!

Dopiero wtedy Mabbut zrozumiał grozę sytuacji: co by się wydarzyło, gdyby Astramex przyjechał tu po boksyt. Celowe usunięcie dziesięciu metrów wierzchołka tych ustronnych wzgórz wydawało się wprost niewyobrażalne. Przypomniał sobie drogę, którą tu przyszli, cofając się w myślach aż do sennej wioski oddalonej o dwie godziny drogi od cywilizacji, z jej ujadającymi

psami, kaszlącym starcem i dymem wznoszącym się ospale znad ognisk. Skala potencjalnych zniszczeń przyprawiła go o zawrót głowy.

Kumar ruszył za przewodnikiem na grzbiet wzgórza. Mabbut spojrzał w górę. Przed sobą zobaczył więcej drzew i przeświecające zza nich niebo. Wziął głęboki oddech i zaczął się wspinać ich śladem.

Kiedy wreszcie dotarł na szczyt, znalazł się na szerokim płaskowyżu. Powietrze było tu chłodniejsze, wiał lekki wiatr. Za nim aż po horyzont falowały brązowe i zielone wzniesienia. Oprócz nielicznych smug dymu, nie było widać żadnych śladów ludzkiego osadnictwa. Usłyszał wołanie Kumara i niechętnie poszedł dalej, torując sobie drogę między ciernistymi krzakami na drugą stronę wzgórza. Gdy dogonił towarzyszy, Kumar zwrócony ku zachodowi patrzył przez lornetkę. Po chwili podał ją Mabbutowi. Ale Mabbut nie potrzebował lornetki, żeby zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie góry.

W dolinie płożyła się okazała aglomeracja rafinerii Kowprah. Na naturalną geometrię Wzgórz Masoka składały się gładkie, zaokrąglone kształty, tymczasem rafineria była królestwem kątów i linii prostych. Gąszczem szarych lejowatych pieców hutniczych i kominów przypominała jakiś niezdarny pancernik z cumami z przewodów wysokiego napięcia. Kręte kontury pól ryżowych otaczały ją niczym toń jeziora. Kumar podniósł głos, żeby przekrzyczeć wiatr, wskazując na jedną stronę kompleksu, gdzie w popołudniowym słońcu lśniły dwa pasy wody.

– Ten mniejszy, widzi pan? To staw osadowy. Na popiół z elektrowni. Mnóstwo popiołu. Większy to staw czerwonego błota. Wodorotlenek sodu. Panie Keith, firma mówi: „Wycieków nie ma”, pan Melville mówi: „Wycieków jest mnóstwo. Do rzek i strumieni”. My mówimy: „Otruliście nas”. Oni mówią: „Słuchajcie, nikt nie chce tu niczego uprawiać, więc możemy przejąć jeszcze więcej ziemi na rafinerię”.

Rafineria sprawiała złowrogie wrażenie machiny dążącej do celu z niezłomną determinacją. Mabbut wiedział, jak ogromnie wysokich temperatur wymaga rafinacja aluminium. Miał świadomość, że takie piece hutnicze muszą działać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jaki to był wzór? Czternaście tysięcy kilowatogodzin i tysiąc czterysta ton wody na jedną tonę aluminium? W dole naliczył dwanaście pieców.

– Panie Keith, proszę spojrzeć!

Mabbut podążył wzrokiem za wyciągniętą ręką Kumara. Chłopak pokazywał las dźwigów i na wpół ukończone kapsuły pieców hutniczych, wyrastające tuż przy wzgórzu.

– Budują dalej, widzi pan? Wie pan, dlaczego? Bo uważają, że wkrótce przejmą te wzgórza. Widzi pan?

Mabbut widział doskonale. Z okolic rafinerii wił się ku górze nieużywany na razie przenośnik taśmowy w stalowych ramach. Znikał w lesie pod nimi, wycelowany prosto we Wzgórza Masoka jak język węża.

– Czy można ich powstrzymać? – odkrzyknął do Kumara.

– Wszyscy protestują, wszyscy płaczą. A potem dostają szkołę albo dom, albo telefon. Więc siedzą cicho. Tylko jeden człowiek stoi po naszej stronie, panie Keith! Tylko jego boi się teraz Astramex. Sam pan rozumie.

DZIEWIĘĆ

Nocny pociąg do Bhubaneswaru pokonał rozjazd na stacji Kindara i wjechał na tory prowadzące na południe, stopniowo nabierając prędkości. Składał się z dwudziestu wyblakłych zielonych wagonów. Przez każdy z nich biegły identyczne rzędy kuszetek, po trzy z każdej strony wąskiego przejścia. Większość pasażerów już spała albo przygotowywała się do snu. Od czasu do czasu dało się słyszeć płacz dziecka albo szmer rozmów między krewnymi, dzielącymi się ostatnią porcją prowiantu. Przy otwartym oknie na końcu przedostatniego wagonu stało dwóch całkowicie rozbudzonych ludzi. Keith Mabbut i Hamish Melville ramię w ramię chłonęli nocne powietrze. Melville dzierżył w dłoni elegancką piersiówkę pokrytą skórą, wypełnioną, jak wyjawił z dumą, najlepszą hinduską whisky. Raz na jakiś czas musieli przywierać do drzwi, żeby przepuścić otyłe damy w obszernych sari, udające się przed snem do toalety.

Minęły dwa dni, odkąd Mabbut i Kumar patrzyli ze szczytu Wzgórz Masoka na rozciągający się u ich stóp gigantyczny kompleks przemysłowy. Po długim, przygnębiającym powrocie w dół zbocza i przez wioskę, Mabbut przenocował w rodzinnym domu Kumara. Następnego dnia nie miał siły się ruszyć, siedział więc pod rozłożystym strączyńcem i strona za stroną zapełniał notatnik, czując się jak starożytny skryba, podczas gdy Kumar, nowoczesny tubylec, odbywał kolejne rozmowy przez telefon komórkowy. I w ten właśnie sposób Mabbut dowiedział się o wydarzeniu, które miało przejść do historii jako blokada Kowprah. Okazało się, że w noc po ich powrocie ze świętego wzgórza ogromna, dobrze zorganizowana grupa mężczyzn z plemion Masira Kidonga, Musa i Gyara wyłoniła się z lasu

i zajęła drogę przed fabryką Astramexu dokładnie w momencie, gdy trzy potężne turbiny, dzięki którym produkcja w rafinerii miała dwukrotnie wzrosnąć, dotarły do bram zakładu. Przed zbliżającymi się ciężarówkami usiadło tysiąc ludzi, blokując im drogę i zmuszając je do odwrotu. W tej samej chwili cały teren zalało ostre światło, a kamery zaczęły rejestrować wydarzenia. Ochrona Astramexu była kompletnie zaskoczona, a jej zarzuty o agresywnej i nielegalnej akcji protestacyjnej odparto dzięki sprawnie i profesjonalnie nakręconej relacji, zamieszczonej kilka minut później w internecie. Była to największa mobilizacja ludności autochtonicznej w historii Indii.

– I nikt nie wie, że za tym stoisz?

Melville wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Tylko ci, którzy mają wiedzieć.

– Ale pomysł wyszedł od ciebie?

– W zasadzie twórcą tej metody był Gandhi. My ją tylko unowocześniliśmy.

Mabbut i Melville spotkali się na stacji Kindara. Mabbuta przywiózł Kumar, a Melville'a – Kinesh. Nastąpiły wzruszające powitania i równie wzruszające pożegnania. Melville ściskał chłopców niczym obłąkany dziadek. Nawet Mabbut, zanim wsiadł do wagonu, został serdecznie objęty przez Kumara.

Gdy pociąg wyjechał z długiego zakrętu i zaczął nabierać prędkości, podmuch zimnego powietrza rozwiał grzywę siwych włosów Melville'a, upodabniając go do Mojżesza na chwilę przed rozstąpieniem się wód Morza Czerwonego. Podał piersiówkę Mabbutowi.

– Spróbuj.

Mabbut, upiwszy łyk, skrzywił się.

– Niezła.

– Whisky amrut. Destylowana w Bangalore. Teraz można ją dostać w Nowym Jorku.

Roześmiał się.

– Pomoże ci zasnąć. A uwierz mi, w tym pociągu trzeba sobie w tym pomóc.

Mabbut pociągnął jeszcze raz z piersiówki i oddał ją Melville'owi. Na usta cisnęło mu się mnóstwo pytań.

– Ci wszyscy ludzie, których zorganizowałeś. Plemiona, które nie kontaktują się nawet ze sobą nawzajem, a co dopiero z resztą świata…

– Kumar należy do plemienia Masira. Jego rodzina pochodzi z tych wzgórz. Dawniej rąbali drewno i szli dziesięć kilometrów, żeby je sprzedać na węgiel drzewny. Przed przyjazdem misjonarzy nie widzieli białego człowieka na oczy. Kumar wychował się na samym dole łańcucha pokarmowego. Spędziłeś z nim trochę czasu… Powiedz mi, czy jest coś, w czym ci nie dorównuje? W sprzyjających okolicznościach można osiągnąć wszystko, czego się pragnie.

Pociąg pędził teraz naprzód, kołysząc się niepokojąco. Z torów pod nimi sypnęły w noc iskry. Melville przymknął okno, zostawiając tylko wąski pasek.

– Więc jednak muszą się zmienić? – zapytał Mabbut, chwytając klamkę dla zachowania równowagi. – Plemię Masira, plemię Gyara i wszyscy inni, którzy mieszkają na wzgórzach? Nawet jeśli chodzi tylko o to, żeby pomóc im zwalczać zmiany?

Melville wziął długi łyk i przez chwilę milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Ujmę to w ten sposób. To nie ich wina, że mieszkają na tych wszystkich złożach, ale tak właśnie jest, a ci, którzy próbują położyć na nich łapę, nigdy się nie poddadzą. Przynajmniej dopóki ty i ja chcemy korzystać z telefonów, komputerów, samochodów, pociągów i samolotów. Więc owszem, muszą się zmienić, choćby po to, żeby zrozumieć, co się wokół nich dzieje i jakoś sobie z tym poradzić.

– Ta wieś, którą pokazał mi Kumar… U stóp świętego wzgórza…

Melville skinął głową.

– Nakya Marund.

– Jakbym znalazł się w innym świecie. Inne tempo życia. Zupełnie inne wartości. Nie byłem w stanie ocenić, czy jej mieszkańcy są szczęśliwi, czy nieszczęśliwi, ale wydawali się zadowoleni. Żyją w tym lesie od tysiąca lat, nie szkodząc ludziom ani planecie, o ile mogłem się zorientować. Czy nie powinniśmy się od nich uczyć, zamiast ich zmieniać?

– Wybacz, Keith, ale brzmisz jak ktoś, kto właśnie zbudził się z długiego snu. W takich miejscach, z takimi ludźmi jak Gyara, pracuję od wyjazdu z City. To już trzydzieści pięć lat. Problem jest zawsze ten sam. Cywilizacja sięga coraz dalej, to nieuniknione. I bardzo trudno się jej oprzeć. Jeśli zaś chodzi o Kumara… To oczywiście nie jest jego prawdziwie imię.

– Nie?

Melville pokręcił głową.

– Miał sporo kłopotów. Był trochę porywczy, dopóki się nim nie zająłem. Ale w przypadku Kumara misjonarze dotarli do wioski przed buldożerami, więc teraz jego plemię ma lepsze perspektywy. Ludzie żyjący u stóp wzgórza nie muszą odmawiać zdrowasiek ani mieszkać przy drodze oblężonej przez ciężarówki, ale mają niewiele możliwości. Jeśli jakiś minister w Delhi wyda zgodę na kopalnię odkrywkową Astramexu, to zostaną im dwie opcje. Albo przeniosą się na teren wyznaczony przez rząd, albo pewnego ranka obudzą ich okrzyki robotników, trzask karczowanych drzew, płacz dzieci i warkot buldożerów, rozrywających ich święte wzgórze na strzępy.

Mabbut otworzył usta, ale Melville uniósł dłoń.

– Nie musisz nic mówić. To niemoralne. Każdy, kto tu przyjeżdża, każdy, kto pierwszy raz o tym słyszy, mówi, że to niemoralne. Niestety, plemieniu Gyara to nie pomaga. Nie znają słowa „niemoralne”. Nie mają bloga ani strony na Facebooku. W najgorszym razie zrobią to, co się im każe. Są bezsilni.

Oddał piersiówkę Mabbutowi, który jednak nie podniósł jej do ust.

– Myślałem, że po to tu jesteś. Żeby ratować takich ludzi.

– Keith, jesteś taki sam jak wszyscy, którym te sprawy „leżą na sercu”. Przechodzisz od oburzenia do rozpaczy na jednym oddechu. Bezsilnym można pomóc, dając im siłę. I to właśnie robimy. O to chodziło wczoraj w nocy. W Astramexie mają do dyspozycji ogromne środki, potężne fundusze i międzynarodową machinę PR. Nie mają jednak kultury tych górskich plemion. Zapomnieli, że przodkowie tych ludzi wiele razy walczyli z podobnymi bydlakami. Przepędzili brytyjskich kolonialistów i hinduskich uzurpatorów. Niezależność mają w genach.

Pociągiem gwałtownie szarpnęło, a Mabbut poleciał do przodu. Światła zgasły i zapaliły się ponownie. Melville sprawiał wrażenie, jakby tego nie zauważył.

– To pierwsze, czym możemy się posłużyć. Wprawdzie plemiona Gyara i Masira nie chcą koegzystować w bliskim sąsiedztwie, ale nie godzą się na to, by wzgórza zajął ktokolwiek inny. To też jest siła, którą możemy wykorzystać. Moi ludzie, tacy jak Kinesh i Mahesh, rozumieją to instynktownie i w ten sposób mobilizują innych. Kolejne, o czym trzeba pamiętać, to że *adivasi* musieli być zaradni, żeby przetrwać tak długo. Oni nie są głupi. Tak jak Kumar – szybko się uczą. To daje im przewagę w kontaktach z ludźmi, którzy ich lekceważą, bo nie skończyli studiów. Niech myślą, że lokalne plemiona są głupie. To też możemy wykorzystać.

Pociąg ostro zahamował, chybocząc się na torach. Mabbut znów stracił równowagę i wpadł na towarzysza.

– Myślisz, że mogą jeszcze wygrać? – zapytał, wracając na swoje miejsce.

– W tym scenariuszu nikt nie wygrywa. Ale według mnie istnieje realna szansa na ograniczenie zniszczeń. I realna szansa na ocalenie ich ziemi. A nie zapominaj, że jeden sukces daje wiarę rzeszom ludzi. To efekt domina. Ale czy mogą dalej żyć odcięci od świata? Przykro mi to mówić, ale nie, Keith.

Pociąg zatrzymał się. Mabbut zobaczył czerwone światło i z daleka usłyszał szum innego silnika. Melville wyprostował się, wyciągając ręce nad głowę, tak by dotknęły sufitu wagonu. Ziewnął przeciągle i pokręcił głową na boki. Z jakiegoś powodu Mabbutowi stanął przed oczami obraz lwa po zabiciu ofiary.

– A teraz chyba pora spać.

Mabbut nie był zmęczony. Za dużo obrazów miał przed oczami. Indie. Dzieci w zagrożonej wiosce. Wpatrzone w niego dziewczęta. Śpiew ojca Kumara. Ogniska w lesie, psy, zbiry z ochrony w samochodach terenowych. Nie spodziewał się, że będzie to wszystko tak mocno przeżywał. Jego refleksje przerwał okrzyk z torów. Światło zmieniło się na żółte, a pociąg zaczął artretycznie sunąć naprzód. Kiedy przyspieszył, trzaski i piski przerodziły się w kojący, rytmiczny stukot. Mabbut opuścił szybę i zobaczył, że przejeżdżają przez most. Szeroka rzeka lśniła poniżej w świetle księżyca.

Rozpierała go radość, że znalazł Melville'a. Miał świadomość, że został potraktowany wyjątkowo, ale jako dobry dziennikarz nie mógł na tym poprzestać. Musiał dowiedzieć się więcej o tym człowieku. O jego planach na przyszłość. O jego zwolennikach i nieograniczonych – jak się zdawało – funduszach. O tym, w jaki sposób tak szybko i dyskretnie przemieszcza się po całym świecie. Pociąg toczył się przez noc, a Mabbut uświadomił sobie, że chociaż w biografii Melville'a wiele spraw pozostało niewyjaśnionych, jedno nie ulegało wątpliwości. To, co zobaczył na Wzgórzach Masoka, wzbudziło w Mabbucie oburzenie, chociaż sądził, że dawno już z tego wyrósł. Chałtury, które ostatnio uprawiał, stępiły jego wrażliwość. Poszedł na kompromis. A teraz miał szansę odnaleźć w sobie tę złość, która kiedyś napędzała go do działania. Niezależnie od decyzji Melville'a w sprawie książki Mabbut czuł, że ma obowiązek zarejestrować to, czego był świadkiem. Wyciągnął notatnik, oparł się o drzwi i zaczął spisywać wszystko, co zapamiętał.

Minęła co najmniej godzina, zanim wreszcie poszedł się położyć. Na kuszetce nad nim leżał rozparty Hamish Melville. Ciężki, ciemnoszary koc pociągowy nie zakrywał nawet w połowie jego wydłużonej, szczupłej sylwetki. Był pogrążony we śnie.

Rano pociąg miał już ponad godzinę opóźnienia. Pasażerowie, wśród których było wiele rodzin z małymi dziećmi, umyli się, posłali łóżka i raczyli się herbatą z termosu stanowiącego jedyny catering w pociągu, z rezygnacją witając kolejny dzień, który nie przebiega zgodnie z planem.

Melville wstał wcześnie. Udało mu się zlokalizować jedyny prowiant w pociągu: dwie paczki krakersów, z których jedną rzucił na łóżko Mabbuta. Później oddalił się na koniec przedziału, by „wykonać kilka telefonów". Mabbut zdążył się już przyzwyczaić do tych zmian osobowości: nocą wesoły kompan, rano człowiek czynu. Musiał tylko cierpliwie czekać w nadziei, że zanim wyjedzie z Indii, zdarzy się jeszcze kilka takich wieczorów.

Dopiero kiedy razem z Melvillem znaleźli się na neutralnym terytorium zatłoczonego dworca w Bhubaneswarze, Mabbut zrozumiał, że to on będzie musiał poruszyć temat kolejnego spotkania.

– Wracasz do Farhan? – zapytał, gdy równym tempem przemierzali długi peron.

Melville zerknął na Mabbuta z ukosa.

– Nie odpuścisz, prawda?

Teraz albo nigdy.

– To zależy od ciebie. Jestem ci wdzięczny, że mogłem zobaczyć to, co widziałem. Zebrałem dość materiału, żeby napisać o tobie książkę. Nie zrobię nic bez twojej zgody, ale jeśli mam być szczery, uważam, że to mogłaby być świetna biografia. Zwłaszcza gdybyś zgodził się jeszcze ze mną porozmawiać.

Melville nie odpowiedział. Patrzył przed siebie, taksując wzrokiem tłum na końcu peronu.

W końcu odwrócił się do Mabbuta.

– Słuchaj, muszę się zobaczyć z kilkoma osobami. Może spotkamy się na kolacji? Będziesz mógł mnie wtedy pytać, o co zechcesz.

Mabbut musiał się powstrzymać, żeby go nie uściskać.

– Wpół do ósmej w Pearl Room? Wszyscy znają to miejsce.

Podali sobie dłonie.

– Do zobaczenia.

Mabbutowi wydało się, że widzi gdzieś przed nimi uniesioną rękę, a Melville zaskakująco zwinnie przecisnął się przez nadchodzący tłum i wyszedł bocznym wyjściem w olśniewającą jasność.

Jeszcze z pociągu Mabbut zadzwonił do Faruda, któremu wyraźnie ulżyło – ostatnim razem swojego klienta widział w wiosce opanowanej przez maoistów. Ponownie zarezerwował Mabbutowi pokój w hotelu Garden i to właśnie tam Mabbut zjadł późne śniadanie, wziął długi prysznic i ogolił się niespiesznie, a potem zebrał swoje brudne ubrania i oddał je do pralni hotelowej. Przez całe długie, leniwe popołudnie stopniowo przestawiał się na świat, który zostawił za sobą tego dnia, gdy postanowił odwiedzić pensjonat Farhan. Porozmawiał z Jay, zostawił wiadomość dla Sama i Krystyny i obiecał w ciągu kilku kolejnych dni zwiedzić z Farudem pół tuzina świątyń, „których nie można przegapić". Z cieniem samozadowolenia wykręcił numer Rona Lathama. Nie zdradził mu, co się dokładnie wydarzyło, ale czuł, że Latham był pod wrażeniem. Inicjatywa nie należała już tylko do Urgent Books.

Mabbut uzupełnił notatki i zdrzemnął się, a później, chcąc niejako przypieczętować swój powrót do cywilizowanego świata, włączył kanał CNN News. Oglądał nieuważnie, gdy nagle jego wzrok przyciągnął pasek na dole ekranu z napisem „z ostatniej chwili". Nie zdążył przeczytać interesującej go wiadomości za pierwszym razem,

dlatego musiał przeczekać dane o bezrobociu i zyskach banków, doniesienia o niewielkim trzęsieniu ziemi i wynik meczu krykieta, zanim znów wyświetliła się na ekranie. A teraz czarne litery przesuwały się na pasku: „Blokada Kowprah: sędzia wydaje kopalni boksytu zakaz wydobycia”.

Mabbut wybrał z szafy czystą, świeżo wyprasowaną koszulę, ubrał się i wsunął do kieszeni spodni dyktafon. Sprawdziwszy ostatni raz godzinę, wszedł do windy i zjechał do recepcji.

– Restauracja Pearl Room?

Szczupły, nienagannie ubrany młody mężczyzna podniósł wzrok znad ekranu.

– Doskonały wybór, sir. Czy mam dokonać rezerwacji?

Mabbut uśmiechnął się uprzejmie.

– Nie trzeba. Ktoś na mnie czeka.

DZIESIĘĆ

– Ogromnie mi przykro, panie Mabbut, ale pan Melville musiał lecieć do Delhi. Kazał pana przeprosić w jego imieniu.

Już w drodze do restauracji zorientował się, że coś jest nie tak. Przede wszystkim Pearl Room wyglądała na miejsce, którego Melville zazwyczaj unikałby jak ognia. Wytworny i prestiżowy lokal znajdował się w hotelu należącym do luksusowej sieci. Ochrona przeprowadziła drobiazgowe oględziny silnika i wnętrza jego taksówki, zanim jeszcze dojechał przed wejście. Ogromny biały mercedes przed nim wypluł z siebie grupkę kobiet w łopocących jedwabnych sari. Nie przerywając rozmowy, panie przeszły przez drzwi, otwarte przez dystyngowanego Sikha w turbanie i z wypomadowanymi wąsami. To były Indie korporacyjne. Wszyscy mieli na sobie marynarki i krawaty. Mabbuta poprowadzono do dwuosobowego stolika, przy którym powitała go ciepło atrakcyjna, nieco pulchna Malajka.

– Nazywam się Wendy Lu. Pracuję dla Hamisha. Mam zadbać, żeby pan dostał wszystko, czego pan potrzebuje.

Była niska, w średnim wieku i miała przyjemny, matczyny sposób bycia, ale Mabbut nie potrafił ukryć rozczarowania, a ona najwyraźniej to zauważyła. Wskazała mu miejsce naprzeciw siebie.

– Powiedział, że ciężko pan pracował i zasługuje pan na najlepszy posiłek w Bhubaneswarze.

Rozejrzała się po sali.

– A ten lokal nie ma sobie równych, proszę mi wierzyć. Niektórzy twierdzą, że to najlepsza restauracja na całym wschodnim wybrzeżu.

Mabbut otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ona trajkotała dalej.

– Tutejsza specjalność to owoce morza. Mam nadzieję, że lubi pan owoce morza, panie Mabbut. Drinka na początek? Może ma pan ochotę na dżin z tonikiem?

Zaśmiała się uroczo, pokazując napełnioną do połowy szklaneczkę przed sobą.

– Mój ulubiony drink.

– Kiedy wróci?

Przywołała kelnera z kartą win.

– Wezmę jeszcze raz to samo, Minoo, a potem basta, i masz mi powiedzieć, że basta. – Pogroziła mu kokieteryjnie palcem. – A dla mojego towarzysza…

– Poproszę… kieliszek szampana. Bangalore?

Kelner w podeszłym wieku skłonił się uprzejmie.

– Nie podajemy hinduskiego szampana, sir.

Wendy Lu postanowiła interweniować.

– Kieliszek najlepszego francuskiego szampana, Minoo.

– Oczywiście, panno Lu. Z przyjemnością.

Mabbut chciał okazać niezadowolenie z powodu nieobecności Melville'a, ale patrząc w migdałowe oczy Wendy Lu i na jej zalotny uśmiech szybko zapomniał o jakichkolwiek pretensjach.

– Zna się pan na hinduskich winach, panie Mabbut?

– Pan Melville dał mi kilka wskazówek.

– Oczywiście. Tydzień w terenie z Hamishem to prawdziwa szkoła. Pod wieloma względami.

– Musi być dziś bardzo szczęśliwy.

– Wszyscy jesteśmy w siódmym niebie! – zawołała z entuzjazmem, a potem rozejrzała się po sali i zniżyła głos. – Udało nam się pokrzyżować plany Astramexu, panie Mabbut. Pierwszy raz.

Mabbut podążył za jej spojrzeniem. Pozostali goście restauracji nie wyglądali na ludzi, którzy świętowaliby blokadę Kowprah. Większość stanowili zamożni Hindusi, gdzieniegdzie połyskiwały też białe i różowe twarze. Po całej sali niósł się gromki głos z australijskim

akcentem, a przy stoliku obok dwaj bardzo otyli Amerykanie, obaj w kowbojskich krawatach, górowali nad hinduskimi towarzyszami. Mabbut zastanawiał się, co ich sprowadzało do Bhubaneswaru. I czy on już ich gdzieś nie widział?

Panna Lu przechyliła się przez stół i powiedziała półgłosem:

– Prywatne firmy ochroniarskie.

– Aha.

– Spróbują obarczyć maoistów winą za Kowprah, ale to im się nie uda. Maoiści nie zorganizowaliby niczego na tak dużą skalę.

Przed nim na stoliku pojawił się kieliszek szampana. Mabbut poczuł się lepiej. Wprawdzie był w obozie wroga, ale tym słodsze wydawało mu się zwycięstwo. Uniósł kieliszek.

– Mam wrażenie, że powinniśmy wypić zdrowie Hamisha.

– Rzeczywiście.

Stuknęli się kieliszkami i uśmiechnęli do siebie. Mabbut pomyślał, że świetnie się dogadują. Jak starzy przyjaciele. Czy to kolejny dowód na umiejętności interpersonalne Melville'a?

– No dobrze. To kiedy wraca? – zapytał.

Wendy Lu zagrzechotała kostkami lodu w szklance, zanim spojrzała mu w oczy.

– On nie wróci, panie Mabbut. – Sięgnęła do torby leżącej na krześle obok. – Ale prosił, żeby przekazać panu to.

Spod krawędzi rolety przeświecało bladoszare światło. Mabbut uniósł ją delikatnie i wyjrzał na zewnątrz. Niewiele było tam do oglądania, tylko niebo i pierwsza zapowiedź poranka. Zasunął okno i zerknął na ekran. Do celu podróży pozostały trzy godziny i dziesięć minut. Najbliższe miasto – Mińsk. Wcześniej udało mu się zdrzemnąć, ale teraz był w pełni rozbudzony – i poirytowany tym faktem. W torbie pod nogami wymacał paczkę, którą dostał od panny Lu. Kolejny raz wyciągnął z niej małą białą kopertę i rozłożył wsunięty do środka list.

Zapisana ręcznie kartka opatrzona była nagłówkiem „Biuro Spraw Zagranicznych oraz Wspólnoty, Whitehall”. Przekreślonym.

Keithie,

wybacz ten rażący brak dobrych manier, ale wyrok w sprawie Astramexu, choć bardzo nas wszystkich ucieszył, jest jedynie rozwiązaniem tymczasowym, a ja chcę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby zakaz obowiązywał na stałe. A w tym celu muszę upomnieć się o wiele przysług i złożyć wiele wizyt. Chciałbym, żeby było inaczej. Chciałbym mieć miejsce, do którego wracam każdego dnia, ale uwierz mi, ta praca nigdy się nie kończy, a jeśli chcę utrzymać przewagę, muszę żyć na walizkach.

Muszę też usunąć się w cień. Chyba którejś nocy wspominałem Ci przy ognisku, że w chwili, gdy to ja znajdę się na pierwszym planie, moja praca, nie tylko tu w Indiach, ale we wszystkich krajach zagrożonych przez Astramexy tego świata, stanie się znacznie trudniejsza.

Przejdę teraz do rzeczy.

Przez wiele lat odmawiałem wszystkim, którzy chcieli poznać historię Melville’a, i nie żałuję tego. Pewnego dnia moje życie będzie świadczyło samo za siebie, a zostało jeszcze tyle do zrobienia, że nie mam czasu nostalgizować. (Czy istnieje takie słowo? Powinno!) Z drugiej strony, zdaję sobie sprawę, że zainteresowanie opinii publicznej jest większe niż kiedykolwiek – Wendy może Ci powiedzieć, ile telewizji dobija się co roku do naszych drzwi – ale ja znam się na tych sprawach i wiem, że jeśli nie zagrasz w tę grę, podziw stopniowo przerodzi się w podejrzenia, a podejrzenia – w insynuacje.

Krótko mówiąc, uważam, że przyszedł czas na atak wyprzedzający, który mógłby wyglądać tak: Ty dostajesz swoją książkę. Ja współpracuję wyłącznie z Tobą i w ten sposób pozbywam się całej reszty pismaków, węszących za sensacją. Razem możemy wykorzystać tę książkę do tego, żeby opowiedzieć o mojej pracy – obaj wiemy, że jest ważniejsza niż moje życie. Mogę podać Ci namiary na najbliższe mi osoby i zapewnić je, że jesteś godny zaufania. Wendy przekaże Ci informacje o kampaniach, w które się angażujemy. Załączyłem też czysto faktograficzny życiorys, obejmujący różne osobiste wydarzenia, czego na pewno będzie oczekiwał pan Latham.

Proszę tylko o to, żebyś pozwolił mi dalej działać i nie angażował mnie w żaden sposób w zbieranie materiałów do książki ani jakiekolwiek wywiady.

W naszych kontaktach będzie pośredniczyć Wendy, która przekaże mi najważniejsze pytania i inne kwestie.

W pełni zrozumiem, jeśli się na to nie zdecydujesz, ale obawiam się, że to wszystko, co mogę Ci zaproponować, żeby pozostać w zgodzie z własnym sumieniem. Często rozmawialiśmy o naszych poglądach na świat i czuję, że pod wieloma względami myślimy tak samo. Wybacz, jeśli się mylę, ale odnoszę wrażenie, że obaj pragniemy sprawiedliwości i prawdy, identyfikujemy się raczej ze słabszymi niż z silniejszymi i uważamy, że – jak powiedział kiedyś pewien mędrzec – „nie ma lepszych i gorszych kultur, są tylko kultury, które zaspokajają potrzeby swoich członków na inne sposoby".

Ta zasada wydaje się oczywista, a mimo to nigdzie się jej nie respektuje, bo każde państwo i każda religia usiłuje uzyskać korzyści kosztem innych.

Jak widzisz, Keith, obie strony ponoszą ryzyko. Ty musisz zaufać mnie, a ja Tobie. Przesadą byłoby twierdzić, że razem możemy uczynić świat lepszym miejscem, ale może udałoby nam się odrobinę poszerzyć horyzonty naszych bliźnich.

Jestem pewny, że kiedyś się jeszcze spotkamy, ale dopóki nie skończysz pracować nad książką, nie będę się z Tobą kontaktował. Tak będzie lepiej. Możemy być przyjaciółmi, ale lepiej dla nas obu, żeby świat zewnętrzny o tym nie wiedział.

Zatem żegnaj. I powodzenia. Niezależnie od twojej decyzji, dobrze wspominam spędzony razem czas. A jeśli wszystko inne zawiedzie, przydasz nam się tutaj. Pensja wynosi zero, ale satysfakcja z pracy gwarantowana!

Twój przyjaciel,
Hamish M.

Mabbut nie miał najmniejszych wątpliwości, że może napisać tę książkę. Książkę o wyjątkowym człowieku, jego niezwykłych osiągnięciach, ale i niezwykłej skromności. Melville'owi nie zależało na sławie. Mabbut zapragnął pokazać wszystkim, że ta niemodna postawa jest godna nie tylko pochwały, lecz także naśladowania. To będzie poradnik, jak naprawiać świat, jak go zmieniać, zaczynając od własnego podwórka, jak być moralnym, nie będąc moralistą. Poczuł taki przypływ zapału, że od razu wydobył notatnik i zaczął pisać

pierwsze zdania. Przerwał na chwilę, żeby sprawdzić mapę lotu. Zbliżali się do Warszawy.

Część III

*

Cała reszta

JEDEN

Datę oddania maszynopisu ustalono na koniec kwietnia, co dawało Mabbutowi prawie dokładnie sześć miesięcy na napisanie tekstu, który Ron Latham postanowił zatytułować *Melville. Prawdziwe życie legendy*. Motywacją do pracy było obiecane sześćdziesiąt tysięcy funtów przy dostarczeniu maszynopisu i kolejne sześćdziesiąt, jeśli zostanie opublikowany. Nie licząc sześćdziesięciu tysięcy, które Silla zapewniła mu przy podpisaniu umowy; większość z tej sumy poszła i tak na spłacenie długów z ostatnich kilku lat. Mabbut nigdy nie szastał pieniędzmi, więc perspektywa swobody finansowej była dla niego nie tylko przyjemna, ale wręcz zdumiewająca. Z pewnością poprawiła mu nastrój, kiedy usiadł do laptopa i pierwszy raz wstukał tytuł. Pomogła też złagodzić wyrzuty sumienia, gdy chował do pudełka kartki z *Albaną*, a potem wstawiał je do szafy w sypialni, w której dawniej Krystyna trzymała sukienki.

Chociaż spotkanie z Melvillem było dla Keitha Mabbuta czymś w rodzaju objawienia, wiedział, że jest winny bohaterowi swojej książki obiektywizm. Nie mógł go idealizować ani robić z niego świętego. Dla przypomnienia przypiął nad biurkiem zdjęcie Matki Teresy i przekreślił je grubą czerwoną kreską.

Zaczął od przepisania notatek z Indii, bo wokół nich zamierzał osnuć całą książkę. To była żyła złota. Wydarzenia, o których wiedział tylko on i o których tylko on mógł opowiedzieć. Planował uzupełnić je obrazami z przeszłości Melville'a. W kolejnych tygodniach rozmowy z osobami, do których Melville przekazał mu kontakt, umacniały go w przekonaniu, że obrał właściwą drogę. Wprawdzie wspomnienia i anegdoty były interesujące, ale nie

ukazywały osobowości Melville'a tak jak informacje, które wydobył z niego podczas dziesięciu dni w Indiach.

Miles Cardish, przyjaciel Melville'a ze szkoły, sypał uroczymi dykteryjkami o tym, jak obaj często wpadali w kłopoty przez zamiłowanie Hamisha do kawałów. Nocniki na masztach, składające się rowery, klej na lasce. Cardish i jego niedomagająca żona byli bardzo zaskoczeni, że ów recydywista teraz „ratuje świat". I nie, nie utrzymywali z nim częstych kontaktów.

Za to przyjaciele rodziny w hrabstwie Cumberland nie wydawali się zdziwieni tym, na kogo wyrósł młody Hamish. Przypomnieli Mabbutowi, że rodzice Melville'a należeli do Towarzystwa Humanistycznego, a on sam dorastał w żarliwie niereligijnym domu. Jedynym istotnym kontaktem okazał się niejaki Charley Murray, przyjaciel Melville'a z czasów studenckich, siedemdziesięcioletni kawaler, który rezydował wraz ze swoją kolekcją sztuki erotycznej w mieszkaniu na czwartym piętrze niedaleko Albert Hall. Rozmawiali przy herbacie, gdy pierwszy śnieg tej zimy malował na biało Kensington Gardens. Charley był wspaniałym rozmówcą, prawdziwym gawędziarzem z mnóstwem wnikliwych obserwacji. Mabbut spędził wiele zimowych wieczorów, słuchając nagrania z tamtej rozmowy i kreując w wyobraźni obraz młodego Hamisha Melville'a.

Znałem go chyba tak, jak każdy, czyli niezbyt dobrze. Hamish zawsze był samotnikiem. Na studiach mieliśmy dużo zajęć sportowych. Był świetnym lekkoatletą i wspaniale grał w krykieta. Mógł występować w reprezentacji hrabstwa, ale gdy tylko coś opanował, natychmiast to rzucał. Próbował się dostać do Biura Spraw Zagranicznych, ale nie udało mu się, więc obaj wybraliśmy bankowość. Przez jakiś czas pracował w Cazenove. Bardzo dobrze sobie radził. Umiał podtrzymać kontakt z odpowiednimi klientami. Zazwyczaj byli to cudzoziemcy. Spędzał z nimi czas. Większość jego kolegów przesiadywała w Londynie na niekończących się lunchach, a on jeździł do Nikaragui albo Suazi odwiedzić swoich klientów. Wydaje mi się, że lepiej się

czuł za granicą. I w lot chwytał nowe języki. Zawsze mówił, że aby posługiwać się płynnie jakimś językiem, wystarczy znać pięćset słów. Pewnie od tego wszystko się zaczęło. Kiedyś mi powiedział, że chciałby być żołnierzem, pod warunkiem że nie musiałby nikogo zabijać. Myślę, że podziwiał wojskowe wyszkolenie i dyscyplinę. Niezwykły człowiek. Robi to, co powinniśmy wszyscy, czyż nie?

*

To Murray opowiedział Mabbutowi historię krótkiego, tragicznego małżeństwa Melville'a z południowoafrykańską dziedziczką Zeną Carlsson. Poznali się w Kenii. Była bardzo piękna, ale miała wybuchowy temperament. Słynęli z żywiołowych kłótni i sprzeczek. Byli razem zaledwie od dwóch lat, gdy zginęła w katastrofie lotniczej na granicy między Kenią a Tanzanią, usiłując sfotografować migrację antylop gnu.

Wrócił na jakiś czas do domu i usiłował żyć jak dawniej, ale nigdy nie mógł wytrzymać zbyt długo w jednym miejscu. Potem, w odstępie kilku lat, zmarli jego rodzice. Nic go już nie trzymało – mógł zostać międzynarodowym guru. Sęk w tym, że Hamish mógłby robić, co tylko sobie zamarzy, w dowolnym miejscu na ziemi. Miał niesamowite kontakty, ale zawsze nienawidził establishmentu. Właśnie w tym rzecz.

Mabbut spędził sporo czasu w rozmaitych bibliotekach i towarzystwach naukowych, takich jak Naukowe Towarzystwo Azjatyckie, Naukowe Towarzystwo Ameryki Południowej i Królewskie Towarzystwo Geograficzne, żeby poznać świat, w którym Melville tak świetnie się poruszał. Regularnie odwiedzał portale internetowe związane z ochroną środowiska. Korzystał też z pomocy Wendy Lu, która sprawdzała i potwierdzała wszystkie fakty i dostarczała mu danych.

Niektóre kwestie pozostawały niejasne. Poza historią krótkiego, burzliwego małżeństwa z Zeną Carlsson, Mabbut znalazł zaskakująco mało śladów obecności kobiet w życiu Melville'a. Charley Murray sugerował wprawdzie, że Hamish wykazywał zdrowe zainteresowanie płcią przeciwną, ale nie powiedział nic więcej. Kiedyś krążyły ponoć plotki o jego romansie z pewną damą z rodziny królewskiej, ale ten ślad zaprowadził donikąd.

Równie trudno było sprawdzić, w jaki sposób Melville finansuje swoje globalne przedsięwzięcia. Ci, którzy go znali, dawali do zrozumienia, że nigdy nie narzekał na brak gotówki. Mabbut zdobył nazwiska kilku dobrych informatorów w City, ale to był świat ludzi zamożnych od pokoleń, świat, w którym uścisk dłoni liczy się bardziej niż oficjalne protokoły. Niewiele materiałów nadawało się do wykorzystania w książce. Kiedy nalegał, żeby Wendy Lu poprosiła pracodawcę o więcej informacji o jego potencjalnych poplecznikach i sponsorach, zapewniła go, że koszty Melville'a należy rozpatrywać „w skali Trzeciego Świata", a ci, którzy dla niego pracują, robią to dla zasady, nie dla zarobku. Jeden z informatorów Mabbuta ze świata finansjery przez wiele godzin ślęczał w absolutnej tajemnicy nad Krajowym Rejestrem Sądowym, by ostatecznie stwierdzić, że jeśli Melville ma jakiekolwiek pieniądze, to na pewno nie na brytyjskim koncie, co w przypadku działacza międzynarodowego, spędzającego poza krajem jedenaście miesięcy w roku, wydawało się bardziej rozsądne niż nieuczciwe. Nawet Rex nie potrafił odpowiedzieć na pytanie o finanse Melville'a.

Mabbutowi podobał się ten powrót do dziennikarstwa. Wykorzystując dawne umiejętności, musiał wykonać ambitne zadanie w śmiesznie krótkim czasie i ogólnie rzecz biorąc, prace nad książką postępowały w równym tempie. A odkąd zajął się odkrywaniem prawdziwego życia Melville'a, jego własne życie też zaczęło nabierać wyraźniejszego kształtu. Zmuszony stanąć twarzą w twarz z czyimiś motywami, lepiej uświadomił sobie własne.

Asekuranctwo nie obniżało już jego pewności siebie. Do życia Mabbuta nieśmiało powróciła duma.

Miał wrażenie, że Krystyna to zauważyła. Pierwszy raz od prawie dwóch lat to ona skontaktowała się z nim, a nie na odwrót. Poszli razem na premierę nowej sztuki Sama. Początkowo spektakl potwierdzał najgorsze obawy Mabbuta. Sztuka rozgrywała się w więzieniu i opowiadała o grupie homoseksualistów, którzy wkrótce mieli wyjść na wolność. Ale kiedy Mabbut zrozumiał myśl przewodnią, że żaden z nich nie chce opuścić więzienia i każdy opracowuje własną strategię, żeby zostać za kratami, z zadowoleniem skonstatował, że jego syn ma prawdziwy talent. I to komediowy. Kto by pomyślał!

Jay nadal spotykała się z Szirajem. Mabbut nie miał pewności, czy kieruje nią miłość, czy litość, ale większość czasu spędzała z tym chłopcem, a i sam Keith dobrze się z nim dogadywał. Sziraj sprawiał wrażenie poważnego młodego człowieka, a gdy przebolał już fakt, że mieszka bez ślubu z dziewczyną w domu jej ojca, stał się miłym towarzystwem i bez przerwy usiłował wciągać Mabbuta w dyskusje przy kuchennym stole. Z kolei Mabbut czerpał pewną dumę z faktu, że ma swój udział w pomocy prześladowanym. A jego córka nigdy nie była szczęśliwsza.

Mabbut nie uważał dotąd szczęścia za stan naturalny. Traktował je raczej jako odroczenie nieuchronnego nieszczęścia. Teraz jednak zaczął myśleć inaczej. Gdy przyjął bardziej swobodną i ogólną definicję tego słowa, zgodnie z którą sprawy miały układać się nieźle przez dłuższy czas, szczęście przestało wydawać mu się aż tak nierealną koncepcją. Dlatego krok po kroku, w miarę jak książka pęczniała, a zima przechodziła w wiosnę, Mabbut zaczął się przyzwyczajać do nieznanego mu wcześniej uczucia ogólnego zadowolenia.

DWA

Ostatni dzień kwietnia przypadał w sobotę, ale Mabbut postawił sobie za punkt honoru dostarczyć płytę i szczotki książki *Melville. Prawdziwe życie legendy* dwadzieścia cztery godziny wcześniej, w ostatni roboczy dzień tygodnia.

Szczotki były pomysłem Silli.

– Wiem, że to staroświeckie, ale nadal uważam, że wydawcy lubią dostać książkę, która wygląda jak książka.

– Nie podejrzewałbym o to Rona Lathama.

– Zdziwiłbyś się. Ron przywiązuje większą wagę do tradycji, niż mogłoby ci się zdawać.

Mabbut uniósł brew.

– No cóż, zdrowie Hamisha.

Rankiem książka została wysłana do Urgent, teraz Mabbut i Silla oblewali to w Goldings, restauracji, której Silla pozostawała wierna mimo jej niemal perwersyjnego braku elegancji oraz klienteli złożonej z pracowników biur i wyczerpanych zakupami na Oxford Street. Kiedy Mabbut ją o to spytał, Silla przyznała, że niektórych klientów zabiera w bardziej ekskluzywne miejsca.

– Ale nie tych, których lubię.

Uniosła kieliszek domowej cavy z taką serdecznością, że Mabbut poczuł niecodzienną bliskość z tą nerwową, nieobliczalną, niezłomną kobietą, która tak lojalnie zarządzała jego chaotyczną karierą.

– Zdrowie Hamisha. I twoje, Keith.

Stuknęli się kieliszkami. Dwaj pracownicy pobliskiej poczty, którzy czekali na odbiór zamówienia na wynos, rozejrzeli się po sali. W Goldings rzadko coś świętowano, szczególnie w porze lunchu.

– I twoje zdrowie, Sill. Dziękuję za wszystko.

Kieliszki brzęknęły ponownie.

Ku rozczarowaniu Mabbuta, urodziwa kelnerka z Chorwacji odeszła, a jej miejsce zajęła Angielka, pulchna dziewczyna z prostymi włosami, grubą warstwą tuszu na rzęsach i lekkim akcentem z West Country. Przyjęła ich zamówienie z roztargnieniem, wyglądając przez okno, jakby to tam toczyło się prawdziwe życie.

Zadzwonił telefon Silli. Podniosła go, a Mabbut przygotował się na kilka minut bezmyślnego wpatrywania się w przestrzeń. Tymczasem agentka sprawdziła, kto dzwoni, a potem wyłączyła komórkę i wrzuciła ją do torebki.

– Nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

Nigdy nie widział, żeby Silla zrobiła coś takiego. Odkąd rzuciła palenie, komórka stała się dla niej cyfrowym substytutem papierosa. Rzadko wypuszczała ją z rąk.

– Może to Latham – powiedział. – Dzwoni zapytać, czy wolimy dostać pieniądze w dwudziestkach, czy w pięćdziesiątkach.

Zwykle usłyszałby w odpowiedzi jej gardłowy śmiech, ale Silla była zaskakująco poważna. Odchyliła się na krześle i przez chwilę patrzyła przez okno, zanim spojrzała mu w oczy.

– Wiesz, że nigdy nie wciskam ci kitu, mój drogi, więc musisz mi uwierzyć, że dopiero w takich momentach cały ten pieprzony biznes wydaje mi się wart jakiegokolwiek zachodu.

Pierwszy raz od bardzo dawna Mabbut przyjrzał się uważnie Silli. Jej ramionom, szerokim jak u naczelnika więzienia; trójkątowi spalonej słońcem skóry, znikającej w dekolcie świetnie dobranego kaszmirowego swetra; szerokiej, okrągłej twarzy i ściągniętym z czoła włosom, umiejętnie zafarbowanym na kolor kasztanowy. Mimo skandynawskiej karnacji nagle przywiodła mu na myśl wioskę plemienia Gyara i kobiety żyjące u stóp świętego wzgórza.

– Wiesz, Keith, miewam całe mnóstwo złych dni. Fatalnych dni, kiedy muszę wciskać ludziom prawdziwe gnioty. Oni wiedzą, że to

gniot, ja wiem, że to gniot, ale nikt tego nie powie, bo wszyscy musimy z czegoś żyć. Więc kiedy pojawia się coś takiego, coś zupełnie nie z tej ziemi, trzeba dziękować temu na górze za to, że zsyła nam też dobre dni.

– Nie sądziłem, że miewasz złe dni, Sill. Myślałem, że to zdarza się tylko mnie.

Silla odrzuciła głowę w tył i parsknęła śmiechem.

– Och, na litość boską. Posłuchaj nas tylko. Dialog jak z *Nędzników*!

Na stole pojawiły się dwie porcje makaronu. Silla odgarnęła kosmyk włosów z oczu i zamówiła dla nich po lampce czerwonego wina.

– Duże czy małe, madame?

– Olbrzymie!

Wzięła dwa szybkie kęsy, wytarła usta chusteczką i odsunęła talerz na bok.

– Może mi nie uwierzysz, Keith, ale lata temu, kiedy zaczynałam pracować jako agentka, szczerze wierzyłam, że uda mi się coś zmienić. Że nie będę z utęsknieniem wypatrywać weekendu i przesiadywać na lunchach w prywatnych klubach. Że wyjdę do ludzi i będę szukać nowych autorów. Na uniwersytetach, nawet w szkołach. Na kursach pisarskich. Że znajdę kogoś, kto ma coś oryginalnego do powiedzenia, i że pomogę mu to powiedzieć. I tak właśnie zrobiłam. Wyszłam do ludzi, szukałam, słuchałam. Ale czego bym nie robiła, kogo bym nie znalazła, zawsze spotykałam się z dezaprobatą. Skąd pomysł, że lepiej pojechać do Newcastle i porozmawiać z nowym autorem, skoro powinnam być na premierze książki w klubie Savile? Szczególnie, że autor, z którym miałam się zobaczyć, właśnie odsiedział trzy lata za napad z użyciem broni.

Kolejny wybuch śmiechu.

Kelner przyniósł wino. Silla upiła łyk i westchnęła z zadowoleniem.

– Mmm! Stale to samo… Nasłuchałam się wtedy różnych dziwnych rzeczy na swój temat, Keith. Że sypiam z tymi wszystkimi chłopcami – i dziewczynami. Że mam zamiar skalać czystość języka angielskiego. Na spotkaniach redakcji traktowali mnie jak stażystkę. A potem pojawiła się Abigail Morris, pamiętasz ją?

– *Licząc umarłych*?

– Do dziś jedna z najlepszych książek o świecie narkotyków. Szczera i autentyczna. Żadnej ściemy. Autorka nigdy nie powtórzyła tego sukcesu, ale to był sukces. Sto tysięcy za twardą oprawę, dwieście tysięcy za miękką; prawa do ekranizacji, licencje zagraniczne. Nagle wszyscy zaczęli traktować mnie poważnie. Dostałam tytuł partnera w Nathan Bowles i pokaźny fundusz reprezentacyjny. Z dnia na dzień wszystko stało się proste. Po co pchać się w sobotę w strugach deszczu do Glasgow, skoro to oni mogą przyjechać do mnie? Nieźle sobie radziłam. Umiałam się zachować przy stole. Stawiałam dobre lunche.

Mabbut rozejrzał się po Goldings i uśmiechnął na potwierdzenie jej słów.

– Pojawiły się pieniądze. Spore pieniądze. Kupiłam mieszkanie przy Marble Arch i zatrudniłam szofera, żeby mnie woził na zakupy na Sloane Street. I przestałam zauważać, że ci tak zwani autorzy, którymi się zajmowałam, byli takimi samymi ludźmi jak ja. Ludźmi, którzy odnieśli sukces i wiedli wygodne życie. A jak wiesz, społeczeństwo pasjami uwielbia historie o pięknych i bogatych. Chce wiedzieć wszystko o tym, jak się ubierają, gdzie jedzą, z kim się pieprzą i dokąd jeżdżą na wakacje. Chociaż nie ma w tym nic ciekawego.

Napiła się wina.

– Ale ja, miła, uczynna dziewczyna, słuchałam ich cierpliwie i zachęcałam do pisania. Zanim się obejrzałam, stałam się ulubienicą wydawców celebrytów. Pierwszym przystankiem dla przepłacanych piłkarzy, modelek i szefów kuchni. I przekonali mnie, chociaż nie

trzeba mnie było długo namawiać, żebym odeszła z agencji i założyła własną. „Silla Caldwell i Wspólnicy”.

Pokręciła głową.

– Nie, ja też nie wiem, o co mi chodziło z tymi wspólnikami. Chyba miałam na myśli moją matkę. Tak czy inaczej, przyszły lata dziewięćdziesiąte, a z nimi zapaść gospodarcza. Nagle wszyscy wzięli się w cugle i zaczęli myśleć tylko o sobie. Tylko największym udało się przetrwać.

Silla przechyliła kieliszek, przełknęła i skrzywiła się.

– Nie znaliśmy się wtedy, Keith. A gdybyś mnie poznał, pewnie znalazłbyś jakąś wymówkę, by uciec, gdzie pieprz rośnie. Byłam bezczelną pijaczką, nic mi się nie chciało. Brałam, co mi wpadło w ręce, również jeśli chodzi o autorów.

Odrzuciła głowę w tył.

– Tak czy inaczej, wtedy na mojej drodze stanął rycerz w lśniącej zbroi, Ronald Arthur Latham.

– Ron Latham?

– We własnej osobie. On wspinał się po szczeblach kariery, ja staczałam się coraz niżej. Spotkaliśmy się w pół drogi.

Nie odwróciła wzroku. Jej spojrzenie było równocześnie wyzywające i pełne skruchy.

– Nie dziw się tak, Keith. Ta historia dobrze się kończy. Pamiętasz?

Stuknęła w jego kieliszek.

– Ronald znał gwiazdy golfa i miał pieniądze, żeby je ściągnąć do wydawnictwa, ale nie wiedział, jak się obchodzić z celebrytami „z innych dziedzin”. Pierwszy raz od dawna ktoś chciał się ode mnie uczyć. Spędzaliśmy razem dużo czasu. Dobrze się dogadywaliśmy, ale ostatecznie okazało się, że nie pasujemy do siebie, a on był zbyt ambitny, żeby co wieczór wracać do domu i oglądać telewizję. Ale widziałam w nim siebie z dawnych lat i cieszyłam się jego sukcesami. On w zamian zaopiekował się mną. Pomógł mi stanąć na nogi. Od czasu do czasu robiliśmy razem interesy. Dzięki niemu udało mi się

zachować firmę i szofera. Znów zaczęłam polować na to, co umknęło innym. I tak poznałam ciebie. Czytałam twoje artykuły. Uznałam, że potrafisz pisać. Pamiętasz? Po tym reportażu o wycieku arsenu. Wiedziałam, że stać cię na więcej.

– Więc to ty namówiłaś Rona Lathama, żeby mnie zatrudnił?

Silla pokręciła stanowczo głową.

– Ronald, mimo swoich przechwałek, jest bardzo ostrożny. Od lat przekonywałam go, żeby zrobił coś z klasą. Proponowałam różne tematy, ale w ostatnim momencie zawsze się wycofywał. I nagle pojawił się pomysł na książkę o Melville'u. Ron potrafi być uparty jak osioł, ale widziałam, że wreszcie dotarło do niego to, co tyle czasu kładłam mu do głowy.

– I skąd ta nagła zmiana frontu?

– *Pamiętniki golfistów* to był cholerny strzał w dziesiątkę. Zarobił krocie i podejrzewam, że teraz chce sobie zapewnić „miejsce w historii". Wiem, jakie masz zdanie o Ronaldzie, ale on nie jest taki zły. Wychodzi na gbura, bo brakuje mu pewności siebie, zwłaszcza przy takich ludziach jak ty.

– Ludziach takich jak ja? Czyli pismakach do wynajęcia?

– Skończyłeś studia. Uczyłeś kreatywnego pisania. Zawsze wstydził się tego, co uważa za swój brak wykształcenia.

– Zbytnio mu to nie zaszkodziło.

– I za to go cenię. Wiem, że nienawidzisz wszystko, co sobą reprezentuje, ale teraz wyszedł na prostą.

Silla opróżniła kieliszek teatralnym gestem.

– Dość tych przeprosin! Ron wyszedł na prostą, ty wyszedłeś na prostą i ja wyszłam na prostą. Nazywam to efektem Melville'a. Jeszcze po kieliszku?

Kiedy się rozstali kilka minut po trzeciej, Mabbut miał mętlik w głowie. Przeszedł na drugą stronę Tottenham Court Road. Kursowały tamtędy autobusy i linie metra, którymi mógł dojechać do

domu, ale zamiast tego wybrał trasę odbijającą lekko na północ. Błąkał się po bocznych uliczkach wokół uniwersytetu i dużych spokojnych placach na południe od stacji Euston.

Coś go dręczyło i potrzebował czasu, żeby się temu przyjrzeć. Tak naprawdę pod radością z ukończenia książki krył się również strach. Ogromny strach, że w ostatecznym rozrachunku w jego życiu nic się nie zmieniło. Że tych ostatnich kilka miesięcy było tylko łutem szczęścia, a teraz wszystko wróci do normy.

Praca nad *Sullom Voe* była uciążliwa i wymagała wielu kompromisów, ale zajęła mu prawie dwa lata. Książka o Melville'u, dzięki której odkrył na nowo radość z pracy nad czymś ważnym i cennym, była gotowa w mgnieniu oka. Przyniosła mu satysfakcję, ale czy to wystarczy, żeby go zmienić na zawsze? Czy wystarczy, żeby dezaktywować geny rozpaczy czy co tam się robi z genami?

Mabbut wszedł na Gordon Square. Przypomniał sobie, że Virginia Woolf lubiła siadywać w pobliskim parku. Virginia, nestorka rozpaczy. Przeczytał jej pamiętniki od deski do deski i to samo polecał wszystkim swoim studentom. Jej książki weszły do kanonu, a mimo to również i w jej przypadku lęk przed porażką przewyższał radość z sukcesu.

Przeszedł na drugą stronę Euston Road, minął British Library i Levita House, osobliwy budynek komunalny, zaprojektowany przez architekta, którego zainspirowała podróż do Wiednia w latach trzydziestych XX wieku. To był jeden z tych rześkich, wiosennych wieczorów. Bezchmurne niebo, wiatr z północnego zachodu. Zachodzące słońce wydobywało dramatyzm nawet z najzwyklejszych budowli. Mabbut zauważał rzeczy, których dotąd nie widział. Galerię sztuki nowoczesnej ukrytą pod mostem kolejowym w Kentish Town. Somalijski zakład fryzjerski pełen wysokich, eleganckich mężczyzn, pogrążonych w zaciekłej kłótni, staroświecki butik wciśnięty między dwa supermarkety, młodego mężczyznę z dziko wykrzywioną twarzą, któremu towarzyszył prawdopodobnie dziadek. Wrócił myślami do

Indii i ludzi, których minął na świętych zboczach Wzgórz Masoka. Miał szczęście poczuć z nimi jakąś więź. Poruszyło go ich życie, zupełnie inne od jego własnego. I także z tego powodu, mimo morderczego tempa pracy i wycieńczającego gromadzenia materiałów, czerpał tyle przyjemności z pisania tej książki. W ten sposób chciał się przysłużyć tym, którzy dzięki Hamishowi Melville'owi mogli nadal żyć jak dawniej. Powoli przemierzał boczne ulice Camden i Tufnell Park. Kiedy skręcił w Reserton Road, dochodziła szósta.

Cisza panująca w domu działała na Mabbuta przygnębiająco, dlatego wziął prysznic i wypił lampkę wina, a potem odszukał w telefonie odpowiedni numer i po chwili wahania wcisnął zieloną słuchawkę.

– Halo?

– Cześć, Mae.

Chwila milczenia.

– Keith? – W jej pytaniu słychać było rezerwę.

– Co u ciebie, Mae?

– Och, w porządku. Wszystko w porządku. A co u ciebie?

– Jestem bardzo szczęśliwy, Mae.

– To dobrze.

– Pomyślałem, że zadzwonię i powiem ci o tym. Zawsze się o mnie martwiłaś.

– A tak. Rozpacz w genach.

Usłyszał w słuchawce jej śmiech.

– Teraz byłbym znacznie lepszym towarzystwem.

– Zawsze byłeś dobrym towarzystwem, Keith. Nikt poza tobą nigdy w to nie wątpił.

– Skończyłem nową książkę i jest całkiem niezła. Chciałbym podesłać ci egzemplarz. Zobaczyć, co o niej powiesz.

– Będę zaszczycona.

Z ulicy dobiegł głośny huk, głębszy i bardziej wyraźny niż hałas przelatującego samolotu. Przypominał raczej grzmot.

– Może wręczę ci ją osobiście.

– Mówisz poważnie?

– Dlaczego nie? Dziś złożyłem tekst u wydawcy. Ma mi sporo zapłacić, więc stać mnie na bilety lotnicze. Poza tym chciałbym się z tobą zobaczyć.

– Co to za książka?

– To niespodzianka.

– Czyli nie ma w niej nic o terminalach naftowych?

– Nie. Ale pojawia się rafineria aluminium.

Mae znów się roześmiała.

– Wygląda mi na bestseller!

Milczeli przez chwilę, jakby żadne z nich nie było pewne, co dalej.

– Chciałbym być tam teraz z tobą, Mae – powiedział ostrożnie Mabbut. – Miałem tu prawdziwe urwanie głowy. Dwanaście godzin dziennie przed komputerem.

– Wiem, jak to jest.

– Dobrze by mi zrobiło szetlandzkie powietrze.

Zorientował się, że ostatnie zdanie zabrzmiało trochę zbyt bełkotliwie.

– Coś mi mówi, że oblewasz swój sukces, Keith.

Wyjrzał przez okno. Zaczęło padać. Przez ulicę biegły w kierunku domu dwie postaci.

– Ależ Mae, skąd ten pomysł?

Słysząc jej śmiech, odetchnął z ulgą.

– Skoro musisz wiedzieć, to mój pierwszy kieliszek – tłumaczył się Mabbut. – To znaczy, pierwszy od szesnastej. A to dziwne brzmienie mojego głosu to ze szczęścia. A kiedy myślę o szczęściu, myślę o tobie.

Usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach.

– Muszę kończyć. Zadzwonię jeszcze, Mae, jeśli mogę.

– Dobrze. Pa! I gratulacje.

Odłożył słuchawkę w chwili, gdy jego córka i Sziraj weszli do pokoju. Mieli ze sobą jeden parasol, który najwyraźniej nie spełnił swojej funkcji.

– Jakiś ty wesoły, tato. I suchy.

– Miałem dobry dzień, córeczko. A wy?

Jay upuściła torebkę na ziemię i strząsnęła wodę z mokrych włosów. Czując, że coś jest nie tak, Mabbut spojrzał na Sziraja, który złożył parasol i postawił go ostrożnie przy drzwiach. Chłopak posłał mu uprzejmy, nieprzenikniony uśmiech, ale Mabbut widział, że coś go trapi. Jay zniknęła w kuchni.

– Chcesz herbaty, Sziraj?

– Tak.

Mabbut poszedł za córką, wyciągnął z szuflady kuchennej ręcznik, a potem wrócił do salonu i podał go Szirajowi.

– Siadaj. Chyba jesteś zmęczony.

Sziraj otarł się ręcznikiem.

– Złe wieści z domu.

– Aha.

W kuchni zaczął szumieć czajnik. Mabbut popatrzył na Sziraja wyczekująco.

– Co się stało?

Po chwili Sziraj odpowiedział cichym, niemal niechętnym głosem.

– Dowiedzieliśmy się, że kolejne osoby z mojej rodziny zostały aresztowane. Mój wuj i mój młodszy brat. Nie wiemy, gdzie są, ani o co są oskarżeni.

Mimo młodzieńczej aparycji Sziraj wydawał się zaskakująco dojrzały. Był bardzo poważny, czasami zbyt poważny, ale jak na przebytą traumę pozostał zdumiewająco pewny siebie. Przypominał pod tym względem Mahesha i Kinesha. I tak jak oni pokazał Mabbutowi zupełnie inny sposób życia.

Jay przyniosła dwa kubki herbaty – jak zauważył Keith, oba opatrzone logotypem kantyny NorthOil w Sullom Voe. Jeden postawiła przed Szirajem, przeczesując przy tym palcami jego włosy. Chłopiec wzdrygnął się, co nie uszło uwadze Mabbuta.

– Słyszałeś ostatnie wieści? – zapytała ojca Jay.

Mabbut skinął głową.

– O rodzinie? Właśnie się dowiedziałem. Bardzo mi przykro.

– Najnowsze wieści o Sziraju?

– Nie.

– Musi stanąć przed kolejną komisją rewizyjną… Jeśli nie przedłużą mu wizy, odeślą go.

Mabbut podszedł do córki i objął ją ramieniem. Nabrała głęboko powietrza.

– Odeślą go…

Urwała, wzięła chusteczkę i wydmuchała nos.

Sziraj odwrócił wzrok. Z jego twarzy bił wstyd i urażona duma.

– Przepraszam – wydukała Jay przez łzy. – To takie głupie!

– Na pewno można coś na to poradzić – powiedział uspokajająco Mabbut.

– Prosiłam Rexa. On zna ludzi w tych wszystkich komisjach.

Jay pociągnęła nosem i sięgnęła po drugą chusteczkę.

– I co?

– Och, no wiesz. Mama już się z nim tak często nie spotyka, a kiedy ją pytam, czy Rex nie mógłby jakoś pomóc Szirajowi, robi się opryskliwa. Więc sama nie wiem.

Ostatnie słowo przeszło w jęk rozpaczy.

– Słuchaj, zobaczę, co się da zrobić – obiecał Mabbut. – Też mam jakieś kontakty.

– Przyda się każda pomoc, tato.

– Tymczasem, Sziraj… Może twoja rodzina czegoś potrzebuje?

– Nie, dziękuję panu. To bardzo miłe z pana strony, że mogę mieszkać pod tym dachem.

Jay rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Właściwie to potrzebuje… – zaczęła.

Sziraj stanowczo pokręcił głową.

– Czego?

– Niczego, sir. Dziękuję. – Wstał. – Pójdę się przygotować do rozmowy. Urzędnicy imigracyjni będą mi zadawać dużo pytań.

Kiedy wyszedł, Mabbut z niepokojem popatrzył na córkę. Dawno nie widział jej w takim stanie. W okresie dorastania to raczej Sam zawsze przeżywał jakiś kryzys.

– No, kochanie… Jak mogę pomóc?

– Nie mogę ci powiedzieć. On nie pozwala mi o tym mówić.

– Nie musi o niczym wiedzieć.

Jay wydęła policzki. Wokół zaczerwienionych oczu rozmazał jej się tusz. Rzuciła okiem na korytarz, a potem wypaliła cichym, przejętym głosem:

– Żeby się dowiedzieć, co się stało z jego wujkiem i bratem i gdzie ich przewieziono, trzeba zapłacić miejscowemu prokuratorowi. To jedyny sposób. Wszyscy tak robią, ale Sziraj się uparł, że musi być inny. Jego zdaniem łapówki tylko podtrzymują skorumpowany system. Ale co ty byś zrobił, gdybyś przez swoje zasady miał nie zobaczyć więcej rodziny?

– Ile mu potrzeba?

– Nie wiem dokładnie. Około dwóch tysięcy funtów za każdą osobę. Ale to na nic, on nie przyjmie jałmużny.

– Dam mu cztery tysiące.

Uniósł dłonie, wyprzedzając jej reakcję.

– Chcę to zrobić! Mam teraz pieniądze, kochanie. Dziś oddałem książkę.

– Nic nie rozumiesz, tato. Tu chodzi o jego dumę.

– Powiedz mu po prostu, że to pożyczka i musi mi ją zwrócić co do pensa. Albo mnie popamięta!

Jay złapała go za rękę.

– Jesteś pewny?

– Na sto procent.

Wtedy zachichotała.

– To raczej przedpłata na wesele, tato.

– Słucham?

– Och, nigdy nie wiadomo. W końcu go ubóstwiam.

Wyszła z pokoju skocznym krokiem. Jej radość była zaraźliwa. Mabbut nalał sobie następny kieliszek wina i otworzył lodówkę. Zdumiewało go, jak inaczej wygląda świat, kiedy można dać coś od siebie. Postanowił przestać się martwić i zacząć cieszyć swoim szczęściem. Wrzucił kilka kocich ciasteczek do miski Stanleya, dolał mu wody i rozsiadł się na kanapie, żeby obejrzeć mecz.

TRZY

Zaczął się weekend. Na Reserton Road panowała grobowa cisza. Zakłócił ją tylko Grant, sąsiad Mabbuta, zapalony sportowiec, który pojawił się na ulicy w szortach i obcisłej żółtej koszulce do joggingu. Pokręcił głową we wszystkie strony, rozciągnął jedna po drugiej nogi, opierając je o niski ceglany murek, po czym potruchtał pod górę w kierunku Archway. Przez skrzyżowanie przejechał z warkotem samochód mleczarza i znów zrobiło się całkiem cicho.

Krótki, ostry dźwięk dzwonka wyrwał Mabbuta z jakiegoś bezładnego snu. Otworzył oczy i spod przymrużonych powiek spojrzał na zegarek. Za piętnaście ósma. Przyjął to z zaskoczeniem i zadowoleniem – przez ostatnich sześć miesięcy o tej porze już nie spał, martwiąc się o książkę. Telefon zadzwonił ponownie. Mabbut oparł się na łokciu i odebrał.

Usłyszał znajomy głos.

– Pan Mabbut…

– Pan Latham.

– Zbudziłem cię?

– Tylko drzemałem… Czym mogę służyć, Ron?

– Przeczytałem twoją książkę.

– Szybko ci poszło. Nie spodziewałem się…

– Przed tobą jeszcze dużo pracy.

Mabbut przełożył słuchawkę do prawego ucha.

– Słucham?

– Książka nie jest gotowa. Trzeba ją poprawić.

– O czym ty mówisz? Pracowałem po osiemnaście godzin dziennie, żeby zdążyć na czas, Ron. Sam wyznaczyłeś mi ten termin.

– Widzę, że włożyłeś w nią dużo wysiłku. To imponujące. Fragment o Indiach jest świetny. Ale to zbyt jednostronny obraz.

Mabbut poczuł, że jest całkowicie rozbudzony. Podciągnął się w łóżku i oparł o zagłówek.

– O co ci chodzi?

– O to, że to zbyt jednostronny obraz. Zrobiłeś z faceta świętego.

– Z całym szacunkiem, Ron, poznałem tego człowieka, pracowałem z nim. A ty nie. Przez pół roku sprawdzałem każdy fakt w jego życiorysie, spotykałem się z jego przyjaciółmi, rozmawiałem ze wszystkimi, którzy go znają. Wyszedł na porządnego gościa, ale to nie znaczy, że nie wykonałem swojego zadania. To znaczy, że naprawdę jest porządnym gościem.

– Spokojnie, Keith. Nie neguję tego, co mówisz. Tyle że włożyliśmy w to mnóstwo pieniędzy, więc chyba też mamy coś do powiedzenia. Wiesz o tym. Twoje honorarium jest bardzo wysokie.

– To co? Na litość boską, namówiłem na rozmowę faceta, który odmawiał wszystkim biografom i dziennikarzom przez ostatnich czterdzieści lat. To chyba warte tej ceny.

Na zewnątrz ktoś krzyknął. Mabbut usłyszał trzaśnięcie drzwi, a potem oddalające się kroki.

– Keith, przemysł wydawniczy się zmienił. Dobre książki o dobrych ludziach już się nie sprzedają, bo dobrzy ludzie nikogo nie interesują. A ci, których interesują, chcą się dowiedzieć, że dobrzy ludzie się tacy nie urodzili. Że wcześniej zlecili morderstwo albo poświęcili własne dziecko. Odkupienie win wiele usprawiedliwia, Keith. A Melville od samego początku jest ideałem. Okej, ma radykalne poglądy, nie używa grzebienia, śpi na hamaku z tubylcami, odmawia przyjęcia tytułu szlacheckiego, trzyma się z chłopakami, którzy zatykają nocniki na ogrodzeniu szkoły, ale poza tym jest czysty jak łza. Nie ma w nim światła i cienia. Nie ma ciemnej strony…

– Ron, to biografia, a nie katalog firmy oświetleniowej.

– …a my potrzebujemy ciemnej strony, żeby osiągnąć zakładany poziom sprzedaży.

Mabbut kątem oka zauważył swoje odbicie w lustrze. Patrzył bezmyślnie w przestrzeń, jak pacjent w szpitalu.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym, zanim zacząłem pisać? Wtedy mógłbym nakłamać i wszyscy byliby zadowoleni.

– Nie denerwuj się. Prosiliśmy o pełny obraz – miałeś mu się przyjrzeć „z każdej strony", pamiętasz? Dokładnie tak się wyraziłem.

– Jestem dziennikarzem, Ron. Szukam informacji, które prowadzą mnie do prawdy. Na tym polega dziennikarstwo. Gdybym dowiedział się czegoś złego, zawarłbym to w książce.

Chwila ciszy. Mabbut słyszał, jak jego rozmówca pije herbatę.

– Twoja poprzednia książka, Keith, ta o terminalu naftowym…

Mabbut zmarszczył brwi. Co to miało do rzeczy?

– Słyszałem, że jest całkiem niezła.

– Dzięki – odpowiedział Mabbut ostrożnie.

– Ludzie z NorthOil na pewno są zadowoleni.

– Tak, podobała im się.

– Nie wątpię. Słyszałem, że nie wspominasz w niej o katastrofie tankowca *Braer*.

Mabbut wzdrygnął się z zaskoczenia.

– Paskudna sprawa. Wyciekły tysiące ton ropy.

– *Braer* był wtedy daleko od terminalu.

– Trzydzieści mil? To nie tak daleko.

– Ale wyciek nie miał żadnego związku z terminalem.

– W odróżnieniu od wypadku tankowca *Esso Berenicia*. On znajdował się bardzo blisko terminalu. W zasadzie trochę za blisko. Rozbił się o pomost załadunkowy, a nie istniały żadne procedury na wypadek wycieku. Oczyszczenie terenu kosztowało firmę dwa miliony, zginęło prawie cztery tysiące ptaków. Czy to znalazło się w twojej książce?

Mabbut myślał gorączkowo. Jedyne egzemplarze *Historii Sullom Voe* stały na jego regale i w siedzibie NorthOil. Jakim cudem Latham uzyskał te informacje?

– Co chcesz przez to powiedzieć, Ron?

– Chcę przez to powiedzieć, Keith, że trzeba mierzyć siły na zamiary. Jestem pewny, że jako zaangażowany dziennikarz chciałbyś napisać prawdę – o wyciekach ropy i kłótniach z radą miasta o udział w zyskach – ale nie zawsze masz ostatnie słowo, prawda? Nafciarze płacą, a ty tańczysz, jak ci zagrają. Zmierzam do tego, że dostałeś w sumie – będę strzelał – jakieś piętnaście tysięcy. Plus koszty?

Zaskakująco dobry strzał.

– Za napisanie tego, o co prosił NorthOil.

– I co w związku z tym?

– Skoro Urgent Books płaci ci prawie dwieście tysięcy, to chyba powinieneś czuć się w obowiązku napisać to, o co prosiliśmy cię my?

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Mabbut próbował uspokoić się na tyle, żeby dać rozsądną odpowiedź.

– W takim razie czego chce Urgent Books, Ron?

– Może wpadniesz, to omówimy całą sprawę.

– Z przyjemnością. Mam czas w poniedziałek…

– Dziś po południu. Druga?

– Nie mogę, Ron. Idę na mecz z Samem. Pierwszy raz od wielu tygodni…

– Do zobaczenia w biurze. Gdybyś miał jakiś problem, zadzwoń po portiera. Aha, uprzedziłem już Sillę, że płatność może się opóźnić.

Połączenie zostało przerwane. Mabbut siedział w rozgrzebanej pościeli, usiłując pohamować wściekłość.

Postanowił, że kiedy skończy książkę, skupi się przede wszystkim na odbudowaniu relacji z synem. Nadszarpnęło ją wiele problemów: rywalizacja między rodzeństwem, matczyne manipulacje… Ten mecz był iście mistrzowskim posunięciem. Od lat nie chodzili razem

kibicować, tymczasem dzięki swoim kontaktom Keith załatwił bilety na derby z Tottenhamem. Bilety wręcz fenomenalne. Wisiały teraz w kuchni, przypięte do tablicy korkowej. Latham to menda. Prawdziwa menda. Mógł sobie wsadzić te swoje pieprzone pieniądze. Mabbut ich nie potrzebował. Wcześniej jakoś sobie bez nich radził. Nie chciał już nigdy oglądać tego człowieka na oczy.

W drzwiach stanęła Jay. Za nią pojawił się Sziraj, a jego zwykłą powagę zastąpił niepewny, wstydliwy uśmiech. Podszedł do Mabbuta ze splecionymi przed sobą dłońmi. Złożył krótki ukłon, przekładając prawą dłoń na serce.

– Proszę mi wierzyć, panie Mabbut, Bóg mi świadkiem, nie zasługuję na to. – Skłonił jeszcze raz głowę. – Ale dziękuję. Dziękuję panu. I niech Bóg pana błogosławi.

Mabbut uśmiechnął się niepewnie.

Nigdy nie widział, żeby Sziraj był tak szczęśliwy… Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, nigdy nie widział, żeby Sziraj w ogóle był szczęśliwy.

– Jay przekazała mi, co pan zaproponował wczoraj wieczorem. Proszę mi wierzyć, pana szczodrość wobec mojej rodziny nigdy nie zostanie zapomniana.

Jay ścisnęła ojca za ramię.

– Ubolewam, że mój kraj tak funkcjonuje. Daleko mu do doskonałości, sir, ale jeśli Bóg pozwoli, z pomocą takich ludzi jak pan uda nam się coś zmienić.

Nieśmiało, z wahaniem, Sziraj wyciągnął kawałek papieru.

– To bank w Londynie, któremu należy przelać pieniądze, moje dane i numer konta. Przepraszam, że mówię o tym tak wprost, sir, ale zależy mi na czasie.

Mabbut kiwnął głową, świadom obecności Jay obok siebie i jej dłoni na ramieniu.

– Dzięki, tato.

Wspięła się na palce, żeby go pocałować.

Było wpół do drugiej. Piętnaście minut wcześniej Mabbut wsiadł do samochodu Silli, ale utknęli w przedmeczowym korku. Hector Fischer był niezadowolony.

– Piłka nożna to nie mój sport. Piłka nożna to sport proletariatu. Osobiście preferuję rugby. Twickenham.

Wskazał na tłum przechodzący przez ulicę w drodze na stadion.

– Proszę tylko na nich spojrzeć. Owczy pęd.

Ale Mabbut go nie słuchał. Nie otrząsnął się jeszcze z szoku. Rozmawiał z Sillą przytłumionym szeptem.

– O co mu chodzi, jaki „jednostronny obraz”?! Na litość boską, ten człowiek wydaje książki o golfie.

– Wydawał.

– Nie zna się na ludziach. Zna się tylko na modelach biznesowych.

Silla wetchnęła.

– Przykro mi – ciągnął Mabbut. – Wiem, że ty i on… Ale przecież czytałaś moją książkę.

– Przejrzałam ją, mój drogi, i bardzo mi się podobała. Fragmenty o Indiach są fenomenalne. Ale Ron wziął tekst pod lupę. W nocy pewnie nie zmrużył oka. Taki już jest.

– Może zaśnie, zanim przyjedziemy.

Silla zaśmiała się nieszczerze.

– Nie liczyłabym na to.

– Macie państwo pojęcie, co ci ludzie wyprawiają? – zagaił Hector, korzystając z przerwy w ich rozmowie. – Zwijają gazetę i sikają przez nią do kieszeni człowieka, który siedzi przed nimi. A człowiek przed nimi – do kieszeni człowieka przed sobą. Na stadionie Twickenham nikt na nikogo nie sika.

Mabbut wyjrzał przez okno. Tęsknie spojrzał na morze czerwono-białych szalików. Dwa razy dzwonił do Sama, zostawił mu wiadomość o biletach, ale nie doczekał się odpowiedzi. Sam znał siłę milczenia.

Dopiero dobrze po drugiej skręcili z Southwark Bridge Road na parking wydawnictwa Urgent Books. Ponieważ była sobota, nikt nie pełnił dyżuru przy bramie; wisiała na niej za to kartka z numerem, pod który należało zadzwonić w razie potrzeby. Zanim pracownik podniósł barierkę i opuścił kolczatkę, minęło kolejne pięć minut. Hector wysadził ich przed bocznymi drzwiami, prowadzącymi do szklano-marmurowej recepcji, pustej, jeśli nie liczyć Azjaty w fioletowym kombinezonie, który szerokimi, powolnymi ruchami polerował froterką marmurową podłogę. Ron, świeży i elegancki, w granatowej koszulce polo i dżinsach, zawołał do nich z górnej galerii.

– Pierwsze piętro. Kawa już się parzy. Winda nie działa.

Podczas wspinaczki staroświecką kręconą klatką schodową Mabbut zwolnił, widząc, że idzie dużo szybszym tempem niż Silla. Na górze agentka musiała przystanąć, żeby złapać oddech.

– Dobrze się czujesz, Sillo?

– Tak, dzięki, mój drogi. Po prostu wolę schody, które prowadzą w dół.

Latham przyniósł im kawę z automatu do swojego gabinetu. Po drodze wskazał szereg pustych stanowisk roboczych i ze smutkiem pokręcił głową.

– Osobiście nigdy nie rozumiałem idei weekendu.

W gabinecie wskazał gościom dwa skórzane fotele, a sam zasiadł za biurkiem. Mabbut dostrzegł za oknem światło odbijające się w odległej Tamizie i to dodało mu otuchy. Latham zasunął rolety z trzaskiem.

– Wybaczcie. To jedyny problem z tym biurem. Wkrada się tu światło słoneczne.

– Masz tu może wodę, Ron? – zapytała Silla.

Mabbut obejrzał się na nią. Musiała się tego spodziewać, bo zrobiła głupią minę, co trochę go uspokoiło.

Ron sięgnął do lodówki i wyjął z niej małą butelkę wody. Na biurku leżał otwarty maszynopis. Mabbut zauważył nagryzmolone notatki Rona, nawet na stronie tytułowej, na litość boską!

Ron poślinił palec wskazujący i zaczął kartkować wydruk.

– Okej. Wiecie, jaki mam z tym problem. Tekst jest dobrze napisany.

Popatrzył na Mabbuta tak, jakby na tym polegał jego pierwszy błąd.

– I gdybym był matką Melville'a albo sekretarzem generalnym Amnesty International, szalałbym z zachwytu.

Silla kaszlnęła mimowolnie. Mabbut spojrzał jej w oczy. Latham odchylił się na fotelu, splatając palce.

– Spędziłeś za dużo czasu na platformach naftowych, Keith. Straciłeś wyczucie.

Mabbut otworzył usta, żeby jakoś zaprotestować, ale słowa uwięzły mu w gardle. Latham pastwił się nad kilkoma kolejnymi stronami, a potem podniósł manuskrypt obiema dłońmi, jakby go ważył.

– Nie chciałbym cię obrazić, ale to przypomina list miłosny do nowego kochanka.

Mabbut spiekł raka. Silla storpedowała Lathama spojrzeniem. Odwzajemnił je, a potem oboje odwrócili wzrok.

– No dobrze – ciągnął Latham. – Powiedziałem swoje. Nic więcej nie dodam, poza tym, że nie jest to książka, którą mógłbym zarekomendować zarządowi firmy.

Mabbut poczuł się bardzo zmęczony, jak ktoś, kto po raz kolejny grzęźnie w ruchomych piaskach w chwili, gdy zapadają mu się czubki palców u stóp.

– Posłuchaj, zrobiłem wszystko, co do mnie należało. Uwierz mi…

Latham wychylił się do przodu i uniósł w górę palec.

– Na razie.

Mabbut przerwał.

– Co takiego?

– Na razie nie jest to książka, którą mógłbym zarekomendować zarządowi firmy.

Silla znowu zaniosła się kaszlem. Tym razem był mocniejszy. Latham ciągnął, nie zwracając na nią uwagi.

– Można zrobić więcej.

Mabbut przewrócił oczami.

– Ron, poruszyłem niebo i ziemię. Rozmawiałem z trzydziestoma, czterdziestoma osobami. Sprawdziłem każdy trop. Nie wymyśliłem sobie tej biografii. Wszyscy go tak widzą. Przykro mi, że jesteś niezadowolony, ale nic na to nie poradzę.

Latham stuknął w jakiś klawisz i spojrzał na ekran.

– Z całym szacunkiem, Keith, wydaje mi się, że parę rzeczy ci umknęło. Poprosiłem chłopców i dziewczęta z mojego zespołu, żeby jeszcze raz przyjrzeli się tym pominiętym kwestiom i… o właśnie.

Wcisnął inny przycisk. Rozległ się cichy szmer drukarki.

– Znaleźli coś, co najwyraźniej przeoczyłeś.

Przesunął fotel wzdłuż biurka i wyjął dwie zadrukowane kartki papieru. Jedną podał Mabbutowi, drugą – Silli.

– Moim skromnym zdaniem warto się temu przyjrzeć. Nie muszę wam chyba mówić, że to poufne informacje. Może to właśnie tego potrzebuje nasza książka.

CZTERY

Kiedy zatrzymali się przed apartamentowcem Silli, Hector musiał jej pomóc wysiąść. Poza krótką diatrybą poświęconą japońskim turystom w maseczkach chirurgicznych („Kto tu jest chory? My czy oni?") w drodze powrotnej był dziwnie przygaszony. Mabbut i jego agentka prawie się nie odzywali i choć raz atmosfera w samochodzie udzieliła się Hectorowi.

Mabbut przytrzymał drzwi z mosiężnymi klamkami, a Silla, nie przyjmując podsuniętego ramienia, wyprostowała się i weszła do lobby.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Tak, nic mi nie będzie. Boli mnie głowa, to pewnie jakaś grypa.

– Może wejdę na górę?

Silla pokręciła energicznie głową.

– Nie, nie, nie, mój drogi. Nie ma potrzeby. Napiję się grogu z whisky, położę się do łóżka i obejrzę *X Factor*. Do rana mi przejdzie.

Mabbut wcisnął guzik windy.

– W co on gra, Sillo? O co w tym wszystkim chodzi?

– Czy ja wiem, mój drogi? Ktoś nad nim cały czas stoi. Urgent włożył w ten projekt dużo pieniędzy i chce dostać w zamian książkę, o której będzie głośno. Uwierz mi, tak działa ten biznes. Poza tym on może mieć rację. Może coś przeoczyłeś? Nikt nie jest doskonały. Ani ty, ani Melville.

– Mam zrobić, co mi każe?

– Nie mamy wyjścia, mój drogi. Klauzula akceptacji wydawcy to twardy orzech do zgryzienia. Mogą wodzić cię za nos znacznie

dłużej.

Sprawiała wrażenie wycieńczonej, ale zdołała posłać mu blady uśmiech.

– Tylko bez fochów, kochanie. Sześć miesięcy temu nie wierzyłeś własnemu szczęściu. Teraz zachowujesz się jak Ernest Hemingway.

Przyjechała winda.

– Porozmawiamy rano?

Silla kiwnęła głową, pomachała mu stanowczo dłonią i wsiadła do windy. Mabbut czuł za plecami obecność Hectora. Jego masywna sylwetka wypełniała całe wejście.

– Nie wygląda dobrze.

– Nie.

– Cztery lata ją wożę. Nigdy tak nie wyglądała.

Mabbut przytaknął skinieniem głowy.

– Kiedyś woziłem inną panią. Dużo młodszą. Stale się śmiała. A potem któregoś dnia nie zeszła do samochodu.

– Och, na pewno nic jej nie będzie.

– Umarła. Dwa dni wcześniej! Musiałem się włamać. Pięćdziesiąt jeden lat.

– To smutne.

– O tak. Smutne. Dokąd teraz? Do pana mieszkania?

– Nie, nie… muszę zrobić zakupy.

Z jakiegoś powodu Hector mrugnął do niego.

– Oczywiście, sir. Rozumiem. – Ruchem głowy wskazał windę. – Proszę o nią dbać. To dobra kobieta.

Mabbut wyszedł z budynku Silli i skręcił do niewielkiego parku, w którym królował rozłożysty londyński platan. Niełatwo było tam trafić – park był pozostałością osiemnastowiecznego przykościelnego cmentarza. Tylko nieliczni wiedzieli, że to miejsce publiczne. Kobieta z córką karmiły stado grubych, niespokojnych gołębi. Dwie młode Azjatki w chustkach na głowach chichotały na jednej z ławek. Inni

przechodzili przez park, nie zatrzymując się. Mabbut znalazł drewnianą ławkę w ustronnym miejscu. Oparł się o tabliczkę z napisem „Pamięci Mifanwy Dell, która kochała to miejsce” i wyjął kartkę, którą wręczył mu Latham. Na górze tłustym drukiem widniało nazwisko i adres niejakiego Victora Tricketta. Sir Victora Tricketta. Resztę tekstu Latham najwyraźniej przekleił z innego dokumentu, prawdopodobnie z raportu jego informatora.

Zatem po szeroko zakrojonym dochodzeniu ustaliliśmy, że to ten sam człowiek, który pozostawał w kontakcie z Melvillem na początku lat osiemdziesiątych, który to epizod nie świadczy dobrze o panu Melville'u. VT zgodził się porozmawiać z autorem książki pod warunkiem, że jego tożsamość nie zostanie ujawniona. Nigdy dotąd nie mówił o swoich relacjach z panem Melvillem, ale teraz jest gotowy, za [fragment wycięty], powiedzieć, jak było naprawdę, zanim będzie za późno. Zalecamy, żeby autor jak najszybciej nawiązał kontakt z VT w celu ustalenia terminu spotkania.

Na dole Latham dopisał ręcznie: *Zdecydowanie warto sprawdzić. W razie problemów organizacyjnych, kontaktuj się osobiście ze mną 24/7. RL.*

Mabbut złożył kartkę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Przybierający na sile wiatr zaszeleścił gałęziami drzewa, pod którym siedział. Przez ostatnie miesiące, gdy przemierzał kraj wzdłuż i wszerz, szukając kontaktów i zbierając informacje w bibliotekach i archiwach prasowych, przypomniał sobie, dlaczego kiedyś odnosił sukcesy w swojej pracy. Był skrupulatny. Chlubił się tym, że sprawdza każdy trop, puka do każdych drzwi, upewnia się, że niczego nie pominął. Teraz okazało się, że przeoczył coś istotnego. Wróciło znajome uczucie, nagły kryzys wiary w siebie, który tak często go dopadał.

Czytał tę pojedynczą kartkę papieru raz po raz. Coś mu się tu nie podobało. Nie chodziło tylko o to, że pojawienie się nowych informacji go kompromitowało, ani że wyszły na światło dzienne tak późno i pochodziły od anonimowej postaci, która uzyskała je od

równie anonimowego informatora. Podejrzenia Mabbuta wzbudził fakt, że Latham przyjął te rewelacje tak bezkrytycznie. I jeszcze to mętne, konspiracyjne: „kontaktuj się osobiście ze mną". Za tym kryło się coś więcej niż poszukiwanie prawdy. Jeśli w Urgent Books powołano zespół mający znaleźć jakiegoś haka na Melville'a, to być może Mabbut wcale nie popełnił grzechu zaniechania. Uczciwe dziennikarstwo nie polega na celowym wyszukiwaniu kompromitujących informacji.

Zaczął siąpić deszcz, obrysowując okrąg suchej ziemi pod drzewem. Elegancko ubrana kobieta przemknęła tuż obok, ściskając swojego psa tak, jakby bała się, że zmoknie. Młode Azjatki wstały i wyszły z parku. Potem spojrzały na swoje telefony komórkowe. Jedna z nich pisnęła cienkim głosem, a później pobiegły prędko ulicą.

– Cześć, tato.

Mabbut zamknął za sobą drzwi, rzucił torbę na ziemię i powlókł się do kuchni. Jay i Sziraj siedzieli przy stole nad parującymi kubkami herbaty, jedząc coś zdrowego z aluminiowych pojemników przypominających kształtem i rozmiarem te, które w każdy sobotni wieczór zaśmiecały wejście do najbliższej stacji metra.

– Podobała im się książka?

Mabbut w ostatnim momencie powstrzymał się przed powiedzeniem prawdy.

– Raczej tak. Chcą, żebym przyjrzał się kilku kwestiom, zanim dopełnimy formalności. A co u was? Mieliście dobry dzień?

– Tak, świetny.

Jay uśmiechnęła się i wzięła Sziraja za rękę.

– Dziś po południu udało mi się porozmawiać z moją mamą i kuzynami. Wszyscy bardzo się cieszą i z całego serca dziękują panu za pomoc w potrzebie.

Mabbut chrząknął, zdejmując kubek z haczyka nad blatem.

– Obawiam się, że nie dostanę pieniędzy od razu. Wydawnictwo opóźnia płatność.

Jay spochmurniała.

– Przecież oddałeś już książkę?

– Zasadniczo tak. Ale muszę przeprowadzić jeszcze kilka wywiadów. Zajmie mi to jakiś tydzień.

Jay wyglądała na zażenowaną. Sziraj pokręcił głową i odwrócił się do niej, mówiąc cicho:

– Nic się nie stało, Jay. Powiem im.

Mabbut wciąż miał na sobie płaszcz. Odwrócił się i poszedł do przedpokoju, żeby powiesić okrycie. Zanim wrócił do kuchni, zdążył podjąć decyzję. Ze wszystkich osób w jego najbliższym otoczeniu Jay była najbardziej niewinna, otwarta i zdana na niego. Tej jednej relacji rodzinnej nie spieprzył. A większość własnych długów i tak już spłacił.

– Nie martw się, Sziraj. Zaraz zrobię przelew. Pieniądze powinny wyjść w poniedziałek z samego rana.

– Sir, nie wziąłbym ani grosza, gdybym nie mógł wszystkiego spłacić. Proszę mi wierzyć, moja rodzina będzie wdzięczna za każdą sumę, jaką pan dla nas znajdzie. Już podarował mi pan swoją gościnność i przyjaźń. Nigdy tego nie zapomnę.

Mabbut spojrzał na Sziraja. Ten chłopak miał znacznie poważniejsze problemy niż cokolwiek, z czym on sam musiał się dotąd zmierzyć. To były sprawy życia lub śmierci, a Sziraj przyjmował wszystko ze stoickim spokojem. Żądania Urgent Books wydawały się nieistotne w porównaniu z tym, co mogło spotkać Sziraja albo jego rodzinę. Mabbut czuł nie tylko sympatię do tego nadzwyczaj przyzwoitego młodego mężczyzny, który pojawił się w ich życiu dzięki Jay, lecz także wdzięczność. Dzięki niemu miał szansę choć w niewielkim stopniu naprawić świat. Wyciągnął rękę. Sziraj wstał, a wtedy Mabbut rozłożył ramiona i mocno go przytulił.

PIĘĆ

Niełatwo było znaleźć sir Victora Tricketta. Jego adres „Lees Hall” nie został opatrzony żadnym numerem. Na kartce widniała tylko nazwa wsi, w której znajdowała się posiadłość – „Great Brenham, Norfolk”. Mabbut pojechał pociągiem do Norwich, a na miejscu wynajął samochód i dwa razy zabłądził, krążąc bocznymi uliczkami. Lokalne drogowskazy wciąż miały kształt wskazujących kierunek palców.

Great Brenham było największą wsią w skupisku obejmującym również Little Brenham, Brenham Till i Brenham Magister. Kiedyś okolica słynęła z trzech średniowiecznych kościołów, ale obecnie populacja wszystkich wsi Brenham sięgała zapewne kilkuset mieszkańców. Jedynym miejscem przypominającym centrum były niewielkie błonia z samotnym sklepem wielobranżowym. Właścicielka w podeszłym wieku pokierowała Mabbuta do Lees Hall.

– Dom stoi pusty już jakiś czas – dodała zachęcającym tonem.

Mabbut kupił porcję mięsa w cieście i zjadł lunch w samochodzie. Patrząc przez okno na kilka kamiennych domków o ścianach porośniętych pnączem, wbrew wszystkiemu zaczął marzyć, że trop okaże się fałszywy. Strzepnął okruchy, napił się wody, a potem przyjrzał się uważnie naszkicowanej naprędce mapce i zapalił silnik. Przejechał około mili wiejską drogą, po czym skręcił w ścieżkę prowadzącą między kamienistymi polami w dół do niewielkiego zagajnika. Zwolnił przed stosem drewna oznaczonym na rysunku. Kilka metrów dalej widniała potężna zmurszała brama. Jej skrzydła związano sznurem. Mabbut wysiadł z samochodu i zabierał się właśnie za węzeł, kiedy usłyszał ochrypłe szczekanie psa i czyjś głos.

– Ja się tym zajmę!

Zarośniętym podjazdem kroczyła niska, beczułkowata postać. Mężczyzna w berecie i trenczu wyglądał na równolatka Mabbuta. Za nim wlókł się stary retriever.

– Mabbut, jak przypuszczam.

Przy bliższych oględzinach gospodarz okazał się wyraźnie starszy od Keitha. Jego skóra, choć jędrna, pokryta była głębokimi zmarszczkami. Miał plamy wokół szyi i gęste siwe wąsy, a kosmyki białych włosów wymykały mu się spod beretu, ozdobionego z przodu odznaką, która przyciągnęła wzrok Mabbuta.

– 18. Pułk Husarzy Królewskich. Teraz nazywają ich Lekkimi Dragonami.

Mówił ostrym, chrapliwym głosem, jakby był rozdrażniony. „Typowy samotnik", pomyślał Mabbut, patrząc, jak mężczyzna zręcznie rozplątuje węzły i wsuwa linę między słupy bramy.

– Może pan wprowadzić samochód. Proszę tylko uważać na psa. Jest praktycznie ślepy.

Posiadłość Lees Hall przypominała ogromną wiktoriańską willę. Fasadę z czerwonej cegły porastał bluszcz, a dom z trzech stron otaczał las. Sprawiało to wrażenie, jakby natura pracowała nad odzyskaniem dawnych włości. Z jedynej nieosłoniętej drzewami strony widać było niewielkie wzniesienie, na którym stały budynki wyglądające na zabudowania gospodarcze.

– To dawna farma – wyjaśnił człowiek, którego Mabbut musiał uznać za Victora Tricketta. Przeszli przez ganek i stanęli w ogromnym, ciemnym korytarzu, w którym pachniało psem i wilgocią.

– Piwa?

Mabbut odmówił.

– Ma pan może kawę? – zapytał.

– Nie.

– A herbatę?

Gospodarz parsknął z irytacją:

– Pasuje panu z torebki?

– Oczywiście.

– Powinna być w szafce. – Trickett wskazał długą, wąską kuchnię po drugiej stronie korytarza. – Nad zlewem. W czajniku jest woda.

Jego głos ucichł w oddali, a Mabbut został sam. Warstewka tłuszczu na kuchennym blacie zniechęciła go do jakichkolwiek dalszych poszukiwań. Upewniwszy się, że nie jest obserwowany, Mabbut opróżnił czajnik i nalał świeżej wody, a potem wybrał kubek, umył go starannie i postawił w jedynym wolnym miejscu.

– Więc co chce pan wiedzieć?

Głos dobiegał z pokoju sąsiadującego z kuchnią. Mabbut wyjrzał przez drzwi i zobaczył swojego gospodarza w zagraconym salonie. Pokój był zastawiony eleganckimi meblami, lecz zanadto przypominał zaplecze sklepu z antykami, żeby można było wygodnie z niego korzystać. Trickett usiadł w fotelu i przelał piwo z butelki do naczynia, które wyglądało na wojskowy kufel.

– Czas ucieka – powiedział.

Czajnik ledwo szumiał, więc Mabbut pożegnał się z myślą o herbacie i usiadł, sięgając do kieszeni po dyktafon.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli to włączę?

– Raczej będzie.

– Chodzi tylko o precyzję. Nagranie chroni i pana, i mnie.

– Nie używacie już notesów?

– Robię też notatki. Dyktafon jest tylko na wszelki wypadek.

– Wystarczy notes.

Mabbut odłożył dyktafon i wyciągnął notatnik oraz niebieskiego pentela.

– Niełatwo się tu do pana dostać.

– Mnie to odpowiada.

Mabbut odchrząknął.

– Sir Victorze, rozumiem, że zna pan Hamisha Melville’a.

– Znałem. Nie widziałem go od lat.

W tym tonie przebiegała większa część ich rozmowy. Mabbut naciskał, Trickett odparowywał ciosy. Twierdził, że poznali się w wojsku, kiedy Melville był kapitanem w Korpusie Inżynierów Królewskich. Przynajmniej to pokrywało się z informacjami Mabbuta. Obaj brali udział w inwazji na Suez w 1956 roku i obaj oceniali tę operację bardzo krytycznie. Potem utrzymywali kontakt. Żadnego z nich nie interesowało życie w cywilu, obaj byli „trochę zrzędliwi" z natury. A potem, nikogo nie uprzedzając, Melville odszedł z wojska i zaczął karierę w City. Trickett został w husarzach jeszcze jakiś czas, ale widząc, jak dobrze radzi sobie Melville i inni byli żołnierze, on też wystąpił z wojska i zajął się biznesem. Melville umiał manipulować ludźmi, miał „tak zwane umiejętności interpersonalne". Trickett przyznał, że sam był jego przeciwieństwem – wynalazcą, który najlepiej czuł się przy desce kreślarskiej albo w laboratorium. U zarania ery kardiochirurgii pracował nad pionierskim kompletem mechanicznych zastawek i eksperymentował z nowym typem zastawek plastikowych. Badania były drogie, więc zaprosił do spółki dawnego kolegę z wojska, Melville'a.

Nim doszli do tej części, Trickett zdążył wypić dwa piwa, a kiedy powrócił z trzecim, jego opowieść przyjęła zupełnie inny obrót.

– Czy coś wyszło z tej spółki?

Trickett, zanim odpowiedział, wytarł palcem górną wargę.

– Tak. Ale nie to, na co liczyłem.

Z jego głosu zniknął wojskowy ton i pierwszy raz wydawał się trochę zagubiony. Do salonu wszedł pies, węszył przez chwilę, a później ułożył się u stóp swojego pana.

– Nikomu o tym nie mówiłem – zaczął Trickett, wbijając wzrok w Mabbuta – a pańscy ludzie obiecali, że…

– Moi ludzie?

– Ten facet, który dzwonił. Powiedział, że pracuje dla pana.

Przez chwilę obaj patrzyli na siebie, zdezorientowani. Trickett zaczął wstawać.

– Zapisałem gdzieś jego dane. Mogę poszukać.

Mabbut pokazał mu gestem, żeby został w fotelu.

– Tak czy siak, powiedziałem mu wyraźnie, że nie chcę być wymieniony z nazwiska.

– Ma pan jakiś konkretny powód?

– Jak pan widzi, jestem bardzo skrytym człowiekiem. Nie interesuje mnie wyrównywanie rachunków. Ale skoro powstaje książka, to trzeba w niej napisać prawdę.

– Oczywiście.

– No to panu powiem. Hamish i ja pokłóciliśmy się o kobietę. Dziś może się wydawać, że to nic wielkiego, ale kosztowało mnie to pieniądze i reputację. Razem ze mną pracowała moja żona. Była Jugosłowianką, a dokładniej – Słowenką. Słyszała o moich badaniach nad zastawkami. Sama zajmowała się czymś podobnym, więc zaczęliśmy korespondować. Pojechałem do Ljubljany, żeby ją poznać. Połączyła nas wielka…

Trickett chrząknął i spuścił oczy na dywan.

– …wielka sympatia. Bettina przyjechała do Londynu w 1976, rok później wzięliśmy ślub. Była mądrą kobietą. I piękną.

Zaśmiał się ze smutkiem.

– Nie miałem najmniejszych szans. Nie widziałem świata poza pracą, ślęczałem nad projektami, przeprowadzałem kolejne testy, żeby dowieść ponad wszelką wątpliwość, że wszystko zadziała. Bettina pracowała u mojego boku, ale była mniej… zdeterminowana niż ja. Lubiła łączyć pracę z zabawą.

Pies ziewnął przeciągle i wyciągnął łapy na dywanie. Trickett zrobił coś podobnego. Wyprostował się na krześle, napiął ramiona i spojrzał Mabbutowi prosto w oczy. Kiedy się odezwał, w jego głosie znów pobrzmiewała wojskowa precyzja.

– Krótko mówiąc, Melville ją uwiódł. Straciłem nie tylko żonę, ale także pieniądze, które zainwestowaliśmy w badania nad zastawkami. Trzy lata później ktoś stworzył podejrzanie podobną technologię.

Myślałem o tym, żeby wystąpić na drogę sądową, ale co by to dało? Nigdy nie odzyskałem Bettiny. Wróciłem do badań medycznych i stworzyłem nowy typ kaniuli do płucoserca. W 1989 roku otrzymałem tytuł szlachecki, więc właściwie nie mogę narzekać. Ale kiedy usłyszałem, że Hamish Melville jest kreowany na zbawiciela ludzkości, uznałem, że najwyższa pora podać moją wersję wydarzeń.

W pokoju zapadła cisza. Mabbut notował jak szalony. Dawno nie stenografował i teraz z trudem nadążał za rozmówcą. Kiedy Trickett skończył, wstał, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie zamierza gościć Mabbuta w swoim domu ani chwili dłużej. Mabbut zauważył, że oczy staruszka zaszły łzami. Może zmęczyło go wspominanie dawnych czasów.

– Czy mogę zapytać?…

– Pan wybaczy, panie Mabbut, mam wiele innych zajęć.

– Oczywiście. Pańskie doświadczenie musi być bardzo cenne.

Machnął ręką, jakby oganiał się od muchy.

– Tak, stale mi zawracają głowę.

Powłócząc nogami, ruszył przez korytarz.

– Pracuje pan nadal? – zapytał Mabbut, idąc za nim.

– Robię to i owo. Mózg taki jak mój nigdy nie odpoczywa.

Doszli do drzwi wejściowych.

– No cóż, dziękuję panu za spotkanie.

Mabbut wsunął dłoń do tylnej kieszeni spodni i głównie z obowiązku wręczył Trickettowi wizytówkę.

– To mój numer, sir Victorze. Na wypadek, gdyby chciał się pan ze mną skontaktować.

Trickett przyjął ją i nawet na nią nie spojrzawszy, wrzucił bez patrzenia do zakurzonej misy obok telefonu. Potem odsunął ciężką kotarę i otworzył drzwi.

Szli w kierunku samochodu, chrzęszcząc butami na żwirze.

– Pójdę przodem. Otworzę panu bramę – powiedział Trickett.

– Sir Victorze, czy mogę zadać ostatnie pytanie?

Trickett zatrzymał się i odwrócił do niego.

Mabbut zdawał sobie sprawę, że stąpa po cienkim lodzie. Nie mógł przyznać wprost, że uważa te rewelacje za wymysły zdziwaczałego starca.

– Na pewno pan rozumie, że muszę bardzo dokładnie sprawdzić zarzuty tego rodzaju. Czy ktoś mógłby… potwierdzić pana słowa? Na przykład pana żona?

Trickett pokręcił głową.

– Moja żona nie żyje od dziesięciu lat.

Mabbut zamknął notes i już miał wsiąść do samochodu, kiedy Trickett oznajmił:

– Jest ktoś, kto ją znał.

Mabbut westchnął w duchu i znów sięgnął po notatnik.

– Kto taki?

Trickett przez chwilę wpatrywał się w żwir. Później podniósł wzrok, ale nie na Mabbuta. Utkwił spojrzenie w jakimś punkcie za jego plecami. Oblizał wargi.

– Jej córka. Na imię ma Ursula. Nie mieszka w tym kraju. Kiedy ostatnio miałem o niej jakieś informacje, była w Czechosłowacji.

Mabbut zapisał to, a później popatrzył znów na Tricketta.

– Ursula, a dalej?

– Galena.

– Ursula Galena – powtórzył, uzupełniając notatki. – Bardzo dziękuję.

– Nazwisko panu niepotrzebne?

– Przepraszam, myślałem, że to było nazwisko.

Trickett pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Ursula Galena Melville.

SZEŚĆ

Uzdrowisko Karlowe Wary leżało w uroczej, lesistej dolinie. Przez większość swojego istnienia kurort był znany jako Karlsbad, ale nazwę zmieniono pod koniec drugiej wojny światowej, kiedy Niemcy, którzy mieszkali tam z przerwami od pięciuset lat, zostali wysiedleni, a miasto znalazło się na terytorium Jugosławii, później Czechosłowacji, a obecnie Republiki Czeskiej. Wychodząc z dworca, Mabbut miał poczucie nierealności otoczenia, jakby obudził się w baśni braci Grimm. Stłoczone obok siebie domki, wieże z cebulastymi kopułami, spadziste dachy i bladoróżowe ściany wyglądały jak zrobione z piernika. To miejsce przywołało dość bolesne wspomnienie wakacji z Krystyną w górach na południu Polski. Wtedy po raz pierwszy od dawna wyjechali sami, zostawiając dzieci. To był magiczny tydzień, z dala od pracy i domu. Krystyna mawiała potem, że nie chce już więcej wracać do Polski, bo już nigdy nie będzie tam równie szczęśliwa.

Dotarł do wartkiej rzeki, wijącej się w przepustach przez miasto, i przeszedł przez most na malownicze nadbrzeże pełne turystów. Niektórzy kupowali szkło i bibeloty, inni wybierali przejażdżkę dorożką, zaprzężoną w kucyki z czerwonymi nausznikami. Korpulentne kelnerki w obszernych spódnicach przynosiły tace z kawą i czekoladą gościom, którzy raczyli się późnym lunchem albo wczesnym podwieczorkiem na kawiarnianych tarasach. Pod długą klasyczną kolumnadą grupki osób w podeszłym wieku czekały w kolejce, żeby napić się wody ze słynnych leczniczych źródeł.

Mabbut znalazł wolny stolik i zamówił kawę. Myśli wciąż zaprzątała mu Krystyna, dlatego wyjął notes i przejrzał kilka ostatnich stron,

usiłując skupić się na czekającym go zadaniu.

Od spotkania z Trickettem minęły dwadzieścia cztery godziny. Rozmowa z nim wytrąciła Mabbuta z równowagi z kilku powodów. Fakt, że sam nie dotarł do tego człowieka, świadczył o wyraźnym zaniedbaniu z jego strony. Cała sprawa wydawała mu się jednak dziwna. Dlaczego te ściśle tajne i najwyraźniej sensacyjne informacje wyszły na jaw dopiero teraz? Przeoczył je, ale nie tylko on – zespół analityków Lathama również, mimo że podobno rozpracowywali Melville'a od sześciu miesięcy.

Na stoliku pojawiła się kawa. Mleczna pianka jeszcze drgała na ciemnej powierzchni napoju.

Mabbut nie miał okazji poznać żadnego członka zespołu Lathama. Powiedziano mu, że to stażyści, młodzi absolwenci, którzy chcą się wkręcić na stałe do branży wydawniczej. Sporadycznie prosił ich o jakieś informacje, ale zawsze kontaktowali się za pośrednictwem Lathama. No i sam Trickett. Niezbyt przekonujący świadek. Smutny, zgorzkniały stary człowiek, który nie chciał być wymieniony z nazwiska. Mabbut miał przeczucie, że to jakiś przekręt, który ma niepokojący związek z determinacją Lathama, żeby zmienić charakter książki. Czuł, że musi spróbować odzyskać przewagę i przejąć inicjatywę, zanim wszystko wymknie mu się z rąk. Sprawdzić wiarygodność Tricketta. I przekonać się, czy Ursula Melville faktycznie istnieje, zanim ktoś go ubiegnie.

Nie miał żadnego punktu zaczepienia. Tylko nazwisko i kraj. Jedyną Ursulą Melville, jaką znalazł, była siedemdziesięciopięcioletnia aktorka radiowa. Już miał się poddać, ale dla pewności wpisał do wyszukiwarki jej pełne imię. Google zapytało, czy chodzi mu o „produkty lecznicze Galena". Mabbut machinalnie potwierdził, a chwilę później poderwał się z krzesła. Produkty lecznicze Galena wytwarzano w klinice w Republice Czeskiej. Adres – Stara Louka, Karlowe Wary. Brak numeru telefonu i adresu e-mail. To był strzał w ciemno, wielka niewiadoma, ale musiał spróbować.

Mabbut dopił kawę, zostawił pieniądze pod spodeczkiem i przeszedł przez plac na spokojną uliczkę, pełną butików w wysokich dziewiętnastowiecznych kamienicach, pomalowanych na żywe odcienie zieleni, czerwieni, różu i błękitu. Ulica nie była długa, a pod numerem dziewiętnastym znalazł tabliczkę, której szukał. „Ośrodek Zdrowia i Urody Galena". Napis po angielsku. Wcisnął guzik domofonu i drzwi się otworzyły.

Wystrój był chłodny, biały i minimalistyczny. Słyszał o prywatnych sanatoriach tego rodzaju. Obsługiwały głównie zamożnych Rosjan, wykorzystując ogólnie dostępne wody mineralne do zabiegów, na które stać było bardzo nielicznych: drogich, ekskluzywnych, kompleksowych i obliczonych na poprawę samopoczucia możnych tego świata. Schody wiodły do recepcji na pierwszym piętrze.

Mabbut znalazł się w długim, jasnym pomieszczeniu. Stały w nim brązowe skórzane kanapy, a na ścianach wisiały oprawione zdjęcia pięknych ciał. Było to całkowicie neutralne, osobliwie zdepersonalizowane wnętrze, które zupełnie nie kojarzyło się z Hamishem Melvillem.

Z przyzwyczajenia, a może chcąc zaznaczyć, że nie przyszedł na zabieg upiększający, Mabbut sięgnął do kieszeni i wyjął swój notes. Wykonując ten gest, dostrzegł swoje odbicie w przyciemnionym lustrze za recepcją. Wyglądał staro i podejrzanie, jak leciwy detektyw podczas swojego ostatniego zlecenia. Recepcjonistka miała nieskazitelną cerę i bladą, idealną twarz lalki. Uśmiechnęła się najlepiej, jak umiała.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Szukam niejakiej pani Melville.

– Kogo?

– Pani Melville. Ursuli Melville.

– Nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

– To klinika Galena?

– Ośrodek. Tak.

– Powiedziano mi, że pracuje u państwa Ursula Melville.

Dziewczyna na recepcji wydawała się zdumiona.

– Nie, nie wydaje mi się.

Mabbut był w kropce. W duchu zaczął już sobie wyrzucać całą tę absurdalną eskapadę, gdy nagle twarz recepcjonistki się rozjaśniła.

– Jest za to Ursula Weitz.

– Czy mogę się z nią zobaczyć?

– Kogo mam zapowiedzieć?

Mabbut otworzył usta, ale w tym samym momencie doznał największego szoku w życiu. Drzwi za recepcją otworzyły się z rozmachem i stanął twarzą w twarz z wysoką, imponującą kobietą o gęstych złotych włosach. Natychmiast ją rozpoznał. Ten sam przenikliwy wzrok, bystre spojrzenie, wrodzone opanowanie. Jakby zobaczył Hamisha we własnej osobie, tyle że czterdzieści lat młodszego, w białym fartuchu i z obfitym biustem. Dlatego kiedy kobieta odezwała się z miękkim niemieckim akcentem, przez chwilę stał zdezorientowany.

– W czym mogę panu pomóc?

Recepcjonistka dodała niepotrzebnie:

– To właśnie pani Weitz.

– To wyciąg z sosny ze skórką cytryny, panie… proszę mi przypomnieć nazwisko?

– Mabbut. Keith Mabbut.

– Smakuje panu?

– Bardzo smaczny – skłamał Mabbut po pierwszym łyku herbaty.

Siedzieli w gabinecie Ursuli Weitz. Ściany obwieszone były fotografiami osób, które poddały się zabiegom w klinice, a właściwie osób, które poddały się zabiegom i zgodziły na zdjęcie. Mabbut rozpoznał kilka głów państw. Nazwisk pozostałych nie był pewien, ale wiedział, że to aktorzy, sportowcy, gwiazdy telewizyjne. Wszyscy pozowali z nieprzeniknionymi uśmiechami. Uśmiechami niczym maski

skrywające lęki, które przywiodły ich do kliniki. Lęk przed utratą urody i atrakcyjności, władzy, która pozwalała mamić i uwodzić.

Przebrnęli już przez krępującą procedurę prezentacji. Wprawdzie samo istnienie Ursuli Weitz mogło okazać się fatalne w skutkach dla książki, ale coś w zachowaniu kobiety mimo wszystko dawało Mabbutowi nadzieję. Może jej otwartość? Nie była rozgoryczona jak Trickett.

– Wiem, kim jest mój ojciec, ale nie utrzymuję z nim kontaktów. Pewnie poznałam go w dzieciństwie, ale zupełnie tego nie pamiętam. Moja matka, Bettina, wyszła za mąż za mojego ojczyma, Feliksa…

– Feliksa Weitza?

Kiwnęła głową.

– Tak. Pobrali się, kiedy miałam pięć lat. Mam dwie przyrodnie siostry i jednego przyrodniego brata i razem tworzymy wielką, szczęśliwą rodzinę. Choć prawdę o sobie znałam od zawsze. Mama musiała mi wszystko powiedzieć. Byłam pół metra wyższa od rodzeństwa!

Ursula parsknęła śmiechem. Głośnym, niekobiecym rechotem, który raził w tym chłodnym wnętrzu.

– A pani ojczym? Nie martwiło go to?

Pokręciła energicznie głową.

– Był zajęty zarabianiem pieniędzy. Uwielbiał bawić się rynkami. Zupełnie jak dziecko. Po zjednoczeniu Niemiec wykupił na wschodzie co tylko się dało, firmy, którymi nikt się nie interesował. Dziesięć lat później wszystkie przynosiły dochód. Wtedy je sprzedał i ruszył na łowy do dawnych republik sowieckich.

Zachichotała na to wspomnienie.

– Rozsadzała go energia, rozumie pan. Wracał do domu, powiedzmy z Azerbejdżanu, i opowiadał, że kupił firmę naftową, bo jako jedyny nie zasnął na popijawie.

– Czy on?…

– Żyje? Nie. Był sporo starszy od mojej matki.

Mabbut zawahał się.

– Może… może nie powinienem o to pytać, ale czy nie chciałaby się pani spotkać ze swoim prawdziwym ojcem?

– Prowadzę własną firmę. W przyszłym roku otwieramy spa w Berlinie. Mam partnera, z którym jestem już od pięciu lat. Mam swoje życie. Po co je komplikować?

– Tak. Rozumiem. Chciałbym jeszcze zapytać, czy matka opowiadała pani o swoim pierwszym mężu?

– Opowiadała mi o moim ojcu. I to często.

– Widzi pani, niejaki Victor Trickett twierdzi, że Melville odbił mu pani matkę i wykradł ważny projekt zastawek serca jego autorstwa. Wspominała coś o tym?

Ursula zmarszczyła brwi.

– Może pan powtórzyć to nazwisko?

– Victor Trickett. Sir Victor Trickett.

– Nie, nie przypominam sobie, żeby cokolwiek o nim mówiła.

– Nie wspominała o sztucznym sercu albo o patencie na zastawkę? O czymś w tym rodzaju?

Pokręciła głową.

– Niestety. Nic mi to nie mówi.

Rozmawiali przez jakiś czas o tym i owym, a potem zadzwonił brzęczyk na jej biurku. Ursula rozłożyła ręce w przepraszającym geście.

– To mój oligarcha. Już idzie.

Wysunęła szufladę, wyjęła z niej kartę i przestudiowała ją.

– Cztery godziny. Cztery terapeutki.

Wstała zza biurka.

– To chyba dobrze dla pani firmy.

– Sporo płaci, ale myśli, że to daje mu prawo kłaść ręce na wszystko, na co ma ochotę. A nasze terapeutki się na to nie zgadzają.

– I jak sobie pani z nim radzi?

– Sprowadzam dziewczyny z zewnątrz. Robię im godzinne szkolenie i mówię, że jeśli zachowają to dla siebie, mogą zatrzymać napiwki.

– A co pani mówi jemu?

Ursula wzruszyła ramionami.

– On nigdy nie narzeka. Ma dziewięćdziesiąt cztery lata. Już niedługo przestanie nas odwiedzać.

Mabbut uśmiechnął się do niej i wyciągnął rękę.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani czas, pani Weitz. Przykro mi, że musiałem zadać te pytania.

– Rozumiem.

– Pani ojciec to wielki człowiek. To dla mnie zaszczyt, że mogłem go poznać.

Był już w drzwiach, kiedy Ursula zawołała za nim.

– Panie Mabbut?

Odwrócił się.

– Co pan powie na masaż relaksacyjny? Oczywiście na koszt firmy. Mam wrażenie, że bardzo by się panu przydał.

SIEDEM

Mabbut nigdy nie czuł się szczególnie komfortowo w prywatnych klubach. Kiedyś jadł lunch w klubie Garrick. Jeden z ważniejszych informatorów w sprawie wycieku arsenu należał do klubu Reform, ale nigdy nie zaprosił tam Keitha. Tego wiosennego poranka, skręcając z St. James's i pokonując stopnie przed fasadą siedziby klubu White's zdobioną wykuszowym oknem, powtarzał sobie w duchu, że wszyscy ludzie są równi. A niektórzy równiejsi, jak mawiał jego ojciec. Rex Naismith czekał na niego u stóp szerokich kręconych schodów. Miał na sobie jasnoszary trzyczęściowy garnitur, skrojony tak, by maskować tuszę właściciela.

Rex przywitał się z Mabbutem i zaproponował, by przeszli na drinka do sali restauracyjnej na górze. Rozglądając się po pomieszczeniu, Mabbut dostrzegł szerokie plecy, pełne brzuchy i znajome profile dawnych tuzów życia politycznego. Rex zamówił dwa kieliszki domowego białego wina. Przy śledziu i sałatce z buraczków trzymali się neutralnych tematów: rozmawiali o klubie, jego historii, portretach wiszących na ścianach i o tym, że w centrum Londynu nie ma drugiej tak cichej restauracji. Później trzeba było się zająć smaczną, choć nieco łykowatą nowozelandzką jagnięciną. Rex sypał anegdotami o niektórych z gości. Dopiero gdy sprzątnięto ze stołu, a obaj panowie zrezygnowali z deseru, Mabbut zaczął wyjaśniać Rexowi, dlaczego poprosił o spotkanie.

Najdokładniej, jak było to możliwe, opisał swoje problemy z książką o Melville'u i niedawne rewelacje sir Victora Tricketta, oczywiście nie wymieniając go z nazwiska. Podobno Rex wiedział wszystko o wszystkich, więc Mabbut zapytał, czy słyszał o jakichś

sekretach Melville'a: romansie z mężatką albo oszustwach biznesowych. Rex stanowczo to wykluczył. Melville z pewnością wykazywał ambicję i spryt w kwestiach finansowych, ale nie był człowiekiem, który przywłaszczyłby sobie choćby pensa. Z drugiej strony Rex przyznał, że Melville zawsze „miał słabość do kobiet, a one do niego". Mabbut powiedział, że potwierdzają to inni jego rozmówcy. Niejaki Charley Murray słyszał plotki o dziecku, a nawet dwójce. Mabbut uśmiechnął się na wspomnienie Ursuli. Przyciągnęłaby tu wiele spojrzeń.

Ośmielony szczerością Rexa sprowadził rozmowę na bardziej osobisty temat.

– Słyszałem, że ty i Krystyna… rzadziej się widujecie.

Rex wydawał się zaskoczony.

– Nic podobnego. Widujemy się regularnie.

– Moja córka odnosi nieco inne wrażenie.

Choć raz Rex nie miał gotowej odpowiedzi. Zacisnął wargi i przez chwilę patrzył na Mabbuta z ukosa.

– To raczej twoja córka rzadziej widuje się z matką. To na pewno.

– Tak?…

Rex wsypał do kawy łyżeczkę cukru i zamieszał. Najwyraźniej miał więcej do powiedzenia.

– Ufam, że nie uznasz moich słów za niestosowne… – Rex postukał łyżeczką o brzeg filiżanki i odłożył ją delikatnie na spodek – …ale doszło między nimi do pewnego spięcia.

– Spięcia?

– Z powodu tego chłopaka.

– Masz na myśli Sziraja?

– Właśnie, Sziraja. Krystyna uważa, że Jay, podobnie zresztą jak ty, do pewnego stopnia, trochę za bardzo go… no cóż, rozpieszczacie. Czy nie ma racji?

Mabbut parsknął z irytacją.

– Obawiam się, że Krystyna nigdy nie była zaciekłym wrogiem Frontu Narodowego.

– To nie do końca sprawiedliwa ocena.

– Może ujmę to w ten sposób: nigdy nie miała empatii dla obcokrajowców. To dlatego, że jest Polką.

Rex zignorował jego drwiny.

– Mimo wszystko uważam, że warto o tym porozmawiać. W końcu oboje jesteście rodzicami Julii.

Mabbut obruszył się. Jakim prawem ten facet mówi mu, jak powinien traktować własną córkę?!

– Jeśli ma mi coś do powiedzenia, wie, gdzie mnie szukać – uciął temat.

Rex, jak zwykle opanowany, spojrzał na zegarek.

– No cóż, mam nadzieję, że nie uraziły cię moje słowa.

Uniósł rękę, prosząc o rachunek.

– Popytam o twojego informatora – dodał. – Wydaje mi się raczej nieszkodliwy. Nie masz się czym przejmować.

Mabbut wpatrywał się w ekran komputera. Wszystko, co miał na Melville'a, to romans z mężatką i nieślubne dziecko. Nic wielkiego, zważywszy na to, czym ekscytowała się obecnie opinia publiczna. Bez trudu mógłby wpleść te informacje w tekst, ale czy to wystarczy, żeby Latham dał mu spokój? Tej samej nocy zabrał się do pracy i do wpół do piątej sklecił coś, z czego był zadowolony. Postanowił przeczytać to jeszcze raz i, jeśli wszystko będzie okej, wysłać Lathamowi odpowiednie strony w weekend. A potem przy odrobinie szczęścia będzie mógł zapomnieć o całej sprawie i wrócić do pracy nad *Albaną*.

Silla zadzwoniła w poniedziałek z samego rana, gdy Mabbut wychodził właśnie spod prysznica. Latham przeczytał najnowszą wersję i chciał spotkać się z nimi najszybciej jak to możliwe. Niestety, jeden z najbardziej obiecujących młodych autorów Silli był właśnie

na Madryckich Targach Książki, więc tym razem nie mogła towarzyszyć Keithowi.

– Dobrze się czujesz, Sill?

– Dużo lepiej. Zadzwoń do mnie wieczorem. Powinnam być w hotelu koło dziewiątej. I powodzenia, mój drogi.

Mabbut zafundował sobie taksówkę do Urgent Books. Przyjechał w dobrej formie i mimo wcześniejszych skrupułów był całkiem zadowolony z tego, jak poradził sobie z opowieścią Tricketta. Zamiast przyjąć go w swoim gabinecie, Latham poprowadził Mabbuta dalej, do sali konferencyjnej, szerokim gestem zaprosił gościa do środka i szybko zamknął za sobą drzwi. Tym razem nie zaproponował niczego do picia, tylko cisnął przepisany manuskrypt na stół i wskazał rząd stojących przy nim krzeseł. Mabbut usiadł, ale Latham wciąż stał, obrócony do niego plecami.

– Słyszałem, że nie próżnowałeś. Podróże po Europie.

Mabbut wzruszył ramionami.

– To moja praca.

– Mogłem ci to zorganizować, gdybyś mnie poprosił.

– Miałem szczęście, ktoś anulował rezerwację.

– I co?

– I teraz wiem, że Melville faktycznie ma nieślubną córkę. Powinienem był dotrzeć do niej wcześniej, ale jak wiesz, już uzupełniłem tekst. Córka Meliville'a występuje pod zmienionym nazwiskiem, na własną prośbę.

Latham prychnął.

– Nie rozpisałeś się specjalnie.

– Bo nie ma o czym. To nic wielkiego.

– Zdania są podzielone. Ale mnie bardziej interesuje Trickett.

– Pojechałem do niego od razu w poniedziałek. Ciekawy człowiek. Pustelnik z tytułem szlacheckim.

Latham postukał palcem w leżące przed nim kartki.

– Słuchałeś tego, co mówił?

Mabbut milczał przez chwilę, zanim mu odpowiedział.

– Wyraźnie zaznaczył, że nie chce być nagrywany, ale zrobiłem dokładne notatki.

– Czy w którymkolwiek momencie wspomniał o zastawkach?

– Nie wdawał się w szczegóły techniczne, ale rzeczywiście mówił, że pracował nad czymś w tym rodzaju.

Ron wyjął z kieszeni marynarki kawałek papieru i poprawił okulary.

– Zaprojektował pierwszy na świecie zestaw plastikowych zastawek dwupłatkowych do zastosowania w operacjach serca.

– Ale, o ile pamiętam, powiedział, że nie mógł dokończyć prac.

– Bo zabrakło mu pieniędzy, tak?

– Tak, właśnie dlatego. A Melville zaoferował mu pomoc.

Latham skinął głową.

– To było miłe z jego strony, prawda?

– Zdecydowanie w jego stylu.

Latham odsunął krzesło i usiadł dokładnie naprzeciwko Mabbuta.

– Ale to, co zrobił później, już nie było w jego stylu, prawda? W końcu uciekł z żoną Tricketta.

– Mówisz o tym romansie? Trudno to uznać za wadę charakteru.

– A to, że uciekł z kobietą, która zabrała ze sobą wszystkie projekty męża z ostatnich czterech lat? A to, że pomógł jej sprzedać te dokumenty firmie, która da za nie najwięcej?

– Trickett przedstawił to inaczej. Mówił, że pracowali razem.

Latham pokręcił głową ze złością.

– Powiedział to. Po prostu tego nie usłyszałeś.

– Skąd wiesz? Nie było cię przy tym.

– Nie usłyszałeś, bo nie chciałeś tego usłyszeć, bo to by zaszkodziło człowiekowi, którego wręcz wielbisz!

– Słuchaj, napisałem o jego niewierności. Napisałem o jego nieślubnej córce, która, nawiasem mówiąc, nigdy go nawet nie poznała. I nigdy nie słyszała o Victorze Tricketcie. Uwzględniłem to

wszystko i dostarczyłem przerobiony tekst w ciągu trzech dni. Wywiązałem się z umowy.

Latham wziął głęboki oddech i znów się pochylił. W ostrym świetle punktowych lamp halogenowych Mabbut zauważył kilka kropel potu na jego czole. W końcu wydawca powiedział powoli:

– Przegapiłeś to, co najważniejsze, Keith. Nieważne, czy Trickett zasłużył na to, żeby stracić żonę. Ważne, czy zasłużył na to, żeby stracić dorobek całego życia. Czy zasłużył na to, żeby patrzeć, jak człowiek, który odebrał mu żonę, pasie się jego krzywdą. To jest ważne.

– Nie ujął tego w ten sposób.

– A powinien!

Latham walnął dłonią w stół. Huk odbił się echem po sali, potem zapadła cisza. Latham wyprostował się i przetarł czoło.

– Według moich źródeł Bettina Trickett ukradła mężowi projekty dwupłatkowych zastawek naczyniowych i przekazała je Melville'owi. Melville pomógł jej sprzedać ten wynalazek międzynarodowemu koncernowi farmaceutycznemu, sam zarabiając na tym mnóstwo pieniędzy, które następnie wykorzystał, żeby zostać ekologicznym sumieniem świata. To jest największa sensacja, więc powinna znaleźć się w tej książce.

– W takim razie niech twoje „źródła" napiszą jego biografię!

Latham westchnął. Wyglądał na zmęczonego.

– Keith. Jesteś dobrym pisarzem. Silla miała co do tego rację. Książka jest twoja i tylko twoja. Ja tylko chcę, żeby była jak najlepsza, nawet jeśli to oznacza konfrontację z niewygodną prawdą. Wydawnictwo jest bardzo zaangażowane w nasz projekt. Prosi tylko o to, żebyś jeszcze raz się temu przyjrzał, sprawdził swoje notatki i potraktował poważnie informacje Tricketta.

Podniósł wydruk.

– Dostaliśmy jeszcze tydzień.

– „Dostaliśmy"? Niby od kogo?

– Od moich przełożonych. Ludzi, którzy mi płacą. I tobie też!

Zniżył głos.

– Keith. Te informacje po prostu muszą znaleźć się w książce. Sam mi mówiłeś, że dziennikarz zawsze poszukuje prawdy. Otwórz oczy, Keith, bo masz ją pod nosem. Jesteś dobrym pisarzem. Teraz udowodnij, że jesteś dobrym dziennikarzem.

Oczywiście tylko jedna osoba mogła definitywnie obalić zarzuty Tricketta, a była to równocześnie jedyna osoba, z którą Mabbut obiecał nie kontaktować się bezpośrednio. Ale nie miał wyboru, jeśli chciał zachować książkę w kształcie, który jej nadał.

Zadzwonił do Wendy Lu na jej numer w Singapurze. Przywitała go z typowym dla siebie zaraźliwym entuzjazmem i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zaczęła wychwalać pod niebiosa biografię, której egzemplarz otrzymała niespełna tydzień temu i którą natychmiast przesłała Melville'owi. Mabbut poczuł się w obowiązku opowiedzieć jej o wszystkim, co wydarzyło się od tamtej pory. Na początku Wendy próbowała obrócić oskarżenia Tricketta w żart, ale później jej przedłużające się milczenie świadczyło, że doceniła powagę sytuacji. Kiedy Mabbut skończył mówić, była już wcieleniem profesjonalizmu i skupienia. Poprosiła o doprecyzowanie kilku kwestii, takich jak daty wydarzeń i nazwiska osób, które przekazały informacje Urgent Books. Obiecała, że skontaktuje się z Melvillem i przekaże Keithowi jego odpowiedź. Mabbut podkreślił z całą mocą, jak ważne było to, żeby poznał prawdę od samego zainteresowanego. Osobisty kontakt z Melvillem pozostawał jego kartą przetargową.

Nim się obejrzał, minęły wtorek i środa. Po rozmowie z Rexem, Mabbut skontaktował się ponownie z resztą informatorów, ale żaden z nich nie wiedział o jakichkolwiek związkach między Melvillem a Trickettem. Spędził pracowity dzień w urzędzie patentowym, szukając wszelkich zgłoszeń, dokonanych przez Tricketta. Sir Victor

okazał się naprawdę płodnym wynalazcą. Jego nazwisko pojawiało się – często obok nazwiska żony – na wielu wnioskach, związanych głównie ze sprzętem medycznym. Nigdzie nie było jednak żadnej wzmianki o zastawkach dwupłatkowych. Co ciekawe, Trickett nie zgłosił żadnego nowego wniosku od połowy lat osiemdziesiątych.

Reszta tygodnia nie wyglądała lepiej. Codzienne telefony od Rona Lathama i ani słowa od Melville'a. Silla Caldwell była wyjątkowo nieuchwytna. Telefony do hotelu w Madrycie przynosiły jedynie opryskliwe zapewnienia personelu, że jego wiadomości zostały przekazane. W piątek po południu pocztą przyszedł list w starej, przybrudzonej kopercie, noszącej ślady wielokrotnego użytku. W środku znajdowała się pojedyncza kartka papieru opatrzona nagłówkiem „Lees Hall", z krótkim tekstem wystukanym na bardzo starej maszynie do pisania. Treść była następująca:

Szanowny Panie, przypomniałem sobie nazwisko człowieka, z którym pierwszy raz rozmawiałem o Bettinie. Nazywał się Latham. Z poważaniem, V. R. Trickett.

Mabbut czuł się jak w potrzasku. Z jednej strony chciał skończyć wreszcie książkę i zainkasować honorarium, z drugiej miał coraz większe podejrzenia, że Latham i wydawnictwo Urgent celowo nim manipulują, żeby przeinaczył fakty. Niemniej jednak samo istnienie Tricketta i Ursuli wstrząsnęło nim do głębi i zasiało wątpliwości tam, gdzie wcześniej w ogóle ich nie było.

Kolejne problemy dopadły go na froncie domowym. Wiadomość, że związek Krystyny i Rexa nie tylko ma się dobrze, ale wręcz cementuje się wokół jakichś niesprecyzowanych zastrzeżeń wobec chłopaka jego córki, zraniła Mabbuta bardziej, niż się spodziewał. Tym bardziej cieszył się, że znalazł pieniądze, żeby wspomóc Sziraja i jego rodzinę, a w razie potrzeby zamierzał znaleźć ich więcej. Wiedział, że Krystynie by się to nie spodobało, ale to była jedna z różnic między nimi. On widział w tym swoją powinność, ona – nieracjonalną decyzję.

Przyszła sobota. Mabbut siedział nieruchomo przed komputerem, wpatrzony w tyły domu naprzeciwko. Zarośnięty dawniej ogród zamienił się w elegancko wybrukowane patio, na którym obracał się powoli wiatrak okrągłego wentylatora. Ktoś zadzwonił do drzwi. Mabbut zszedł na dół. Przed domem stał młody mężczyzna w świeżo odprasowanym kombinezonie. W ręku trzymał niewielki terminal, a jego samochód dostawczy blokował ulicę. Kierowca w aucie z tyłu wcisnął ze złością klakson, ale kurier wyraźnie się nie spieszył. Wręczył Mabbutowi przesyłkę i poprosił o potwierdzenie odbioru. Mabbut złożył podpis, pożegnał się i już przy zamykaniu drzwi stopą zaczął rozrywać kopertę.

Ku jego uldze i radości, nadawcą był Melville. Nareszcie. Tak jak poprzednio, w kopercie tkwiła ręcznie zapisana kartka papieru listowego Biura Spraw Zagranicznych. Uspokojony, wrócił z przesyłką do gabinetu, starannie zamknął za sobą drzwi i zabrał się do czytania.

Witaj, Keithie.

Wendy przesłała mi książkę. Niestety, zdążyłem tylko rzucić na nią okiem w drodze do Ameryki Południowej, ale wygląda całkiem nieźle. Darowałem sobie większość rozdziałów o moich młodych latach, ale doceniam, ile miejsca poświęciłeś moim późniejszym dokonaniom (!) i naszemu spotkaniu w Indiach. (Proponuję wyciąć różne osobiste komentarze. Czy naprawdę „wyrzucam z siebie rozkazy jak karabin maszynowy”?) Ale ogólnie jestem zadowolony. Moje gratulacje, dokonałeś niemożliwego. Uwierz mi, ta historia może zmienić świat na lepsze.

Przed wyjazdem widziałem się z Kumarem. Przesyła pozdrowienia.

Hamish M.

Mabbut obrócił kartkę. Druga strona była czysta. Zajrzał do koperty, wsuwając palce głęboko do środka. Niczego więcej nie znalazł. Poszukał na kopercie informacji o dacie lub miejscu wysyłki, ale nie było ich tam.

Spojrzał na zegarek. Szesnasta. W Singapurze była dwudziesta trzecia. Wziął głęboki oddech i wykręcił prywatny numer Wendy. Włączyła się automatyczna sekretarka. Nagrał wiadomość, jeszcze raz podkreślając konieczność uzyskania aktualnych informacji od Melville'a. Gdy tylko odłożył słuchawkę, usłyszał krzyk z dołu. Wyszedł z gabinetu i wyjrzał przez barierkę. To była Jay. Wydawała się zaniepokojona.

– Tato, widziałeś Sziraja?

Mabbut pokręcił głową.

– Od rana nie.

– To dziwne. Zwykle nie wychodzi beze mnie. Nie ma też jego torby.

– Pewnie poszedł na zakupy. Albo pobiegać.

– Zawsze biegamy razem.

– Dzwoniłaś na jego komórkę?

Skinęła głową.

– Nie odpowiada.

„Witaj w klubie", pomyślał Mabbut. Jego zrozumienie dla stylu życia Melville'a pierwszy raz przerodziło się w irytację. Może i ratował plemiona przed wyginięciem, ale skąd ta mania prześladowcza? Na litość boską, czy tak trudno wykonać jeden telefon?

– Na pewno się pojawi! – odkrzyknął machinalnie.

Jay nie odpowiedziała. Usłyszał, jak idzie z powrotem do kuchni. Wrócił do gabinetu i dalej wyglądał przez okno na przydomowe ogródki. Na jego żywopłocie niezdarnie balansował gołąb z pełnym dziobem, szukając miejsca na gniazdo. Mabbut uderzył dłonią w szybę i patrzył na odlatującego ptaka.

Na dźwięk telefonu aż podskoczył. Odebrał natychmiast, ale czekał go zawód. Dzwonił Ron Latham, a co gorsza, w jego głosie pobrzmiewało zadowolenie.

– Jak idzie pisanie?

– Dobrze – skłamał Mabbut.

– Mam świetne wiadomości!

– Tak?

– Nasz dział fotograficzny namierzył zdjęcia, na których Trickett jest razem z żoną i naszym bohaterem.

– Z Melvillem?

– Jesteśmy praktycznie pewni, że to on. To oficjalne zdjęcie z jakiejś uroczystości. Początek lat osiemdziesiątych. Rozdzielczość nie jest najlepsza, ale pracujemy nad tym.

– Myślałem, że nazwisko Tricketta ma się nie pojawić w książce.

– Nie musimy podpisywać zdjęcia.

– Ale wszyscy je zobaczą. Nie tak się z nim umawialiście.

– Jeśli moi ludzie coś mu naobiecywali, to ich sprawa. Ja jestem wydawcą. I mam książkę do sprzedania. Pamiętaj, że to także twoja książka.

– I to mnie martwi.

– Niepotrzebnie. Właśnie tego było nam trzeba. Zdjęcia nie kłamią.

„W odróżnieniu od ciebie", pomyślał Mabbut.

– Aha, wysłaliśmy kogoś do tego czeskiego miasteczka, którego nazwy nie potrafię wymówić…

– Do Karlowych Warów?

– O właśnie. Więc mamy spory wybór ciekawych zdjęć do tego fragmentu o córce. Przystojna kobieta, Keith. Zafundowała ci masaż?

– Ron, nie bardzo rozumiem, co tu się dzieje. Ona nie miała nic do powiedzenia. To żaden materiał! A jeśli chodzi o Tricketta, według mnie ktoś mu ułożył tę historyjkę.

– Daj spokój, Keith, nie popadaj w paranoję. Po prostu zamieść w książce to, czego dowiedziałeś się od Tricketta, i niech czytelnicy sami to ocenią.

Mabbut czuł, jak narasta w nim gniew, który rozpaczliwie szuka ujścia.

– A zdjęcia?

Latham udawał spokój, ale zdradził go szorstki, piskliwy głos.

– To bardzo obszerna książka. Jest w niej mnóstwo innych rzeczy. Część osób nawet ich nie zauważy.

– I niby dlatego chcesz je zamieścić. Ron, wiesz równie dobrze jak ja, że właśnie to podchwycą gazety i inne media. Dla nich nie ma znaczenia, że Melville uratował jakieś hinduskie czy brazylijskie plemiona przed wyginięciem. Jeśli zobaczą zdjęcie pięknej blondynki przed spa, to je wydrukują. A po zdyskredytowaniu Melville'a każdy, kto będzie chciał zrobić dla świata coś dobrego, będzie miał dużo trudniejsze zadanie. Naprawdę o to ci chodzi?

– Słuchaj, nikt tu nie mówi o żadnej dyskredytacji. Chcemy po prostu przyciągnąć jak najwięcej czytelników.

Usłyszał, jak Latham chrząka.

– W poniedziałek rano, Keith, jest posiedzenie zarządu. Muszę im pokazać, co mamy. To nasza ostatnia szansa. Dokończ książkę tak, jak sobie tego życzą, i dostarcz mi ją do niedzieli wieczorem, albo zrywamy umowę.

Mabbut odłożył słuchawkę. Czuł, jak serce wali mu w piersi. Sytuacja zamieniła się w koszmar. Wszystko, o co od pierwszej chwili podejrzewał Rona Lathama, okazało się prawdą. Mabbut grzązł coraz głębiej w bagnie swojego zlecenia i nie miał pojęcia, jak się z niego wydostać. Otworzył szeroko okno i wziął kilka głębokich oddechów. W pełni świadomie zawarł pakt z diabłem, wierząc, że dobro w jakiś sposób zwycięży. Że ideały, którymi kieruje się Melville, będą bliskie wszystkim ludziom. A teraz doszło do czegoś takiego. Ten dobry człowiek miał zostać oszkalowany. A on – Keith – miał osobiście przyłożyć do tego rękę.

Zadzwonił do Silli do Madrytu. Tym razem nie zawracał sobie głowy zostawianiem wiadomości. Usiadł za biurkiem i długo patrzył w okno. Dopiero gdy na niebie pojawiły się ciemne chmury i zaczęło się zmierzchać, z ociąganiem zabrał się do pracy.

Nie sprawiało mu to żadnej przyjemności. Wcześniej pisał tę książkę w duchu Orwella i Normana Lewisa, teraz zniżył się do

poziomu najgorszego brukowca. Po jakichś dwóch godzinach zupełnie stracił zapał. Pisał dalej, ale w końcu się poddał, zamknął laptopa i zszedł na dół. Ani śladu Jay i Sziraja. Dom, w którym kiedyś czuł się tak dobrze, teraz wydawał się zimny i wrogi, jakby i on nie pochwalał tego, co robił jego właściciel. Rozejrzał się wokół. Nawet nie zapalił światła. Czuł nieodpartą chęć, by znaleźć się gdzie indziej. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Tess.

OSIEM

Mabbut ocknął się pełen złych przeczuć. Szare światło sączyło się do pokoju przez nie do końca zaciągnięte zasłony. Wyślizgnął się z łóżka, zebrał swoje rzeczy i wyszedł z mieszkania, zanim Tess zdążyła się obudzić. Ruch na drodze był niewielki. Niemal biegiem przemierzał uśpione boczne uliczki, dopóki nie zobaczył całodobowego sklepu przy Hornsey Rise. Kupił pół litra mleka i sok pomarańczowy, a potem truchtem wrócił na Reserton Road. Otworzył drzwi i wszedł do domu, starając się robić jak najmniej hałasu.

Wstrzymał oddech. Coś było nie tak. Wszedł po schodach na półpiętro. Drzwi do sypialni Jay były otwarte, więc zajrzał do środka. Zobaczył posłane łóżko i rozsunięte zasłony.

– Jay! – zawołał, schodząc na dół.

Żadnej odpowiedzi.

Czyli oboje nie wrócili na noc. Nagle poczuł głód. Naszedł go apetyt na coś zupełnie zwyczajnego. Bekon, jajko, kiełbasę, wszystko jedno, byle niezdrowe. Wchodząc do kuchni, wyjął z kieszeni komórkę, żeby sprawdzić, czy nie ma wiadomości z Singapuru. Nie było. Miał za to dwa nieodebrane połączenia z poprzedniej nocy, oba od Krystyny. To było na tyle niespotykane, że dało mu cień nadziei.

Ku swojemu oburzeniu w lodówce nie znalazł żadnego z wysokocholesterolowych produktów, na które miał ochotę, poprzestał więc na ogromnym kubku kawy i kanapce z pomidorem; nieco później sprawdził godzinę i zadzwonił do żony.

– Proszę, kto się odzywa!

Niezbyt obiecujący początek rozmowy.

– Gdzie byłeś? – zapytała.

– W łóżku. Spałem.

Krystyna zostawiła to bez komentarza.

– Chodzi o Jay…

Ścisnęło go w żołądku.

– Coś złego?

– Raczej ktoś. Ten jej muzułmanin.

– Sziraj? Co mu się stało?

– Lepiej tu przyjedź. Jesteśmy w mieszkaniu Rexa. Wilton Gardens 15. Knightsbridge.

Mabbut złapał telefon, klucze i portfel i wybiegł na ulicę. Niedziela rano. Żadnych samochodów, a co dopiero taksówek. Prace konserwacyjne w metrze. Wbiegł z powrotem do domu i wykręcił numer lokalnej korporacji. Uprzejmy, obojętny Somalijczyk dowiózł go na Wilton Gardens w dwadzieścia minut.

Pod numerem piętnastym stał trzypiętrowy wiktoriański domek z dekoracyjną sztukaterią, czarnymi drzwiami i balustradą w tym samym kolorze. Był częścią skromnego, nieostentacyjnie ekskluzywnego szeregowca niedaleko Harrodsa. Dzwonek krył się w okrągłym, mosiężnym wgłębieniu, które wyglądało na regularnie polerowane. Drzwi otworzyła Krystyna. Spojrzała mu przelotnie w oczy, a potem poprowadziła go przez wąski przedpokój. Mabbut usłyszał córkę, zanim ją zobaczył – z kuchni dobiegał jej urywany szloch. Siedziała przy stole ze spuszczoną głową, wzruszająco krucha. Kiedy wszedł, podniosła twarz, siląc się na uśmiech.

– Tato.

Usiadł obok niej i wziął ją za rękę.

– Co się stało, córeczko? O co chodzi?

W kuchni pojawił się Rex w koszulce polo i luźnych dżinsach. Bez krawata i marynarki wydawał się nagi. Uśmiechnął się dziarsko do Mabbuta i podszedł do czajnika.

– Herbaty?

Mabbut skinął głową. Rex położył lekko dłoń na ramieniu Krystyny.

– Jeszcze jedną, kochanie?

Krystyna usiadła naprzeciw córki. Patrzyła na Mabbuta ze źle skrywaną pogardą.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co się tu dzieje? – zapytał, spoglądając na ich twarze.

Jay wzięła głęboki wdech, potem pokręciła głową i spojrzała błagalnie na Krystynę. W końcu odpowiedział mu Rex.

– Chłopak zniknął.

– Jaki chłopak? Masz na myśli Sziraja?

Rex stał przy zlewie, napełniając czajnik. Odwrócił się i skinął głową.

– Zniknął? Jak to zniknął? – Mabbut podniósł głos. – Tylko nie to. Agencja ds. kontroli granic. Wykołowali go, tak? To przeze mnie. Wszystko przeze mnie. Miałem wykorzystać swoje kontakty, żeby mu pomóc. Jay, córeczko, przepraszam…

Rex chrząknął.

– To nie agencja kontroli granic. Nie wiemy, co się z nim stało. Zostawił wiadomość, że bardzo mu przykro, ale musi wyjechać, i że kiedyś wszystko wyjaśni, ale mamy go nie szukać.

Jay jęknęła cicho. Krystyna sięgnęła przez stół i wzięła ją za rękę.

– Wpadł w jakieś kłopoty?

– Matka Jay zawsze miała co do niego pewne podejrzenia – ciągnął Rex – więc popytałem tu i ówdzie. Jeden z moich informatorów – całkowicie wiarygodne źródło, zapewniam – ostrzegł mnie, że w społeczności irańskiej w Londynie działa szajka przestępcza, wyłudzająca pieniądze. Jeden z jej członków odpowiada rysopisowi Sziraja Farji.

– Nie!

Rex skinął głową.

– Ich zdaniem w rzeczywistości nazywa się Anek Mertha i jest irańskim Kurdem.

– Są tego pewni?

– Praktycznie tak. – Rex odkaszlnął i zerknął na Jay, zanim dokończył. – Wydano na niego nakaz aresztowania.

Mabbut kręcił głową ze zdumieniem.

– A czy znają jego przeszłość? Wiedzą, przez co przeszedł?

Jay wreszcie się odezwała:

– Okłamał mnie, tato. I ciebie też.

Zwiesiła głowę. Do oczu znów napłynęły jej łzy i tym razem nie zdołała ich powstrzymać. Mabbut objął ją ramieniem.

Krystyna mierzyła go twardym, lodowatym wzrokiem.

– Jay mówi, że dałeś mu cztery tysiące funtów.

– Mamo…

– Czy to prawda?

– Tak, to prawda.

– Powinieneś móc je odzyskać. Kiedy go aresztują – powiedział Rex. Ale Krystyna nadal wpatrywała się w męża.

– Cztery tysiące funtów! Komuś takiemu?

Mabbut odwzajemnił jej pogardliwe spojrzenie.

– Gdybym mógł, dałbym mu jeszcze więcej.

– Ależ oczywiście, bo cóż to jest cztery tysiące funtów dla autora bestsellera? Tyle co nic!

– Dałem mu te pieniądze, bo mu wierzyłem. Tak, jak wierzyła mu nasza córka. I dopóki nie dowiem się więcej, wciąż będę mu wierzył!

Krystyna z irytacją odrzuciła głowę do tyłu.

– Keith, dlaczego ty zawsze wierzysz we wszystko, tylko nie w prawdę?

Rex zdjął dwie filiżanki z haczyków nad czajnikiem.

– Słuchajcie, proponuję zrobić przerwę na śniadanie. Herbata gotowa, zaraz wstawię tosty.

Mabbut podziękował za zaproszenie, ale odmówił.

Pocałował córkę w czubek czoła. Chwyciła go na chwilę za rękę, a potem spojrzała mu w oczy, jakby coś sobie przypomniała.

– Jak książka, tato?

– Prawie skończona.

– To dobrze. Przynajmniej tego ci nie zepsułam.

Krystyna przygarnęła ją troskliwie.

– Jay zostanie z nami przez jakiś czas. Nie chce być w tamtym domu.

Mabbut skinął głową.

– Rozumiem.

Rex odprowadził Mabbuta do wyjścia.

– Nie ma sensu, żebym zostawał – powiedział Mabbut w progu – dopóki Krystyna się tak zachowuje. Jest w szoku. Może zadzwonisz do mnie, kiedy się uspokoi?

Rex obejrzał się, a potem sam wyszedł na zewnątrz, przymykając za sobą drzwi.

– Keith, ja również ponoszę za to odpowiedzialność. Mogłem zareagować dużo wcześniej. Widziałem kilka bardzo podobnych sytuacji. Przekonujących chłopców, uroczych i pewnych siebie. Ich ofiarą padali porządni ludzie. Od początku miałem wątpliwości co do tego chłopaka, ale kiedy dałem im wyraz, Jay wzięła to bardzo do siebie i przez wzgląd na moją relację z jej matką przestała go tu przyprowadzać. A potem jeszcze bardziej skomplikowała sytuację, rozpowiadając wszystkim, że to wina Krystyny. Mam na myśli te historie o tym, że się rozstajemy.

Mabbut rozejrzał się po ulicy. Dwie starsze panie z zielonymi torbami wypchanymi zakupami wsiadały do taksówki, chichocząc jak nastolatki. Kilku młodych mężczyzn z rozwianymi blond włosami szło ramię w ramię, walcząc o miejsce na chodniku. Zza rogu wyjechał nieskazitelnie czysty jaguar XJ. To nie był Londyn, jakim znał go Mabbut. Poczuł, że chce się z niego wydostać.

Rex wyciągnął rękę.

– Dzwoń w każdym momencie. Kiedy tylko będziesz potrzebował.

Uścisnęli sobie dłonie. Mabbut przystanął i spojrzał na Rexa.

– Nadal nie wierzę, że był złym człowiekiem.

Rex westchnął.

– Obawiam się, że właśnie na tym polega talent tych ludzi.

W domu Mabbut zaparzył sobie kawę, po czym zadzwonił do Wendy Lu. Nagranie na automatycznej sekretarce poinformowało go, że nie ma jej w biurze do poniedziałku. Nie zostawiła innego numeru. Mabbut przez chwilę rozważał możliwość otrucia Rona Lathama. Zastanawiał się też, czy nie upozorować samobójstwa, zostawiając swoje ubrania z listem pożegnalnym na jakiejś plaży. Potem, wzmocniony drugą, jeszcze mocniejszą kawą, wbrew sobie usiadł do pracy, bo nie pozostało mu nic innego. Późnym popołudniem najtrudniejsze miał już za sobą. Bez satysfakcji ponownie przeczytał dodane strony. Teraz nie ulegało wątpliwości, że bohater jego książki był zwykłym śmiertelnikiem; człowiekiem, który kiedyś ukradł koledze nie tylko żonę, ale i dorobek całego życia. Nieważne, ile razy Mabbut użył słowa „rzekomo" i wyświechtanego zwrotu „jak twierdzą niektórzy" – szkoda została wyrządzona. Reszty dopełnią insynuacje.

Wywiązawszy się ze swojej części umowy, Mabbut rozparł się na krześle i zapatrzył bezmyślnie w przestrzeń. Cała ta sytuacja potwierdziła tylko, że wbrew pozorom nie zmieniło się nic. Wciąż był najzwyklejszym pismakiem. Dziennikarzyną do wynajęcia. Uwierzył w efekt Melville'a i wyszedł na głupca. Łudził się, że może zostać kimś w rodzaju współczesnego Hamisha: że będzie bronił bezbronnych, szerzył prawdę, tłumił w zarodku cynizm. Tymczasem były to tylko złudzenia. W końcu za kogo on się miał, że chciał walczyć z cynizmem? Gdyby sam był odrobinę bardziej cyniczny, jego jedyna, ukochana córka nie skończyłaby zapłakana przy stole kuchennym w Knightsbridge. Stanley, wiedziony nieomylnym instynktem, otarł się o framugę i zamruczał rozkosznie.

O szóstej zadzwoniła Silla. Przeprosiła za to, że była nieuchwytna przez cały tydzień. Z zadowoleniem przyjęła wiadomość, że przerobił

książkę. W Madrycie poszło jej dobrze, teraz była już w Londynie i obiecała Ronowi, że wpadnie do Mabbuta po ostateczną wersję maszynopisu i osobiście zawiezie ją do wydawnictwa. Cieszyła się, że wszystko się ułożyło.

DZIEWIĘĆ

Silla zadzwoniła jeszcze raz, żeby uprzedzić, że przyjedzie za godzinę, bo Hector Fischer jest zajęty – był niedzielny wieczór, a Hector nigdy nie opuszczał mszy – co tylko przedłużyło cierpienia Mabbuta.

Nalał sobie whisky z mglistym poczuciem, że ostatnio zdarza mu się to z niepokojącą regularnością, i po raz enty sprawdził, czy koperta z tekstem leży przygotowana na stoliku w przedpokoju. Planował włączyć wieczorne wiadomości, żeby zająć czymś myśli, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi. Spojrzał na zegarek. Za wcześnie na Sillę. Miał nikłą nadzieję, że to Jay, ale ona otworzyłaby sobie sama. Dzwonek zadźwięczał ponownie, natarczywie.

– Spokojnie. Przecież słyszę!

Otworzył drzwi. Na szczycie schodów stał krępy mężczyzna z paczką w rękach.

– Keith Mabbut? Proszę tu podpisać.

Kurier sięgnął po terminal i rysik i podał je Mabbutowi.

Mabbut złożył całkowicie nieczytelny podpis, a potem złapał przesyłkę i trzasnął drzwiami znacznie mocniej, niż zamierzał. W paczce tkwiła kolejna biała koperta. Rozerwał ją. Znajome już pismo, papier listowy Biura Spraw Zagranicznych. Brak daty i miejsca wysyłki. Z trudem opanował drżenie rąk.

Keithie,

właśnie dowiedziałem się od Wendy o twoich problemach. Mogę tylko powiedzieć, że wcale mnie nie dziwią. To dlatego nie zgadzam się na książki. Dlatego nie udzielam wywiadów i nie występuję w talk-show. Wszyscy mają ukryte motywy, zupełnie inne od moich. Jak wiesz, od początku miałem

wątpliwości co do Urgent Books, ale o tym później. Zacznę od ich oskarżeń. Jestem Ci winny przeprosiny za to, że nie umieściłem Ursuli ani Victora Tricketta na liście osób, z którymi powinieneś porozmawiać. Oboje są, albo byli, częścią mojego życia. Nawiasem mówiąc, Ursula nie jest moją jedyną córką i powiedziałbym Ci o tym, gdybyśmy nie ustalili, że nie będzie to tego typu książka. Bettina chciała wychować Ursulę bez mojego udziału i zawsze to szanowałem.

Z kolei Trickett to kawał buca i nie chciałbym, żeby jego wersja wydarzeń uchodziła za prawdziwą. Jego nieżyjąca już żona, Bettina, była genialną kobietą, chemiczką i fizyczką o błyskotliwym, bardzo twórczym umyśle. Poznałem ją przez kolegę ze studiów i chociaż przyznaję, że wydawała mi się atrakcyjna, to interesowałem się głównie jej pracą. Bettina pochodziła z Jugosławii, przyjechała do Imperial College jako młoda badaczka w 1976 roku. Bardzo chciała zostać i pracować w Londynie, dlatego wyszła za mąż za kolegę z pracy, niejakiego Victora Tricketta. On też zajmował się badaniami nad sprzętem chirurgicznym, ale tylko podążał jej śladem – to Bettina była mózgiem całej operacji. W 1978 roku stworzyła przełomowy wynalazek, który później pozwolił skonstruować dwupłatkową zastawkę serca – to pierścień z przymocowanymi dwoma półokrągymi dyskami, które otwierają się i zamykają, kontrolując przepływ krwi. Trickett bez jej wiedzy zwrócił się do dużej firmy farmaceutycznej z propozycją sprzedaży tej technologii za pokaźną kwotę, podając się za autora tego kluczowego wynalazku. Jak możesz się domyślać, Bettina była wściekła. Pracowała wtedy nad kolejnym etapem doskonalenia zastawki serca, ale przez Tricketta cały jej trud i ewentualne udoskonalenia stały się własnością Bell Laboratories. Jak wiesz, ja w tym czasie obijałem się po City. Większość moich znajomych inwestowała w nieruchomości, ale mnie bardziej interesowała własność intelektualna. Ludzie zaangażowani w ciekawe projekty. Ludzie, którzy potrafią myśleć po swojemu. Niezależne, trudne w obejściu sukinsyny. I taka właśnie była Bettina. Wspólnie z nią zebrałem dość pieniędzy, żeby odkupić prawa do pracy, którą rozpoczęła – przy bardzo ograniczonym wkładzie Tricketta. Ponieważ ją oszukał, musieliśmy działać za jego plecami, a w końcu wyjechać z kraju, żeby uniknąć długiej walki w sądzie, na którą bez wątpienia by się zdecydował. To nie jest miły człowiek, Keith. Wysłał do Pragi ludzi, którzy przeszukali nasze mieszkanie. Zrobił wszystko, żeby Bettina już nigdy nie mogła pracować

w Wielkiej Brytanii. Na domiar złego wykorzystał ich wspólną pracę nad kaniulą do płucoserca, za co otrzymał tytuł szlachecki. Przez kilka lat ciągał Bettinę po sądach całej Europy, ale bezskutecznie. Nic więcej nie wynalazł i jego kariera skończyła się. Jestem zaskoczony, że jeszcze żyje. Bettina nadal pracowała nad zaawansowanym sprzętem chirurgicznym, aż do śmierci na raka piersi w 1998 roku. Co prawda nasze drogi rozeszły się dużo wcześniej, ale rozstaliśmy się po przyjacielsku.

Oczywiście to moja wersja wydarzeń i sam zdecydujesz, czy w nią wierzyć. Ale w to, co napiszę teraz, powinieneś uwierzyć, bo to prawda. Kiedy się dowiedziałem, co chcą zrobić z Twoją książką, zleciłem własne śledztwo – w sprawie Twojego wydawcy. Poniższe informacje łatwo sprawdzić – może sam już to zrobiłeś? Urgent Books to spółka zależna firmy Wide Hatt Publishing, której jedynym właścicielem jest Karlhatt Corporation z siedzibą w St. Louis w stanie Missouri i na Kajmanach. Ta organizacja o imponująco brzmiącej nazwie, choć nie do końca jasnych motywach, należy w osiedziesięciu procentach do niejakiego Karla Hattikera i jego rodziny. Oprócz kilku ewangelickich stacji radiowych i telewizyjnych Hattikerowie posiadają również kartel zbożowy o nazwie Hemisphere Grain Group, jeden z największych karteli pszenicy, który dyktuje ceny na całym świecie. Ich dominacji zagrażają teraz Rosja i Chiny, dlatego HGG stara się rozszerzyć działalność. Do ich największych i najbardziej kontrowersyjnych inwestycji należy wpompowanie miliardów dolarów w rynek biopaliw sojowych w Brazylii. Jak dotąd są bezpośrednio odpowiedzialni za wycięcie od dwóch do trzech procent lasów deszczowych Amazonii i budowę na rzece Parcachua tam, które zniszczyły już ziemie uprawne trzydziestu miejscowych plemion. Brazylia to nie pierwszy i nie ostatni ich cel. Szukają okazji na całym świecie, zawsze uderzając w najsłabszy punkt w systemie, czy będą to skorumpowani lokalni politycy, czy ambitny gubernator stanu, czy reżim, który potrzebuje czołgów i samolotów. Do zeszłego roku działali niemal niezauważenie. Potem zdobyliśmy poufne informacje i rok temu w sierpniu do akcji wkroczył mój zespół. W ciągu kilku miesięcy zebraliśmy dość dowodów, żeby skazać firmę za oszustwa, korupcję i zastraszanie. Z punktu widzenia HGG jestem wrogiem publicznym numer jeden. Pamiętasz tych facetów w Bhubaneswarze? Tych, którzy przyszli do hotelu? To byli goryle HGG, szukali mnie i moich współpracowników. Są coraz bardziej zdesperowani. Grozili rodzinom moich ludzi w Parcachua. Zaczepiali

ich dzieci w szkole, na litość boską. Pomyśl tylko: czy nie przydałby im się bestseller, przedstawiający ich największego przeciwnika jako zwykłego oszusta i uwodziciela cudzych żon?

Keith, Ty znalazłeś się pośrodku. Żeby Cię skusić, musieli odwołać się do Twoich wolnościowych ideałów, bo dzięki nim zainteresowałeś się moimi wolnościowymi ideałami. Problem polega na tym, że książka o wolnościowych ideałach jest im nie na rękę. Ty i ja uzgodniliśmy, o czym chcemy napisać – o naszej planecie i trosce o nią – więc nie potrzebowaliśmy prać żadnych brudów. W tej sytuacji sami wywlekli jakieś brudy i podetknęli Ci je pod nos.

Tak się składa, że za moją głowę wyznaczono cenę, a bycie żywą legendą nie uchroni mnie przed jakimś niefortunnym wypadkiem. Jednak niezależnie od tego, co się stanie, będę kontynuował swoją misję. Może ludzie zrozumieją, że przeszłość to rozdział już dawno zamknięty, nie mający nic wspólnego z moją późniejszą pracą. Jestem wdzięczny tym draniom za jedno – dzięki nim miałem okazję pokazać Ci, że można zmieniać świat na lepsze.

Rób, jak uważasz, Keith. Nie chcę wciągać Cię w to jeszcze głębiej. Wiem, że dostajesz za tę książkę dobre pieniądze, jestem pewny, że Ci się przydadzą. Nie będę miał pretensji, jeśli zrobisz, o co proszą. Przyzwyczaiłem się do tego, że ludzie mnie nie rozumieją. I szczycę się tym!

Pozdrowienia,
Hamish

Niecałą godzinę później Silla przyjechała taksówką. Nadal kasłała. Wyjaśniła, że napięty program Madryckich Targów Książki znacząco opóźnił jej powrót do zdrowia. Nie rozmawiali dużo o książce. Widziała, że Mabbut nie jest zadowolony z rozwoju wydarzeń, ale kamień spadł jej z serca, że zrobił to, co musiał. Włożył nawet rękopis do ładnej czerwonej teczki.

– Dzięki, mój drogi. Zadzwonię rano.

Mabbut wziął teczkę do ręki.

– Pojadę z tobą. Doręczę ją osobiście.

– Skoro jesteś pewien, że tego chcesz… Ron to doceni.

Około wpół do ósmej podjechali pod błyszczący apartamentowiec Lathama nad Tamizą w Battersea.

Silla zapłaciła za kurs, po czym podeszli do wejścia. Automatyczne drzwi usłużnie rozsunęły się przed nimi. Mabbut rozejrzał się po lobby.

– Myślałem, że mieszka w biurze.

Silla roześmiała się.

– W niedzielę wieczorem robi sobie wolne.

Podała ich nazwiska znudzonemu ochroniarzowi, który dwa razy upewnił się, do kogo przyszli, zanim zadzwonił do apartamentu Lathama. Silla wcisnęła guzik z numerem dwudziestym, a winda z ochrypłym sykiem porwała ich w górę i wypluła na cichy, wyłożony wykładziną, klimatyzowany korytarz.

Ron otworzył drzwi, unosząc brwi na widok ich obojga. Miał na sobie biały szlafrok frotté, a jego twarz była zaróżowiona.

– Keith! Jak miło. – Cofnął się, żeby ich wpuścić. – Nie spodziewałem się autora we własnej osobie.

Mabbut zauważył, że wymienili szybkie spojrzenie z Sillą. Wszedł do salonu. Oczekiwał właśnie takiego stylu: nowoczesne meble, dużo gadżetów. Głośniki, ekrany, aluminiowe akcesoria. Oprawione dyplomy na ścianach. Bardziej zdziwiły go rzędy książek, także powieści, na regałach ciągnących się od podłogi aż po sufit.

– Drinka? – zapytał Latham. – Przed chwilą wyciskałem z siebie siódme poty na siłowni, więc dla mnie woda z lodem. Sillo?

Wybrała sok, a Mabbut piwo.

Latham udał się do kuchni.

– To się nazywa widok – powiedziała Silla, podchodząc do okna. Było tak duże i wysokie, że Mabbutowi zrobiło się trochę niedobrze. Airbus Lufthansy, opadający z żałosnym jękiem w kierunku Heathrow, przesunął im się przed oczami jak w grze komputerowej. Zrobiła minę.

– Za każdym razem mnie zaskakuje.

W chwili, gdy do Mabbuta dotarło znaczenie jej słów, Latham wniósł na tacy drinki.

– Może być heineken?

– Tak. Dzięki.

Usiedli przy niskim stoliku z lustrzanym blatem, Mabbut i Silla obok siebie, Latham po drugiej stronie. Uniósł szklankę.

– No dobrze, czas na toast. Wasze zdrowie i gorące podziękowania. – Latham uśmiechnął się wielkodusznie do Mabbuta. – Wiem, że nie było ci łatwo, i przepraszam za te naciski. Naprawdę doceniam to, co zrobiłeś, Keith. Myślę, że wszyscy będziemy mieć powód do dumy.

Latham owinął się ciaśniej szlafrokiem i popatrzył na czerwoną teczkę.

– Mogę zajrzeć do środka?

Roześmiali się z Sillą, a potem wydawca wyciągnął rękę. W tym samym momencie Mabbut położył dłoń na rękopisie.

– Ja też chciałbym powiedzieć kilka słów, Ron. Jeśli można. Teraz, kiedy książka jest już gotowa.

Ron skinął głową.

– Bardzo proszę.

Z jakiegoś powodu Mabbut zauważył godzinę na cyfrowym zegarze stojącym na designerskim kredensie. Była 19.38. Za oknem przesunął się kolejny samolot, błyskając światłami.

Mabbut uniósł szklankę.

– Ron, Sillo, chciałbym podziękować wam obojgu za możliwość napisania tej książki. Chciałbym również podziękować Karlowi Hattikerowi i całej rodzinie Hattikerów za to, że dzięki nim Hemisphere Grain Group może w dalszym ciągu wycinać lasy deszczowe na całym świecie i hojnie przekazywać część zysków na finansowanie działalności firmy Wide Hatt Publishing, bez której nie byłoby wydawnictwa Urgent Books. Ron, dziękuję ci jako mojemu wydawcy za to, że zachęcałeś mnie, żebym przyjrzał się wszystkim aspektom życia człowieka uznawanego kiedyś za szlachetnego, i tobie, Sillo, za wsparcie w chwilach zwątpienia. A tobie, Hamish,

gdziekolwiek jesteś, dziękuję za wszystko, co zrobiłeś, żeby otworzyć mnie i całemu światu oczy na to, co się tu naprawdę dzieje.

Nikt się nie poruszył.

– Hamish, mam nadzieję, że dotrzymałem swojej części umowy.

Pociągnął duży haust piwa, odstawił szklankę na lustrzany blat i dopiero wtedy zdjął dłoń z teczki, popchnąwszy ją na środek stołu.

– Żegnaj, Ron. Pa, Sillo. Dzięki za piwo. Przyjemnej lektury.

To powiedziawszy, Mabbut wstał, wziął swój płaszcz i wyszedł.

Silla siedziała ze wzrokiem wbitym w drzwi, jakby miała nadzieję, że zaraz się otworzą, a cała scena rozegra się jeszcze raz według innego scenariusza. Ale drzwi pozostawały zamknięte. Latham przyciągnął do siebie teczkę. Ściągnął gumki z rogów i wyjął rękopis.

– Przynajmniej nie muszę już być dla niego miły.

Silla rzuciła mu poirytowane spojrzenie.

– Daj spokój, Ron. W końcu dostałeś to, czego chciałeś.

Przerwała.

– Ron?

Latham ze znieruchomiałą twarzą wpatrywał się w stronę tytułową. Lewą dłonią uderzył mocno w blat.

– Co się stało?

Nie odpowiedział, cisnął tylko maszynopis na stół.

– Sama zobacz.

Silla wydała okrzyk zdumienia. Przerzuciła kilka stron, jakby mogły przynieść jakieś wyjaśnienie, ale potwierdziły tylko jej najgorsze obawy. Na stronie tytułowej napis wydrukowany pogrubioną czcionką Times New Roman rozmiar szesnaście głosił: „Triumf wbrew przeciwnościom losu. Oficjalna historia terminalu naftowego Sullom Voe”.

DZIESIĘĆ

Na horyzoncie ukazał się terminal. Mabbut jechał idealnie równą drogą wzdłuż firmowego lądowiska. Prywatny samolot zapełniał się właśnie pasażerami – zgarbione postaci w odblaskowych kurtkach ze schylonymi głowami biegły pod wiatr w kierunku schodków na pokład. Wysoko po niebie sunęły białe chmury, pędzone z zachodu. Chwilę później z lewej strony wyłoniły się ciemne wody Voe. Na widok czterech znajomych przystani wyrastających z kompleksu Sullom Voe, poczuł ukłucie tęsknoty. Na pływającym pod norweską banderą tankowcu Olaf Kohner z Bergen trwał rozładunek ropy z jednego z niedawno otwartych pól naftowych na północnym Atlantyku. Wyżej, za przystaniami, ciągnęły się rzędy zbiorników. Szesnaście okrągłych beczek, z których każda mogła pomieścić sześćset tysięcy baryłek. Kiedyś Mabbut dobrze znał ten świat. To czterystuhektarowe miasto ukryte wśród wilgotnych i wietrznych wzgórz, gdzie trzydzieści lat wcześniej stały tylko pojedyncze zagrody i pasły się stada owiec.

Mabbut zatrzymał się przed szlabanem zagradzającym wjazd na parking. W budce siedział nowy, nieznajomy ochroniarz. Keith podał mu otrzymaną wcześniej przepustkę.

– Moje nazwisko Mabbut. Przyjechałem na spotkanie z dyrektor do spraw kontaktów zewnętrznych.

Ochroniarz sięgnął po listę i zaczął ją wnikliwie studiować, poruszając bezgłośnie wargami przy czytaniu nazwisk.

– Czy ma pan jakiś dowód tożsamości?

– Oprócz tego listu z moim nazwiskiem?

Ochroniarz o cerze gładkiej jak u niemowlęcia kiwnął głową.

Mabbut poszperał w portfelu i wyciągnął z niego prawo jazdy. Stado mew krążyło wokół śmieciarki, która zbliżała się od strony wjazdu dla pojazdów służbowych.

Na terenie zakładu Mabbut wolno mijał rzędy zaparkowanych samochodów, aż w końcu znalazł miejsce blisko budynku administracyjnego. Wjechał tyłem, jak wymagały tego przepisy. Z jednej strony wznosiły się mury elektrowni terminalu. Największy budynek na Szetlandach, mówili z dumą pracownicy, jakby to miało usprawiedliwiać jego wygląd. Teren otaczało wysokie na trzy metry ogrodzenie, zwieńczone spiralami drutu kolczastego. Za nim na wzgórzach bawiły się króliki.

Minął dopiero miesiąc, odkąd Mabbut zerwał umowę z Urgent Books, chociaż wydawało mu się, że upłynął już rok – tak bardzo zmieniło się jego życie. Przynajmniej raz w swoim życiu nie oglądał się za siebie, nie miał żadnych wątpliwości i nie poszedł na kompromis. Spędzał czas w domu: wysprzątał go, pomalował próg, umył fotele ogrodowe i rozkoszował się letnimi wieczorami. Z pewnym zdumieniem zdał sobie sprawę, że jego pewność siebie i poczucie własnej wartości, zamiast lec w gruzach, mają się świetnie. Zawsze znajdą się ludzie pokroju Silli i Lathama, którzy będą chcieli do czegoś cię zmusić, ale niezależnie od tego, jak przekonujący, wyrozumiali i hojni by się nie wydawali, w ostatecznym rozrachunku okaże się, że działają we własnym interesie. Tymczasem on w ogóle nie potrafił działać. Silla trafiła w samo sedno. Był zbyt bierny. Miał mnóstwo pomysłów i opinii, ale zawsze czekał, aż ktoś inny powie mu, co z nimi zrobić. Teraz, dzięki Melville'owi, zaczął ufać sobie bardziej niż kiedykolwiek. Nie był głupi. Zarzuty Tricketta, prawdziwe czy fałszywe, jednak padły. Nie mógł też zaprzeczyć istnieniu Ursuli. Ale od chwili, gdy Latham i Urgent Books postanowili, że właśnie te wątki powinny być w książce najważniejsze, Mabbut wiedział, do czego zmierzają. I wiedział, że nie może im w tym pomóc.

Dlatego musiał zadbać o to, żeby historia, którą chciało przedstawić światu wydawnictwo Urgent, nigdy nie ujrzała światła dziennego.

W dniach po spotkaniu jeszcze zaostrzył swoje stanowisko. Nie tylko odmówił poprawienia książki zgodnie z wytycznymi Rona Lathama, ale zagroził, że jeśli zrobi to ktokolwiek inny, on opowie ze szczegółami o roli, jaką Ron odegrał w powstaniu biografii. Prawnicy wytoczyli ciężkie działa, padły rozmaite groźby, podniósł się kurz, ale kilka tygodni później minął termin, pozwalający wydać książkę na Boże Narodzenie; pod koniec miesiąca Mabbut mógł już przekazać Wendy Lu dobrą wiadomość, że Urgent po cichu wycofało się z projektu.

Jak można było się spodziewać, Krystyna nieustannie mu wypominała, że wyrzucił w błoto tyle pieniędzy, ale jej drwiny już go nie dotykały. Poza tym pieniądze przestały być tak palącą potrzebą. Rex zachował się bardzo przyzwoicie i wsparł finansowo rodzinę, nie żądając niczego w zamian. Oprócz Krystyny.

Teraz Mabbut znalazł się z powrotem na wyspie, na której wiadomość, że Krystyna chce ostatecznie zakończyć ich małżeństwo, spadła kiedyś na niego jak grom z jasnego nieba. Z perspektywy czasu potrafił już przyznać, że gdyby nie zatrzymywał jej tak uparcie, oszczędziłby wszystkim wielu cierpień. Tydzień temu, przy aprobacie całej rodziny, zgodził się nie robić problemów z rozwodem.

Prawie punktualnie o trzynastej z budynku wyszła Mae Lennox. Uchylił drzwi i pomachał do niej. Uśmiechnęła się, odmachała i podeszła do jego samochodu. Gdy wsiadła, przechylił się, żeby ją pocałować. Nadstawiła oba policzki, oficjalnie, jakby nadal razem pracowali.

– Zmarzłeś – powiedziała.

– Miałem otwarte okno. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść w tej nowej knajpce w Brae – zaproponował, jadąc w kierunku bramy.

Mae była zdyszana, jakby skądś przybiegła.

– Dobrze, ale muszę wrócić najpóźniej za godzinę. Mamy tu mały kryzys.

– Tak?

– Przez cały tydzień nad Atlantykiem szaleją wichury. Jeden z tankowców wpadł na platformę wiertniczą. Mogło być dużo gorzej, ale wstrzymali wydobycie, więc wszyscy są trochę podenerwowani.

Skręcając na drogę do Brae, Mabbut obserwował kątem oka, jak Mae poprawia ubranie: rozpina płaszcz, układa apaszkę, obciąga obcisłą szarą marynarkę.

– A tak w ogóle, cóż za niespodzianka!

Mabbut roześmiał się.

– Przecież mówiłem, że przyjadę.

– Przywiozłeś swoją nową książkę?

Spochmurniał.

– Nie… Właściwie to nic z niej nie wyszło.

– Cieszyłam się na nią, Keith.

– Ja też, ale najwyraźniej tak miało być.

– Przykro mi. Musisz być załamany.

Nagle zaczął zacinać deszcz i przednią szybę zalały strugi wody. Mabbut włączył wycieraczki.

– Nie, nie. Uwierz mi, tak jest lepiej.

W wystroju baru rybnego U Sammy'ego dominowało dobrze wyszorowane jasne drewno. Na sali panował mniejszy ruch niż w dziale zamówień na wynos, więc mogli zająć miejsce przy dużym panoramicznym oknie. Nad porcją ryby z frytkami Mabbut opowiedział Mae całą historię: o książce i powodach, dla których z niej zrezygnował, o Krystynie i rozwodzie.

Spojrzała na niego z troską, którą próbował zbyć.

– Czuję się dużo lepiej, Mae. Zacząłem podejmować decyzje, zamiast ich unikać. Niedługo nie będę miał żony, agentki ani wydawcy. Ale paradoksalnie najgorsze, co mogło mnie spotkać, okazało się dla mnie najlepsze.

Napił się piwa.

Mae uniosła brwi i skinęła potakująco głową.

– A co cię przywiodło tak daleko od domu?

Mabbut uśmiechnął się. Wyjrzał przez okno i przebiegł wzrokiem po ciemnych zatokach i niewielkich, nisko skoszonych pagórkach, opadających aż do morza. Potem odwrócił się do Mae.

– Są w życiu takie chwile, kiedy człowiek jest tak zaaferowany pracą, że na nic innego nie zwraca uwagi. Kiedy tu mieszkałem, skupiałem się głównie na tym, żeby zrozumieć zasady prefabrykacji i anomalie przepływu ropy. Całą resztę traktowałem po macoszemu. To było dla mnie miejsce pracy, takie samo jak każde inne. A teraz nie mogę o nim zapomnieć, Mae. Nie mówię tylko o wyspach, spokoju i pięknie tego miejsca, ale i o ludziach. To, co czasami brałem za dystans i nieufność, było po prostu innym sposobem patrzenia na świat. Sądziłem, że kiedy ludzie się do mnie nie odzywają, chcą mi przez to coś powiedzieć.

– Ciekawe.

– Teraz wiem, że nie odzywają się, dopóki nie mają czegoś do powiedzenia. Mieszkańców Szetlandów cechuje pewna stałość. Tego samego doświadczyłem na wzgórzach w Indiach. Wśród lokalnych plemion. Stałość to bardzo cenna rzecz.

Mae zerknęła w kierunku drzwi, więc Mabbut poprosił o rachunek.

– Zrozumiałem też, że przyjmowałem twoją pomoc i przyjaźń za pewnik. Chyba nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Jesteś na wskroś uczciwa, to niezwykle rzadka cecha. A twoja uczciwość współgra ze wszystkim, czego nauczyłem się przy Melville'u. Nie jest obłudna ani pompatyczna, to zwykła prawdomówność płynąca prosto z serca. Gdybym postanowił wyjechać i pracować z Melvillem, czy mógłbym liczyć, że do mnie dołączysz?

Przez chwilę oboje milczeli. Potem Mae spojrzała na zegarek.

– Keith, muszę iść. Te wszystkie plany brzmią bardzo ekscytująco, ale moja rzeczywistość wygląda tak, że o trzeciej jest spotkanie w sprawie ograniczenia szkód. Ty masz szansę zrobić dla świata coś dobrego. Ale ja muszę się zastanowić, co będą oznaczały dla firmy straty rzędu miliona funtów dziennie, jeśli zamkniemy tę platformę.

Wstała od stołu.

Keith podniósł się pośpiesznie.

– Pomyśl o tym. To wszystko, o co cię proszę. Nie musisz decydować od razu.

W drodze powrotnej niewiele mieli sobie do powiedzenia. Gdy tylko podjechali pod bramę terminalu, Mae otworzyła drzwi i pobiegła do budynku administracyjnego.

– Dziś wieczorem! – krzyknął za nią. – O ósmej. Mieszkam w Stratsa House!

Skinęła głową, a potem przeszła przez bramkę i zniknęła.

Stał przed lustrem. Wieczorne słońce prześwitujące między domami oświetlało jego profil, pokazując dobitnie, że pierwszą połowę życia ma już za sobą. Jego skóra, zawsze napięta i zadbana, zdawała się bledsza niż zwykle. Przesunął palcami po szczęce, zastanawiając się, czy przed spotkaniem z Mae powinien się ogolić.

Po tym, jak odwiózł ją do terminalu, zameldował się w Stratsa House. Kiedy wiatr się uspokoił, a niebo rozjaśniło, wybrał się na spacer po centrum Lerwick. Usiadł na molo, skąd obserwował krzątaninę małych łódek i niespiesznie nadpływający prom z Bressay. Upajał się zapachem soli i smoły i krzykami tłustych mew, walczących o terytorium. Przyszło mu do głowy, że mógłby tu po prostu zostać. Kupić małe gospodarstwo. Odnowić je. Zamieszkać w nim z Mae. On by pisał, ona dojeżdżałaby do terminalu. Mogliby prowadzić razem pensjonat. Przyjmować gości. Może kupić małą łódkę, taką jak te zacumowane przy molo, żeby pokazywać turystom maskonury albo kolonie głuptaków. Z zadumy wyrwała go syrena.

Przybrzeżny statek pomocniczy odbił od brzegu i powoli zostawiał za sobą molo, kierując się na południe.

Kiedy o wpół do ósmej Mabbut zszedł do baru, zajmującego jedną stronę Clickimin Suite, Mae już na niego czekała. Nie była sama.

Kevin O'Connolly wstał i z szerokim uśmiechem wyciągnął do niego dużą, czerwoną dłoń.

– Keith! Co cię sprowadza w te zakazane rejony?

Keith miał właśnie pocałować Mae, ale z jej mowy ciała wyczytał, żeby tego nie robić.

– Przyjechałem zobaczyć się z Mae.

– Takie doszły mnie słuchy. Podobno zabrałeś ją do Sammy'ego na wyśmienity lunch. Czego się napijesz?

– Wezmę lampkę białego wina.

O'Connolly machnął nonszalancko ręką.

– Zamówię butelkę. Wypijemy do kolacji.

Kiedy poszedł do baru, Keith usiadł i ze zdumieniem popatrzył na Mae.

– Co on tu robi?

Zanim zdążyła się odezwać, wrócił O'Connolly. Uśmiechał się od ucha do ucha. Mabbut pomyślał, że wygląda na bardzo zadowolonego z siebie.

– Wziąłem szampana – powiedział, wciskając się obok Mae. – Żeby uczcić twój powrót na kraniec świata.

Keith zmusił się do uśmiechu, którego wyraźnie oczekiwał O'Connolly. Próbował przyciągnąć spojrzenie Mae, żeby odnaleźć w nim odpowiedź na swoje pytanie, ale unikała jego wzroku. Wreszcie O'Connolly nakrył jej dłoń swoją i uśmiechnął się do Keitha nieśmiało.

– Sami też mamy co świętować.

Mae podniosła wreszcie wzrok, a kiedy spojrzała Keithowi w oczy, poczuł się tak, jakby ktoś zepchnął go z klifu do morza.

O’Connolly ścisnął Mae za rękę.
– Ty mu powiesz, czy ja mam to zrobić?

Jak na ironię, ich wspólną kolację uratowało przed całkowitą katastrofą coś, czego Mabbut w Kevinie O’Connollym nie znosił najbardziej – jego absolutny egocentryzm. Nie było nawet czasu zejść na żaden boleśnie osobisty temat, bo Kevin nieustannie opowiadał o swoim dzieciństwie. Nieobecny ojciec alkoholik, trudne życie na ulicy, duma stoczniowców z Clydebank i gorycz po upadku ich przemysłu. Mabbut znał co prawda na pamięć wszystkie te rzewne historie, ale tym razem słuchał ich z wdzięcznością. Były jak niekończąca się i niemal kojąca ścieżka dźwiękowa do jego męczarni.

Następnego ranka wyspy spowiła mgła, jakby pogoda dostosowała się do jego nastroju. Pierwsze samoloty miały opuścić lotnisko Sumburgh dopiero po południu, więc Mabbut zdążył przespacerować się po miasteczku. Mgła zamieniła je w świat z powieści Dickensa. Kroki Mabbuta na wilgotnym bruku Commercial Street brzmiały nienaturalnie głośno. Kupił pół tuzina butelek wina za jakąś zatrważającą kwotę i zostawił je w recepcji hotelu z życzeniami szczęścia na nowej drodze życia dla Mae i O’Connolly’ego. Zadzwonił do biura Mae w terminalu, ale nie odebrała. Zostawił jej wiadomość i po wczesnym lunchu ruszył krętą drogą na lotnisko ze świadomością, że jedzie nią ostatni raz w życiu.

JEDENAŚCIE

Minął miesiąc, odkąd Mabbut przekazał Wendy Lu dobre wieści o książce i ponad tydzień od wysłania e-maila, w którym zaoferował Melville'owi swoje usługi, jeżeli Melville w ogóle pisał poważnie. Liczył na jakąś odpowiedź, chociażby potwierdzenie, że Hamish odebrał wiadomość. Jednak za każdym razem, kiedy dzwonił, Wendy tłumaczyła, że Melville jest zajęty jakąś ściśle tajną misją. I że gdy tylko ją zakończy, skontaktuje się z Keithem.

Kiedy Krystyna, Mae i Melville zniknęli z horyzontu Mabbuta, jego życie znów stało się proste. Nie idealne, ale proste. Opadła mgła i przyszłość rysowała się jasno. Na biurko wróciły książki i opracowania dotyczące *Albany*, a na ścianę – mapy i tablice chronologiczne. Gdy je przypinał, jego wzrok padł na zdjęcie Melville'a. U każdego innego te wyraziste rysy, wysokie kości policzkowe i rozwichrzone włosy wyglądałyby po prostu staro albo wręcz smutno. Niczym symbole życia, które dobiega końca. Ale nawet na tej małej, pomarszczonej fotografii z głęboko osadzonych oczu biła taka witalność i siła, że trudno było się od nich oderwać. Mabbut z sympatią popatrzył na zdjęcie i przypiął je w górnym rogu tablicy korkowej. Co on takiego powiedział Mae? O stałości? To właśnie była twarz stałości. Nawet gdyby miał jej już nigdy nie zobaczyć, pozostanie jedyną częścią jego dawnego życia, którą zachowa przy sobie teraz, gdy wreszcie usiadł do pracy nad *Albaną*.

Całkowicie pochłonięty opisem równin Uyei oraz ucieczki Stiona i Eris z rzeki ognia, nie usłyszał dzwonka do drzwi. Dopiero za drugim razem przeciągły i donośny dźwięk wyrwał go z zadumy,

a Stanleya z głębokiego snu. Było czerwcowe popołudnie, a ciszę rozpraszały jedynie stłumione krzyki dzieci na pobliskim placu zabaw.

Mabbut zbiegł po schodach i otworzył drzwi. Kolejny kurier, tym razem w średnim wieku, z sinymi cieniami pod oczami i szpiczastym wąsikiem. W rękach trzymał kopertę. Mabbut przyjrzał się jej z ciekawością. Nie znał pisma, którym wypisany był adres.

Wziął przesyłkę i podpisał się, a kurier, niejako wbrew swojej posępnej aparycji, pożegnał go szerokim uśmiechem.

W środku znajdował się list na grubym, drogim papierze. W nagłówku nie było adresu, tylko wytłoczone na czerwono imię i nazwisko: „Ursula Weitz". Wiadomość była krótka i konkretna. Wydarzyło się coś ważnego i Ursula pytała, czy Mabbut mógłby przyjechać do Karlowych Warów. Zarezerwowała dla niego pokój w hotelu i lot pierwszą klasą do Pragi.

Mabbut stał w przedpokoju z listem w ręku. Nic nie rozumiał. Dlaczego ona? Dlaczego teraz? Ledwie udało mu się wyrwać temu światu, a on już wyciągał po niego swoje macki. Tyle że Mabbut nie miał najmniejszej ochoty do niego wracać.

Był piątkowy wieczór. Pod Psem i Pierzem organizowali kwiz. Nie zaglądał tam od tygodni, ale nagle ów pub wydał mu się idealnym miejscem dla – już wkrótce – oficjalnie wolnego mężczyzny. Zostawił list na kuchennym stole, dokończył pracę, którą zaplanował na ten dzień, nakarmił Stanleya i wyszedł.

Mabbut odłożył książkę i wyjrzał przez okno. Pociąg z Pragi przedzierał się przez gęsty las między sosnami, brzozami i olchami. Była pełnia lata, a promienie późnopopołudniowego słońca rzucały długie cienie na poszycie.

Miał rezerwację w trzygwiazdkowym Hotelu Victoria na stromym wzgórzu o nazwie Stare Mitska. Ursula zostawiła mu wiadomość, że pokój i kolacja są opłacone. Proponowała, żeby spotkali się w klinice o 9.30 nazajutrz rano. Hotel opanowali hałaśliwi rosyjscy goście

weselni, więc Mabbut zrezygnował z darmowego posiłku i udał się do centrum miasta. Wszędzie było pełno ludzi, ale przed Café Elefant znalazł stolik, który właśnie się zwolnił, i chociaż kelner wielokrotnie próbował zwabić go do środka, Mabbut uparcie trwał na posterunku na zewnątrz. Przez kilka następnych godzin obserwował gwarny tłum turystów mijających kawiarnię i zamawiał kolejne szprycery z białego wina, żeby nie narażać się na irytację kelnera.

Kiedy wrócił do Victorii, rosyjskie wesele trwało w najlepsze, winda nie działała, a jemu zaczęło robić się trochę niedobrze. Odebrał swój klucz i udał się schodami do pokoju numer 416. Na jednym z podestów natknął się na parę splecioną w uścisku, z dłońmi wsuniętymi pod ubrania.

Rano ruszył do kliniki. Z kościoła Marii Magdaleny dochodziło bicie dzwonu, straganiarze rozstawiali na ulicach swoje stoiska, zbierały się pierwsze grupy amatorów wód leczniczych. Przeszedł na drugą stronę rzeki Ciepłej, która od jego ostatniej wizyty zmieniła się w wąski strumyk. W drodze do Ośrodka Galena minął szereg butików i sklepów z pamiątkami. Wcisnął przycisk na domofonie i drzwi otworzyły się. Było jeszcze wcześnie. Schody zamiatali sprzątacze w zielonych kombinezonach. Lawirując między nimi, dotarł do recepcji. Popchnął drzwi i natychmiast zauważył Ursulę. Zwrócona tyłem do niego układała kwiaty na niskim stoliku. Zamiast nieskazitelnie białego uniformu miała na sobie luźny różowy dres. Kiedy do niej podszedł, odwróciła się z uśmiechem. Była nieumalowana, a jej twarz wyglądała starzej, niż zapamiętał. Uścisnęła mu serdecznie dłoń, podziękowała, że przyjechał, i poprowadziła go do swojego gabinetu, po drodze wydając polecenia jednej z asystentek.

– Kawy?

Wyraźnie nie przestawiła się jeszcze na tryb pracy. Właściwie zachowywała się zupełnie inaczej niż podczas poprzedniego spotkania. Sprawiała wrażenie spokojnej, ale rozkojarzonej. Włączyła

ekspres do kawy, a potem wyciągnęła z szafki paczkę lucky strike'ów.

– Nie będzie panu przeszkadzało, że zapalę?

– Skądże.

Wyjęła papierosa, zapaliła go z gracją i wcisnęła jakiś guzik. We wnęce, w której stała, rozległ się delikatny szmer. Wskazała w górę z kpiącym uśmiechem.

– Zaleta prowadzenia kliniki medycznej. Prywatny wentylator dla palaczy.

Nalała kawę i wrzuciła do swojej filiżanki dwie białe kostki, po czym podała cukiernicę Mabbutowi. Potem usiadła za biurkiem. Wyglądała na zmęczoną. Właśnie na tym polegała różnica. Wyglądała na zmęczoną i nie próbowała tego w żaden sposób ukryć.

– Dziękuję, że tak szybko pan przyjechał.

– Dziękuję, że mi to pani ułatwiła.

– Żałuję, że nie udało mi się zarezerwować dla pana pokoju w Hotelu Pupp. Jest najlepszy i powinien pan go obejrzeć przed wyjazdem, ale wczoraj urządzali tam ogromne wesele. Ukraińskie. Facet wynajął cały hotel i trzy orkiestry. To drugi najbogatszy człowiek w Kijowie.

Zaciągnęła się tak, jakby od tego zależało jej życie, i wypuściła dym w kierunku wentylatora. Powtórzyła całą procedurę jeszcze raz, a potem zgasiła papierosa i wrzuciła go do kosza.

Przez chwilę przypatrywała mu się uważnie.

– Panie Mabbut, mój ojciec i ja jesteśmy bardzo wdzięczni za to, co pan zrobił.

– Za to, co zrobiłem?

– Tak. Za to, że pozostał pan wierny swoim zasadom i nie pozwolił się pan zastraszyć w sprawie książki. Oboje jesteśmy bardzo wdzięczni.

– Więc miała pani wieści od ojca?

Skinęła głową.

– Dobrze to słyszeć. Myślałem, że nie utrzymujecie kontaktów. Sam łapię go przez Wendy Lu w Singapurze.

– Jest bardzo miła.

– Pani też ją zna?

Ursula zdjęła kawałeczek tytoniu z czubka języka.

– O tak.

Nagle wstała i znów sięgnęła po papierosy.

– Dziś dowie się pan rzeczy, które pana zaskoczą. Może nawet zszokują. Przede wszystkim chciałabym przeprosić za to, że wprowadziłam pana w błąd.

– W jakiej sprawie?

– Pytał mnie pan, czy widuję się z ojcem, a ja zaprzeczyłam. Zrobiłam to dlatego, że nie chciałam udzielać żadnych informacji. Nikomu. Z powodów, które wkrótce pan zrozumie. Mam kontakt z ojcem już od jakiegoś czasu. Poprosił mnie o pomoc.

– Co się stało?

Zerknęła w kierunku położonego wysoko okienka, które stanowiło jedyny łącznik ze światem zewnętrznym.

– Mówię to panu w największym zaufaniu. Mój ojciec ma kłopoty.

– Jakie kłopoty?

Przechyliła paczkę w bok i wysunęła papierosa.

– Każda walka, w której bierze udział, każda kampania, którą wspiera, przysparza mu kolejnych wrogów.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Ci wrogowie są teraz bardzo potężni. I usiłują zniszczyć mojego ojca raz na zawsze. Starają się zdyskredytować jego pracę na wiele sposobów – jedną z metod miała być książka, za którą panu zapłacili. Ale dzięki panu ponieśli porażkę. Dlatego próbują go uciszyć mniej wyrafinowanymi metodami.

Mabbut trawił jej słowa. Opowieść Ursuli brzmiała zaskakująco melodramatycznie i to go martwiło.

Podniosła do ust nowego papierosa, ale nie zapaliła go.

– Tydzień temu wrzucili granat do chaty, w której pracował ze swoim zespołem. Trzech jego ludzi zginęło na miejscu.

– O Boże! Nic mu nie jest?

Ursula roześmiała się. Gorzko.

– Wyszedł z tego bez szwanku. Jak zwykle się wykaraskał. Ale to nim wstrząsnęło. Do głębi. Dało mu do myślenia.

– Wie pani, gdzie on jest? Próbowałem się z nim skontaktować.

Ursula spojrzała na zegarek, a potem podeszła do drzwi i pokazała, żeby poszedł za nią.

– Zaraz otwieramy. Przejdźmy w jakieś spokojniejsze miejsce.

Poprowadziła go przez recepcję – teraz nieskazitelnie czystą, uporządkowaną i gotową na przyjęcie klientów – na mały podest. Wcisnęła guzik windy i odwróciła się do niego, równocześnie rzeczowa i przepraszająca.

– Muszę się przebrać. Piąte piętro. Później do pana dołączę.

Winda dojeżdżała tylko do czwartego piętra, skąd krótkie schody prowadziły na poddasze budynku. Tam wystrój był zupełnie inny – bardziej przytulny i kolorowy. Korytarze wyłożono długimi chodnikami, a na ścianach wisiały reprodukcje impresjonistycznych obrazów. Szczupła, około trzydziestoletnia kobieta z blond kucykiem wyszła z pokoju, który, jak zorientował się Mabbut, pełnił funkcję małego biura. Z haczyków na ścianie zwisało pół tuzina podkładek do pisania. Nad blatem ciągnął się szereg monitorów.

– Dzień dobry, panie Mabbut, mam na imię Tabitha.

Widząc jego badawcze spojrzenie, uśmiechnęła się i dodała:

– Pochodzę z Izraela.

Otworzyła zmyślnie ukrytą szafkę i wyjęła z niej płaską paczuszkę w plastikowym opakowaniu.

– Idzie pan do części szpitalnej, więc proszę się przebrać w odzież ochronną, a przed wejściem umyć i zdezynfekować ręce.

Wskazała na rząd zamykanych kabin po swojej prawej stronie. Mabbut włożył otrzymane ubranie, które obejmowało kombinezon

i plastikowe ochraniacze na stopy i głowę. Tabitha sprawdziła, jak sobie poradził, a potem zaprowadziła go korytarzem do drzwi z grubą gumową uszczelką. Za nimi kończyły się chodniki i przytulny wystrój. Ściany znów zrobiły się białe. Tabitha przystanęła przed kolejnymi drzwiami i zajrzała do środka przez okienko. Pod nim znajdowała się tabliczka z nieznanym Mabbutowi nazwiskiem. Kobieta otworzyła drzwi, wprowadziła go i wyszła.

Jedynym źródłem światła w pokoju były przyćmione halogenowe lampy nad łóżkiem, z którego zwisał kłąb kabli, podłączonych do ekranów komputerowych i monitorów stojących na szklanym blacie. Na łóżku leżała postać z grubym białym opatrunkiem na czubku głowy i ciasno zabandażowaną prawą ręką, z której wystawał czerwony przewód.

Gdy pacjent odwrócił ku niemu twarz, padło na nią światło lampy.

– Keith!

Głos był słaby, ale charakterystyczny.

– Przestraszyłem cię?

– Hamish?

Skinięcie zabandażowanej głowy.

– Nie sądziłem, że spotkamy się tak szybko.

– Jesteś ranny?

– Och, mogło być gorzej.

Zaśmiał się cicho, uniósł dłoń i wyciągnął palec.

– Gdzieś tam powinno stać krzesło. Chyba w rogu.

Wcisnął jakiś guzik, a łóżko powoli podniosło go do pozycji siedzącej. Mabbut znalazł mały metalowy stołeczek i przysiadł na nim. Miał ochotę dokładnie przyjrzeć się Hamishowi, ale stać go było tylko na ukradkowe spojrzenia. Długie włosy Melville'a zniknęły. Z tego, co widział Mabbut, był gładko ogolony, co nadawało jego twarzy surowy, ascetyczny wygląd. Spod bandaża wystawała mu czarnoczerwona opuchlizna, na nosie miał plaster.

Melville spróbował uśmiechnąć się krzepiąco, ale sprawiało mu to wyraźną trudność.

– Mam nadzieję, że ten przyjazd nie sprawił ci kłopotu. Poprosiłem Ursulę, żeby wszystko zorganizowała. To jedna z niewielu zalet tej… niefortunnej sytuacji. Mogę spędzić trochę czasu z córką.

Wskazał na szafkę przy łóżku.

– Mógłbyś mi pomóc? Powinna tam być woda.

Mabbut znalazł plastikową butelkę i kilka papierowych kubków. Chciał napełnić jeden z nich, ale Melville powstrzymał go gestem.

– Zaczekaj!

Pomacał pod poduszką i wyjął stamtąd ciemnozieloną litrową butelkę. Bez etykiety.

– Najpierw szkocka.

Wprawnie odkręcił butelkę i wlał odrobinę alkoholu do kubka.

– Teraz woda.

Gdy Mabbut nalewał, Melville uśmiechnął się smutno.

– Kolejny plus leczenia się u córki.

Wziął ostrożny, niemal żmudny łyk.

– Poprosiłem, żeby się z tobą skontaktowała, bo czuję, że należą ci się podziękowania. Podjąłeś trudną decyzję, rezygnując z tej książki. Chciałem pokazać, że to doceniam.

– To był stek oszczerstw. Nie miał nic wspólnego z książką, o której rozmawialiśmy. Nie mogłem się pod tym podpisać.

Melville skinął głową, a potem wciągnął ostro powietrze, jakby coś go zabolało.

Mabbut przestraszył się.

– Wszystko w porządku?

– Tak. To szybko mija.

– Ursula powiedziała, że nie ucierpiałeś w ataku?

– Nie ucierpiałem, ale trzech moich najlepszych ludzi zginęło na miejscu.

– Więc dlaczego?…

Urwał, bo Melville uniósł dłoń.

– Keith, to, co ci powiem, będzie trudne dla nas obu. Proszę tylko, żebyś mnie wysłuchał.

– Oczywiście.

– Chodzi o książkę.

Mabbut przysunął się bliżej.

– Tak jak napisałem w liście, Victor Trickett naprawdę kłamał. Bettina była święta.

Mabbut skinął głową.

– Wiedziałem. Wiedziałem od początku.

Melville upił kolejny łyk whisky, po którym złapał go krótki, ostry napad kaszlu. Potem zwrócił swoje niepokojące spojrzenie na Mabbuta.

– Niemniej jednak sporo ci umknęło, Keith.

Mabbut miał wrażenie, że w pokoju zrobiło się wyraźnie chłodniej. Poczuł gryzący zapach środka antyseptycznego.

– Nie bardzo wiem, co masz na myśli…

Przez suche wargi Melville'a przemknął lekki uśmiech. Kiedy znów się odezwał, mówił cicho i szybko, ostrożnie dobierając słowa.

– Przez ostatnie dwadzieścia lat dostawałem pieniądze od różnych międzynarodowych instytucji – zarówno rządów, jak i firm prywatnych – za monitorowanie nastrojów w społecznościach lokalnych na obszarach bogatych w surowce naturalne. Moje zadanie polegało na tym, żeby ocenić, na ile negatywnie podchodzą one do wydobycia lokalnych bogactw. Pomagałem również prowadzić na tych terenach analizy geologiczne i różne inne badania, a także wspierałem i promowałem działania miejscowych grup, które wydawały się przychylnie nastawione do wydobycia i inwestycji. Co nie oznacza, że los plemion, z którymi pracowałem, był mi obojętny. Wręcz przeciwnie. W głębi duszy zawsze życzyłem establishmentowi porażki i nigdy nie byłem szczęśliwszy niż w towarzystwie tych ludzi na końcu świata. Im dalej od ojczyzny, tym lepiej. Czasami jednak

reprezentowałem sprzeczne interesy – tak można to ująć. A jeśli nie byłem w stanie przekonać żadnej ze stron do właściwego rozwiązania, wycofywałem się, wiedząc, że zostawiam bezbronnych ludzi na pastwę losu.

– Kim… kim byli ci…

Melville uciszył go gestem i rzucił ostro:

– Daj mi dokończyć, potem możesz mówić, co będziesz chciał. Albo po prostu wyjść.

Nabrał głęboko powietrza i mówił dalej.

– Wszystko szło dobrze do chwili, kiedy dwa lata temu przyjąłem zlecenie w Ameryce Południowej. Zgubiła mnie pycha – sądziłem, że mogę grać na dwa fronty przy projekcie budowy tamy na rzece Parcachua. To było ogromne przedsięwzięcie. Osiem tysięcy kilometrów kwadratowych, pięćdziesiąt tysięcy wysiedlonych. Dostałem pieniądze za to, żeby zablokować ten projekt – moi mocodawcy lansowali inną lokalizację tamy. Zamiast tego pomogłem go zatwierdzić, tylko dlatego, że druga strona przebiła ich ofertę. Byłem chciwy. Nie chodziło mi tylko o pieniądze, raczej o władzę i wpływy. Zacząłem sobie roić, że jestem niezniszczalny. Że to ja wiem najlepiej i mogę dowolnie rozgrywać sytuację, wygrywać dla jednych i przegrywać dla drugich. Stworzyłem świetny zespół i zawsze byliśmy górą, bo ci wszyscy miliarderzy gówno wiedzieli o dżungli, górach i ludziach, którzy tam mieszkają. Nikt na świecie nie umiał współpracować z ruchami oddolnymi i z Wall Street tak jak my. A na swoje usprawiedliwienie powiem, że w tym, co robiłem, albo co starałem się robić, zawsze wspierałem miejscową ludność. Ktoś życzliwy mógłby widzieć we mnie Robin Hooda. Albo Che Guevarę. Ktoś mniej życzliwy zobaczy raczej Kurtza z *Jądra ciemności*. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, jak szybko zmienia się ta gra. Odkąd na rynku pojawili się Chińczycy i Rosjanie, korporacje przeznaczają astronomiczne kwoty na poszukiwania złóż. Mają własne armie. Armie prawników i doradców PR, ale też świetnie

wyszkolone, wysoko opłacane jednostki paramilitarne. Przez te wszystkie lata przyzwyczaiłem się, że ludzie grożą mi śmiercią, ale dawniej mogłem zginąć co najwyżej od strzały albo dmuchawki. Teraz te firmy zatrudniają zawodowców, płatnych zabójców trenowanych przez KGB albo Mossad.

Przerwał, oparł głowę na poduszce i zwilżył wargi.

– Jestem ci winny przeprosiny za wiele rzeczy, Keith, między innymi za to, że przez chwilę brałem cię za jednego z nich. Może nie za zabójcę, ale za szpiega. Stąd moje niezbyt ciepłe powitanie, kiedy pojawiłeś się w Indiach, komplementując mnie w ten swój podejrzany sposób za „międzynarodową sławę".

Spojrzał na Mabbuta i uśmiechnął się lekko na widok jego zszokowanej miny.

– Jak się okazało, nie byłeś płatnym mordercą. Byłeś za to naprawdę porządnym człowiekiem, który przypomniał mi o moich dawnych ideałach. I dlatego z Kowprah nic nie wyszło, a ja jestem dziś tu, a nie gdzie indziej.

Mabbut był zdezorientowany.

– Myślałem, że ta blokada była ogromnym sukcesem.

– Zostałem wynajęty, żeby podjudzić plemiona Masira, Musa i Gyara do walki – plany rozbudowy rafinerii miały ich tak rozwścieczyć, żeby wypadli z lasu z łukami i dmuchawkami i rzucili się na kierowców Astramexu. To przeciągnęłoby opinię publiczną na stronę firmy, która w efekcie dostałaby wszystkie niezbędne pozwolenia. Ale podwójny blef nie wypalił. Miejscowa ludność nie użyła przemocy, za to zdobyła międzynarodowe poparcie, a rząd zakazał wydobycia. Dlatego musiałem jak najszybciej wydostać się z Bhubaneswaru.

– A Kinesh, Kumar i cała reszta?

Melville ściągnął wargi. Pokręcił głową z całą energią, na jaką było go stać.

– Byli niewinni, tak samo jak ty. Sądzili, że robią coś dobrego. Ja jeden znałem sprawę od kulis. Współpracowaliśmy od lat. Byliśmy jak starzy przyjaciele. A potem znikąd pojawiłeś się ty, z tą swoją naiwnością, ideałami i podziwem. Zmusiłeś mnie do powrotu do podstaw, bo zobaczyłem w tobie człowieka, którym sam kiedyś byłem. I wtedy wszystko zaczęło się sypać. Towarzystwo takiego idealisty uświadomiło mi, jak daleko odszedłem od tego, w co dawniej wierzyłem. I wtedy postanowiłem złagodzić blokadę Kowprah. Miała być potężna, groźna, ale pokojowa. W stylu Gandhiego. I taka właśnie była. Nikomu nic się nie stało, lokalne plemiona wypadły dobrze, Astramex wypadł źle, a kilka tygodni później ktoś nasłał na mnie swoją prywatną armię z granatami i straciłem trzech najlepszych ludzi, z jakimi kiedykolwiek pracowałem.

W sali zapadła cisza. Mabbut czuł natłok bardzo różnych emocji: niedowierzania, wstydu, złości, rozczarowania. Wyciągnął rękę, szukając kojącego dotyku zimnej stali ustawionego obok niego wózka. Melville wyglądał na wyczerpanego. Ale do wyjaśnienia pozostało jeszcze kilka spraw. Mabbut chrząknął.

– Dlaczego postanowiłeś pomóc mi z książką?

Melville nie odpowiedział od razu.

– Przede wszystkim dlatego, że nawet zanim pofatygowałem się, żeby sprawdzić, kto za nią stoi, zobaczyłem w twojej książce szansę na to, żeby opowiedzieć swoją wersję wydarzeń, zanim ktoś wysadzi mnie w powietrze albo rozjedzie samochodem. To byłaby najlepsza wersja, ta, która kiedyś napędzała mnie do działania, zanim władza uderzyła mi do głowy. Oczywiście, wiązało się z tym pewne ryzyko. Miałeś doświadczenie w dziennikarstwie śledczym, więc musiałem zachować ostrożność. Nie mogłem dopuścić cię zbyt blisko. Podałem ci nazwiska kilku przyjaciół ze szkoły, z którymi praktycznie straciłem kontakt. Ludzi, których kiedyś znałem i którzy mnie lubili. Dawno temu.

Coś go rozśmieszyło.

– Czy to nie ironia losu, że twój szczytny idealizm i niecne plany szefów tego faceta z Urgent Books razem złożyły się na to, że książka przepadła?

Nadal chichocząc pod nosem, Melville sięgnął pod poduszkę, wyjął butelkę szkockiej, nalał sobie jeszcze jedną kolejkę i wyciągnął kubek w stronę Mabbuta.

– Mogę cię prosić?

Mabbut dolał trochę wody. Przez chwilę patrzył w milczeniu, jak Melville podnosi kubek do ust. Wydawał się stary i słaby, jakby uszło z niego życie.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Melville wziął jeszcze jeden łyk, a kiedy odwrócił się do Mabbuta, w oczach znów miał dawny błysk, jakby wykrzesał z siebie ostatnią iskrę energii.

– Bo chcę, żeby ta książka się ukazała.

Zdumiony Mabbut usiłował coś powiedzieć, ale Melville znów uniósł dłoń.

– Ale tym razem ma się w niej znaleźć prawda.

Przez chwilę milczeli.

– Prawda?

– Tak.

Mabbut ostrożnie ważył słowa.

– Masz na myśli tę prawdę, którą mi właśnie opowiedziałeś?

– Tak.

– Czy to nie byłby pożegnalny list samobójcy?

– Nic podobnego. Raczej ciekawa historia ku przestrodze. Ufam ci i wiem, że będziesz w niej szczery, ale i wyrozumiały. Każdy, nawet najbardziej godny podziwu człowiek pozostaje tylko człowiekiem. Narażonym na wszelkie pokusy, kłamstwa i słabości, jakie się z tym wiążą.

Uśmiechnął się.

– A główną słabością ekologów jest przekonanie o własnej nieomylności, nie uważasz?

Mabbut pokręcił głową.

– Nie. Nie zrobiłbym czegoś takiego. I tak mamy za mało wzorów do naśladowania. Równie dobrze można ogłosić, że Matka Teresa była prostytutką. Nie mówiąc już o tym, że miałbyś na karku każdą gazetę i stację telewizyjną na świecie.

– A gdyby mnie już nie było? Gdybym nie musiał się tym przejmować?

Mabbut zbył to wzruszeniem ramion.

– Te rany się zagoją. Jesteś twardy. Równie dobrze mogę pożegnać się z tym światem przed tobą.

– Chyba nie do końca rozumiesz sytuację, Keith.

– Co masz na myśli?

Melville wskazał na bandaże.

– Sam się tak urządziłem. I sporo mnie to kosztowało – zachichotał. – Chociaż moja córka, poczciwa dziewczyna, dała mi zniżkę.

I tym razem niedowierzanie Mabbuta zdawało się dodawać Melville'owi sił.

– Robię unik, nic więcej. Pozbywam się Hamisha Melville'a, zanim zrobi to ktoś inny.

Wrócił mu dobry humor. Mówił weselszym, mniej nerwowym głosem. Mabbut zdał sobie sprawę, że to właśnie ta niepohamowana chęć życia każe Melville'owi zaplanować własne unicestwienie.

– Kiedy moja córka i jej specjaliści ze mną skończą – a jak widzisz, prace są w toku – Hamisha Melville'a już nie będzie. Będę ja, ale pod zupełnie nierozpoznawalną postacią. Przestań się tak dziwić, Keith. Dziś wszyscy sobie coś poprawiają. Ja po prostu poprawiam trochę więcej.

– Nie musisz tego robić. To szaleństwo.

– Nigdy nie byłem zwolennikiem konwencjonalnych rozwiązań. Mimo tego wszystkiego, co ci opowiedziałem, nadal najbardziej cenię uczciwość. Skoro nie mogę być dobrym człowiekiem, to będę przynajmniej uczciwym człowiekiem. Możesz opowiedzieć światu moją historię, mnie już nie będzie, więc tym się nie przejmuj. A może pewnego dnia przeczyta ją ktoś bardzo podobny do mnie. Jakiś emerytowany właściciel plantacji gumy w Brazylii albo tybetański mnich, chociaż osobiście wolałbym podstarzałego szwedzkiego trapera.

Jego śmiech przerwał kolejny grymas bólu.

Mabbut tak mocno skupił się na słowach Melville'a, że nie usłyszał cichego skrzypnięcia otwieranych drzwi. Obejrzał się. To była Ursula. Patrzyła na ojca bez słowa. Wydawał się teraz spokojny. Wyciszony.

– Panie Mabbut – powiedziała łagodnie – pora się pożegnać.

Przez chwilę obaj milczeli.

Melville wyciągnął rękę do Mabbuta.

– Przykro mi, że cię zawiodłem. Ale ty nie zawiedź mnie, Keith. Obiecaj mi to.

Mabbut chwycił go za długą, szczupłą, zaskakująco silną dłoń. Poczuł, jak się zaciska, gdy Melville wbił w niego spojrzenie.

Mabbut popatrzył w te hipnotyczne, jasnoniebieskie oczy.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Usłyszał za sobą chrząknięcie Ursuli. Wstał, a ona otworzyła przed nim drzwi.

– Spotkamy się jeszcze?

Melville zdobył się na ostatni promienny uśmiech i pokręcił stanowczo głową.

– Nie. Żegnaj, Keith.

Zjeżdżając windą do recepcji, Mabbut i Ursula nie byli rozmowni. Zaproponowała mu kawę, ale widział, że chce jak najszybciej wrócić do pracy. Uścisnęli sobie dłonie.

– Mój ojciec bardzo pana lubił.

Mabbut nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Pod koniec tak.

– Mówił, że żałuje, że nie poznał pana wcześniej.

– Ja się cieszę, że w ogóle się poznaliśmy.

Wzięła z biurka jakiś pakunek.

– Powiedział, żeby to panu dać. To nagrania. Coś, nad czym razem pracowaliście. Tylko prosił, żeby pan to otworzył dopiero po jego śmierci.

– Ale on tak naprawdę nie umrze?

Ursula skinęła głową.

– Pod koniec września, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

Mabbut wyszedł na ulicę, gdzie ruch wzmagał się coraz bardziej. Usiadł w kawiarni po drugiej stronie placu, wybierając stolik, z którego wciąż widział białą, ozdobną fasadę kliniki. Patrząc na dekoracyjne ramy mansardowych okien na piątym piętrze, musiał osłonić oczy przed słońcem. Obok w betonowym przepuście spływała strużką z gór rzeka Ciepła. Dzwonki przystrojonych na czerwono koni dorożkarskich pobrzękiwały cicho. Mabbut sięgnął po pękatą brązową kopertę i wsunął ją do torby.

DWANAŚCIE

Dwa miesiące później Mabbut siedział w swoim gabinecie, zastanawiając się nad drugą kawą. Była wczesna jesień, jeden z tych dni, które tak dobrze pasują do Londynu. Rano, kiedy zabrał się do pisania, na dworze unosiła się lekka mgła, pamiątka po chłodnej, bezchmurnej nocy. Miał ustalony porządek dnia i właśnie pochłaniał go opis ataku Isterian na ziemię wulkanów. Decyzja o rezygnacji z pseudoarchaicznego języka, który wymyślił dla bohaterów, okazała się kluczowa i dzięki niej prace nad *Albaną* postępowały szybko i sprawnie. Jego córka Jay, która miała się już dużo lepiej, studiowała w Goldsmiths i znów mieszkała przy Reserton Road. Sam dostał małą rólkę w nowym serialu *Doctor Who*. Krystyna nadal była z Rexem, ale źle znosiła brak pracy i szukała jakiegoś wyzwania, z którym mogłaby się zmierzyć. Mabbut niedawno skończył pięćdziesiąt siedem lat, a wszystko w jego życiu toczyło się zdumiewająco utartym torem.

Zadzwonił telefon.

W słuchawce rozległ się głos, którego nie słyszał od miesięcy.

– Silla! Co u ciebie?

– Keith, tak mi przykro.

Wydawała się spięta i nieobecna.

– Co się stało?

– Nic nie wiesz?

– O czym?

– O Hamishu Melville'u. To straszne!

Mabbut poderwał się z miejsca. Całkiem zaschło mu w gardle i przez chwilę nie mógł nic powiedzieć.

– Nie oglądałeś wiadomości?

– Nie.

Otworzył stronę internetową BBC. Właśnie pojawiły się pierwsze doniesienia.

– Jakiś problem z układem kierowniczym.

Melville miał wypadek. Jego samochód wypadł z nadbrzeżnej drogi gdzieś w południowej Argentynie.

– Podobno był sam. Musiał stracić panowanie nad kierownicą. Szukają drugiego samochodu, widzianego kilka godzin wcześniej na tej drodze.

Wezwano helikopter, ale trwał sezon burzowy i zdaniem władz odnalezienie ciała może okazać się trudne.

– Podobno tam pracował, chodziło o jakiś problem z prawami do ziemi. Pewnie właśnie tak chciałby odejść…

Mabbut był równocześnie roztrzęsiony i odrętwiały.

– Keith. Jesteś tam?

– Dzięki, Sillo. Przepraszam, po prostu jestem w szoku.

– Pewnie odbędzie się jakieś nabożeństwo żałobne.

– Możliwe.

– Słuchaj, wiem, że to nie moja sprawa, mój drogi, ale jak się trzymasz po tym niewypale z książką?

– Och… wszystko w porządku, dzięki, Sill. Daję sobie radę.

W jej głosie usłyszał ulgę.

– To do zobaczenia, mój drogi. Naprawdę za tobą tęsknię.

Kiedy wiadomość się rozniosła, media robiły wszystko, żeby dowiedzieć się czegoś o przeszłości Melville'a, ale niewiele udało im się znaleźć. Na pewno można było powiedzieć tylko tyle, że ten genialny, choć ekscentryczny człowiek zapłacił życiem za swoją tułaczkę po świecie i niestrudzoną obronę praw tych, których głos inaczej nie zostałby usłyszany.

Kilka minut po dwunastej Mabbut ponownie pojawił się w przechowalni w St. John's Wood i otworzył jedną ze skrytek.

Leżała w niej paczka, którą Ursula przekazała mu prawie trzy miesiące wcześniej. Wrócił na Reserton Road i otworzył pakunek przy biurku. W środku znalazł trzy zaklejone koperty. Dwie z nich zawierały mikrokasety. W trzeciej, dłuższej kopercie, znajdował się list. Ten sam nagłówek Biura Spraw Zagranicznych, przekreślony z rozmachem czerwonym długopisem. A pod spodem wiadomość, napisana ręcznie pochyłym pismem:

Za książkę, której nie opublikowali, i za książkę, która dopiero powstanie.

Hamish

Do kartki przypięty był czek na sto dwadzieścia tysięcy funtów, postdatowany na 19 września.

Dzień jego śmierci.

Ciała Hamisha Melville'a nigdy nie odnaleziono. Królowa przyznała mu pośmiertnie tytuł szlachecki; jego imieniem nazwano też jedną z auli Uniwersytetu w Strathclyde. Dwa lata później Melville. Prawdziwa historia legendy *została najlepiej sprzedającą się książką wydaną nakładem własnym w historii.*

Opublikowała ją firma Slow Books prowadzona przez Keitha Mabbuta i jego byłą żonę, Krystynę Naismith. Wydawnictwo powstało dzięki wsparciu anonimowego inwestora, który przekazał na ten cel sto dwadzieścia tysięcy funtów.

Ich następna książka, Ludzie pierwotni*, pierwszy tom* Trylogii Albany*, ukazała się trzy lata później. Krytycy przyjęli ją chłodno.*

Według ostatnich szacunków rozeszła się w liczbie ośmiu i pół miliona egzemplarzy na całym świecie.

Podziękowania

Autor pragnie wyrazić swoją wdzięczność za pomoc, jakiej udzielili mu pracownicy firmy TransIndus oraz Wendy i Billy Stove z Lerwick.